

JASON STARR

NIC OSOBISTEGO

Przekład: ANETA ROBAKOWSKA

Tytuł oryginału: NOTHING PERSONAL



Mary Read

Dla Sandy

1

Joey DePino jako jedyny widz na torze Meadowlands, nie zważając na lodowaty wieczór, obserwował ostatni wyścig na zewnątrz. Opierał się o barierkę przy linii mety. Ubrany był w wytarte dżinsy i zimową niebiesko-czerwoną kurtkę z symbolami drużyny New York Giants. Kiedy puściły białe bramki startowe, Joey wrzasnął:

– No, dalej, Zwinny! – z nadzieją, że koń numer osiem prowadzony przez Catello Manzię wysunie się na prowadzenie. Jednak albo Manzi był w kiepskiej formie, albo też cholerny koń nie miał ochoty biec, bo już w połowie toru znalazł się na ostatniej pozycji, a po pierwszym okrążeniu zaczął kuleć.

– Sukinsyn! – krzyknął Joey.

Rzucił program przez ramię i od razu udał się w stronę głównego wyjścia. Za dwadzieścia minut odchodził autobus na Manhattan. Joey chciał jak najszybciej dostać się na przystanek, zanim zjawi się tam tabun pasażerów.

Tor Meadowlands został zmodernizowany kilka lat temu, ale ani nowe restauracje, ani też wypucowane podłogi na niewiele się tu zdały – wciąż sprawiał wrażenie bylejakości, głównie z powodu przewalających się tłumów ludzi. Podenerwowani staruszkowie tłoczyli się w małych grupkach przed ekranami telewizorów, w których na bieżąco pokazywano wyścigi. Podłogę pokrywały zużyte kupony, ślady rozlanego piwa i plwocin; powietrze śmierdziało papierosami. Trzydziestopięcioletni Joey był chyba najmłodszym graczem na torze wyścigowym, ale lata uprawiania hazardu sprawiły, że wyglądał tak staro jak pozostali. Miał ciemne worki pod oczami, a większość włosów już mu wypadła. W młodości, kiedy mieszkał jeszcze na Brooklynie, ćwiczył podnoszenie ciężarów, ale teraz już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio postawił nogę w sali gimnastycznej.

Dzisiejszy dzień kosztował Joey'ego trzysta sześćdziesiąt dolców, nie licząc trzech hot dogów, dwóch kawałków pizzy i jednego loda. To wszystko stanowiło tylko drobną sumkę w porównaniu z dziewięcioma tysiącami, które wisiał trzem bukmacherom i jednemu lichwiarzowi. Bukmacherzy przestali już dla niego obstawiać, dlatego robił to sam, posługując się coraz to innymi fałszywymi imionami. Jednak nawet „Tony”, „Nick” i „Vinnie” przekroczyli swój limit. Na koncie nie miał żadnych pieniędzy i zastanawiał się, jaką nową historyjkę wymyśli dla swojej żony, Maureen, kiedy przyjdzie zapłacić za czynsz i rachunki.

Joey zatrzymał się przed telewizorem umieszczonym nad kasami zakładów, aby obejrzeć końcówkę wyścigu. Jego konia wciąż nie było widać. Kiedy Joey ostatnio opuścił tor

z pieniędzmi w kieszeni? Miesiąc temu? Rok? Czuł się otępiały i wycieńczony, jakby nie spał od kilku miesięcy.

Wszyscy już mieli ostatnią prostą i dopiero wtedy numer osiem pojawił się na ekranie. Manzi przesuwał się w stronę barierki, ale reszta skutecznie go blokowała, więc istniała marna szansa, by zdołał się precyzyjnie. Na prostej próbował oddalić się od barierki, ale się nie udało. Ponowił próbę na wewnętrznej, nadal bez rezultatu. Joey już chciał odejść, kiedy Manzi jakimś cudem się uwolnił. Skierował się na zewnętrzną i zaczął przyspieszać jak szalony. Nadal nic nie wskazywało, by zdołał nadrobić straty, jednak prowadzący koń zaczął zwalniać. Joey nie miał nawet czasu krzyknąć. Koń Manziego zdawał się pędzić dwa razy szybciej od pozostałych i w ostatniej sekundzie wysunął się na prowadzenie. Choć o wszystkim miała rozstrzygnąć fotokomórka, to jasnym się stało, że numer ósmy zwyciężył.

W sekundzie Joey przeliczył swój zysk. Przy sześćdziesięciu pięciu do jednego, numer ósmy był drugim najwyżej obstawianym zakładem. Joey postawił czterdzieści dolarów i obstawiał wygraną numeru ósmego w podwójnym zakładzie na dwa następujące po sobie wyścigi ze zwycięzcą w ostatniej gonitwie. W sumie dostanie więc ponad 17 600 dolarów.

Szok nie pozwalał mu się w pełni cieszyć wygraną. Chodził po torze, ciężko oddychając. Obawiał się, że dostanie ataku serca i umrze z wygrywającymi kuponami w kieszeni. Nadal nie wierzył w zwycięstwo swojego faworyta. Joey DePino, facet, którego koledzy z Brooklynu nazywali „Joey Pechuś”, bo zawsze przegrywał na wyścigach, teraz wraca do domu z wygraną rzędu sześćdziesięciu pięciu do jednego! To jakieś nieporozumienie. Może jest w „Ukrytej kamerze” i za chwilę wyskoczy jakiś gość, ze śmiechem ściskając mu dłoń?

W myślach już rozdysponował swoją wygraną. Dziewięć tysięcy pójdzie na długi. Kolejne osiem odda do banku, a może przeznaczy na pierwszą ratę za dom na Staten Island lub w New Jersey. Maureen od lat błagała go, żeby przeprowadzili się w ładniejszą okolicę, a Joey sam miał już dość mieszkania w mieście. Pragnął żyć w miejscu, gdzie mógłby trzymać samochód i nie musiałby więcej jeździć autobusami na tory wyścigowe.

W tym momencie podniosła się wrzawa. Joey poczuł, jak lody i hot dogi przewracają mu się w żołądku. Podbiegł do najbliższego telewizora. Bał się, że zobaczy to, co już przeczuwał. Całe jedzenie znów mu się odbiło, kiedy na tablicy wyświetlił się napis „KONTROLA”.

Manzi, wysuwając się na prowadzenie, odciął drogę koniom po swojej zewnętrznej. Joey widział to wyraźnie, ale w całym podnieceniu o tym zapomniał. Teraz modlił się do Boga o cud. Był w połowie Żydem, a w połowie Włochem i nie wyznawał żadnej religii, teraz

jednak przysiągł Bogu modlić się każdego dnia, przez całe życie, jeśli pokaże mu upragniony napis „WYNIKI OFICJALNE”.

Zazwyczaj sędziowie zastanawiali się ponad pięć minut, zanim zdecydowali o dyskwalifikacji konia. Tego dnia byli może zmęczeni i chcieli jak najszybciej iść do domu, bo już po minucie tablica wyników zgasła, po czym wyświetlono inną kolejność. Numer ósmy znalazł się na czwartym miejscu.

Nie pierwszy raz dyskwalifikowano konie, które obstawiał Joey, ale nigdy jeszcze nie za tyle pieniędzy i nie w momencie, kiedy tak bardzo ich potrzebował. W duchu pytał Boga, co takiego uczynił, że zasłużył na takie traktowanie. Jak zwykle nie otrzymał odpowiedzi.

Zrezygnowany skierował się w stronę wyjścia. Próbował wmówić sobie, że wcale nie jest biedniejszy niż pięć minut temu. Jednak jedyne, o czym w tej chwili myślał, to ten cholerny napis „KONTROLA” i jego życie, w którym wszystko jest nie tak, jak należy. Szedł chwiejnym krokiem. Kilku ludzi wpadło na niego, mówiąc „przepraszam”, ale Joey nawet ich nie zauważył.

Opuszczając tor i schodząc krętymi schodami, miał ochotę położyć się i zasnąć już na zawsze. Niestety, z jego zezowatym szczęściem, autobus, którym jechał, był zatłoczony i całą drogę na Manhattan musiał stać.

Chodź tutaj – powiedział David Sussman, rozpinając spodnie.

Amy Lee odstawiła butelkę z piwem, które popijała, i zaczęła namiętnie całować Davida, pchając go na biurko.

Obydwoje pracowali w Agencji Reklamowej R.L. Dwyer na Wschodniej Pięćdziesiątej Pierwszej, a mniej więcej od miesiąca, kilka razy w tygodniu, zostawali po godzinach, by uprawiać seks w biurze Davida. Podobnie jak w przypadku wszystkich skoków w bok w swym małżeństwie, David założył, że zabawi się z Amy parę razy i na tym, bez żalu, zakończy się ich związek. Różnica polegała jednak na tym, że poprzednie zdrady miały miejsce w trakcie podróży służbowych, daleko poza Nowym Jorkiem, natomiast obecnie pojawiły się komplikacje związane z romanssem biurowym, czego David wcześniej nie przewidział. Siłą rzeczy widywał Amy codziennie, wdychając zapach jej perfum, a dodatkowo podniecał go jej „chiński element”. David od dawna miewał fantazje związane z uprawianiem seksu z Azjatką i chociaż Amy urodziła się i wychowała w Astorii w Queens, David wciąż widział w niej egzotyczną dziewczynę. Jednak ostatnimi czasy ten osobliwy wabik już mu spowszedniał. Davida coraz częściej dręczyły wyrzuty sumienia, zwłaszcza kiedy pomyślał o żonie i dziesięcioletniej córce. Postanowił więc po dzisiejszym wieczorze ostatecznie oznajmić Amy zakończenie ich związku.

Chociaż biegał rano trzy razy w tygodniu i przed pójściem spać wykonywał przysiady i pompki, David nadal był przeświadczony, że powinien pozbyć się jeszcze kilku centymetrów w pasie. Miał metr osiemdziesiąt jeden wzrostu, długie, kościste ciało oraz ciemne, kręcone włosy. Zanim wyjechał do college’u w Albany, w czasie letnich wakacji udał się do chirurga plastycznego w jego rodzinnym mieście Dix Hills i poddał się zabiegowi usunięcia nadmiaru chrząstki z nosa. Do następnego lata nos się „zapadł” i David twierdził, że wygląda gorzej niż przed operacją. Chirurg nie gwarantował powodzenia kolejnego zabiegu, więc David żył odtąd z obsesją na punkcie swojego wyglądu.

– Cholera, już po dziesiątej – zaklął, podświadomie wciągając brzuch, kiedy zakładał bokserki.

– Wracaj tu do mnie... – Amy złapała go za nogę.

Wrywając się jej, David odparł:

– Naprawdę, muszę już spadać. Obiecałem Leslie, że będę w domu przed dziewiątą.

– Czy kiedykolwiek spędzimy razem całą noc?

– Ubieraj się lepiej – rzucił David, szukając spodni na podłodze.

Zamierzał przekazać Amy wiadomość jak najszybciej, ale czekał na odpowiednią chwilę. Zrywanie z kobietami zawsze sprawiało mu kłopot. Swoją żonę poznał w college'u. Przedtem miał tylko kilka dziewczyn, które traktował poważnie, ale z żadną z nich sam nie zerwał. Albo one go porzucały, albo sam zaczynał zgrywać kretyna, aż dziewczyna w końcu pojmowała, w czym rzecz.

– Moja matka chce cię poznać – oznajmiła nagle Amy.

– Twoja matka?

– Pytała mnie, czy spotykam się z kimś ostatnio.

– Ale my się nie spotykamy – wyjaśnił David. Wyciągnął rękę, prezentując ślubną obrączkę. – Widzisz? To oznacza, że oficjalnie nie jestem kandydatem na randki.

– Powiedziałam jej, że kiedyś przyprawdę cię do naszego domu w Queens.

– Bardzo zabawne – stwierdził David, mając nadzieję, że Amy rzeczywiście żartuje. – No dalej, rusz się.

– Jesteś taki seksowny, kiedy się denerwujesz...

David spojrział z góry na Amy, leżącą wciąż nago na podłodze. Mimowolnie zwrócił uwagę na jej płaski brzuch i absolutny brak tłuszczu na jej dwudziestosześcioletnich udach.

– Słuchaj, musimy porozmawiać.

– Nie jestem w nastroju do rozmowy.

– Jak długo to już trwa?

– Pieprz się lepiej ze mną jeszcze raz.

David uwielbiał, kiedy Amy używała wulgarnych słów. Zazwyczaj od razu mu stawał, ale tym razem starał się opanować podniecenie.

– Mówię poważnie – ciągnął, zapinając koszulę. – Myślę, że chyba nie powinniśmy już tego więcej robić.

Z ulgą wyrzucił z siebie te słowa. Odniosł wrażenie, że mówiąc to, neguje istnienie ich związku, którego i tak w zasadzie nie było, więc nie musi poczuwać się do winy.

– Dobrze wiem, że tego nie chcesz – odparła Amy.

– Tu nie chodzi o to, czy tego chcę, czy nie.

– Widzisz, i tu cię nie rozumiem. Kiedy pracujesz, jesteś taki pewny siebie. Ale jak tylko kończy się dzień pracy, ty stale gadasz o swojej żonie – twoja żona to, twoja żona tamto. A ty? Czyżbyś zamierzał całe życie być nieszczęśliwy tylko po to, by uszczęśliwić kogoś innego?

– A kto twierdzi, że jestem nieszczęśliwy?

– A założmy tak: nie jesteś żonaty i masz do wyboru dwoje drzwi. Za jednymi jestem

ja, za drugimi twoja żona. Resztę życia spędziłbyś z tą osobą, której otworzyłeś drzwi. Które byś wybrał?

– Ubierz się – głos Davida brzmiał poważnie.

Zawiązał krawat, po czym zaczął pakować papiery i teczki do swojej aktówki, by zabrać je do domu. Amy leżała nieruchomo na podłodze.

– Jedź do mnie.

– Wiesz, że nie mogę.

– Raczej nie chcesz.

– Jak zwał, tak zwał.

– Nie chcesz pieprzyć się ze mną w moim łóżku?

Sprośna gadka już go nie podniecała.

– No, dalej, ubierz się, bo chcę zamknąć biuro.

Amy wpatrywała się w Davida, rozchyliwszy lekko usta.

– Wiesz, świadomość, że każdego wieczoru wracasz do swojej żony, jest dla mnie naprawdę przykra – zaczęła. – Myślę o nas, jak nam było, a potem myślę o tobie z nią i zaczynam się złościć na ciebie, nic na to nie poradzę...

– Posłuchaj, to już koniec, rozumiesz? – przerwał jej David. – Przykro mi to mówić, ale to prawda. Dobrze się bawiliśmy, jednak teraz każde z nas musi iść swoją drogą. Tak to już jest.

David odwrócił wzrok od Amy i patrzył na zasłonięte żaluzjami okno. Miał nadzieję, że Amy po prostu wyjdzie – i cała sprawa zakończy się miło i bezboleśnie.

Amy wreszcie się odezwała:

– Śądziłam, że chcesz się ze mną ożenić.

– Co?! – wykrzyknął David, odwracając się gwałtownie. – Skąd, do diabła, przyszło ci to do głowy?

– Oświadczyłeś mi się w zeszłym tygodniu.

David zastanawiał się, czy to mogła być prawda. Bardzo możliwe, że wspominał coś o małżeństwie – może tej nocy w minionym tygodniu, gdy czuł się zagubiony – ale na pewno nie były to oświadczyzny, absolutnie nie to miał na myśli.

– Nigdy nie twierdziłem, że chcę się z tobą ożenić – odrzekł. – Powiedziałem tylko: „Czyż nie byłoby fajnie, gdybyśmy się kiedyś pobrali?”. A to duża różnica.

Amy wpatrywała się beznamiętnie w Davida. Miał teraz wrażenie, że są obcymi, widzącymi się pierwszy raz ludźmi, którzy mijają się na ulicy.

– To jest żart, prawda? – Amy zapytała. – Robisz sobie ze mnie jaja. Nabijasz się ze

mnie.

– Daj spokój – uspokajał David. – Spróbujmy zachowywać się jak dorośli...

– Dlaczego mnie tak okłamałeś?

– Wcale nie kłamałem – zaprzeczył David. – Może się przesłyszałaś.

– Dobrze wiem, co słyszałam, nie jestem szalona. Stałeś dokładnie tu, gdzie teraz.

Powiedziałaś: „Czy wyjdiesz kiedyś za mnie?”

– Ale przecież jestem żonaty. Czemu więc miałbym to mówić?

– Dobrze pytanie.

David odwrócił wzrok od Amy, potem znów na nią spojrzął i powiedział:

– No, dalej, ubieraj się. Jest już po jedenastej.

– Więc pozwól, że coś sobie wyjaśnimy – Amy uśmiechnęła się sztucznie. – Nie chcesz się ze mną ożenić, przypuszczam też, że mnie nie kochasz... A cóż to jeszcze mi opowiadałaś tamtej nocy...? Ach, tak, jestem „najpiękniejszą, najbardziej podniecającą” kobietą, jaką znasz. To też zapewne nieprawda...

– Nigdy tak nie mówiłem.

Amy zaczęła płakać. David stał przy swoim biurku, patrząc na nią z góry. Nadal leżała na podłodze, naga, z głową schowaną między kolanami. David przyglądał się jej z góry przez jakąś minutę – wpierw stwierdził, że jest wspaniała, po czym uświadomił sobie niedorzeczność całej sytuacji. W końcu zwrócił się do Amy:

– No, już. Ubierz się. Płacz żadnemu z nas nie pomoże.

Amy spojrzała na Davida. Miała zaczerwienione oczy, po policzkach spływał jej tusz.

– Ale mówiłeś poważnie, tak? – szlochała żałośnie. – Chcesz teraz zwyczajnie udawać, że nigdy mnie nie znałeś.

Zanim odpowiedział, westchnął ciężko.

– Nadal możemy mówić sobie cześć na korytarzu.

Amy kilkakrotnie potrząsnęła głową, po czym podniosła się. Zaczęła się ubierać, zaczynając od majtek.

– Nie jestem zdesperowana, jeśli chcesz wiedzieć. Jest wielu innych facetów, z którymi mogłabym być w każdej chwili, więc skończ z tym swoim nadętym zachowaniem typu „Jestem dużo lepszy od ciebie”, bo nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia.

– Przepraszam.

– Pieprzę twoje przepraszam – spojrzała na swój stanik. – To nie ty tu rządysz, „panie ach, jaki jestem podniecający, panie żonaty”. A co ty na to, gdybym tak zadzwoniła teraz do twojej żony?

Amy wyglądała okropnie – miała załzawione oczy i zasmarkany nos.

– Słuchaj, przeprosiłem cię.

– To może od razu, co? Nie żartuję, wiesz. Mogę w tej chwili podnieść słuchawkę i opowiedzieć twojej żonie o wszystkim. Opiszę jej z najdrobniejszymi szczegółami, co się tu działo.

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

– 861-4735.

David przyglądał się Amy z nadzieją, że się uśmiechnie, ale tak się nie stało. Jego domowy numer był przecież zastrzeżony. Nie miał pojęcia, jak go zdobyła.

– Posłuchaj, wydaje mi się, że wszystko wymyka się już spod kontroli – próbował zakończyć rozmowę. – Jest późno, mamy za sobą długi dzień...

– Powiedz, że mnie kochasz – zażądała Amy, zapinając bluzkę.

– Co?

– Nie obchodzi mnie, co powiesz. I tak wiem, że mnie kochasz. Jeśli jesteś uczciwy i przyznasz się do naszej miłości, to być może nie zadzwonię jutro do twojej żoneczki...

– Ty chyba żartujesz, co? To żart.

– Chcę, żebyś powiedział „kocham cię”.

– Nie kocham cię.

– Powiedz to, David.

– Nie kocham cię. Kocham moją żonę.

– No, to zapewne jesteś przygotowany na spuszczenie swojego małżeństwa w muszli klozetowej.

Amy założyła już spódniczkę i malowała usta jasnoczerwoną szminką, przeglądając się w podręcznym lusterku.

– Lepiej nie dzwoń do niej – ostrzegł David.

– Lepiej powiedz, że mnie kochasz.

David chwycił Amy za ramię. Po chwili uświadomił sobie, że uścisk jest za mocny, więc ją puścił.

– Proszę – przyjął nową taktykę. – Zrozum, gdyby sprawy miały się inaczej – gdybym był młodszy, samotny – to może to byłoby możliwe. Ale wyraziłem się jasno – przynajmniej tak mi się wydaje – że nasz związek nie jest serio.

– Dobrze wiem, co przedtem mówiłeś i co usłyszałam.

– No to się przesłyszałaś.

– To co masz do przekazania?

– Do przekazania?

– No, żebym przekazała Leslie coś od ciebie... I Jessice. Tak ma na imię twoja córka, prawda?

David nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wspominał o swojej córce. Amy próbowała przejść obok niego. Chwytał ją znów za ramię i przytrzymał.

– No dobrze – zgodził się, zrezygnowany. – Jeśli to powiem, to czy przysięgasz nigdy nie dzwonić do mojej żony?

– Przysięgam.

– Z ręką na sercu?

David puścił Amy, a ona położyła rękę pod lewą piersią. Z zamkniętymi oczami David wydusił z siebie:

– Kocham cię.

– Kogo kochasz?

– Na Boga...

– Powiedz: Kocham cię, Amy.

– Jezu Chry...

– Bo zadzwonię do twojej żony i córki.

David widział jej białka oczu odcinające się wyraziście od źrenic.

– Kocham cię, Amy.

– Teraz lepiej. Zaczynamy już robić postępy.

Kiedy Amy wyszła z jego biura, David natychmiast podszedł do minilodówki, stojącej za biurkiem i wyciągnął z niej piwo. Jednym haustem wypił pół butelki. Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się przed chwilą tu wydarzyło. Czuł się tak, jakby ostatnie kilka tygodni z Amy było przyjemnym snem, który przeobraził się w straszliwy koszmar. Zdał sobie sprawę, że cała sytuacja zaistniała z jego winy. Naopowiadał jej bzdur, złożył obietnice, których nie mógł dotrzymać, ale skąd mógł wiedzieć, że ona od razu połknie haczyk?

Amy pracowała w agencji dopiero od pół roku. David stwierdził, że właściwie nie zna jej dobrze. Napomknęła kiedyś o wizytach u psychoterapeuty, co jeszcze nic nie oznacza, ale może jednak cierpi na jakąś chorobę psychiczną? David wiedział o Amy tylko tyle, że pochodziła z Astorii, jej rodzice rozwiedli się, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i uczęszczała do college'u przy Szkole Projektowania Parsons. Czasami mówiła o poprzednich związkach, ale bardzo mgliście. Mawiała: „Ten gość, z którym chodziłam w college'u...”,

albo „Widywałam się z tym facetem kilka tygodni i tyle...”. Nigdy jednak nie wspominała imion przyjaciół czy krewnych, ani też nie opowiadała, co robi w wolnym czasie. David wiedział, że mieszka w Village, ale nie miał pojęcia, czy we wschodniej, czy zachodniej części, a co dopiero, na jakiej ulicy.

Starał się przypomnieć sobie, w jaki sposób nawiązał romans z Amy. Na próżno. Sama myśl o niej powodowała ssące ściskanie w żołądku. Niezależnie od wszystkiego, postanowił: to będzie jego ostatni skok w bok. Zdrady są zbyt stresujące i nie pomagają mu już tak, jak kiedyś. Nie były wcale aż tak zabawne, a na pewno już go nie odmładzały.

Wyszedł z biura, zamknął drzwi na klucz i udał się pustym, wyłożonym dywanem korytarzem do męskiej toalety. Po oddaniu moczu umył się, poprawił kołnierzyk i szczotką wyczyścił ramiona swojej sportowej marynarki. Spojrzał w lustro i jak zwykle widział jedynie ten swój krzywy nos. Przybliżył się i przyjrzał dokładnie zmarszczkom na czole i wokół oczu. Każdego dnia zdawały się pojawiać coraz to nowe oznaki wkraczania w wiek średni.

Unikał alkoholu i byle jakiego jedzenia, za to codziennie wypijał szklankę soku z perzu do obiadu. Przyjmował dużą ilość witamin, do tego super antyutleniacz – CQ-10, koci pazur oraz sproszkowaną chrząstkę z rekina. Pił też sporo gotowanego siemienia lnianego, a każdego ranka do płatków z mlekiem dodawał pyłek pszczoły.

Te tak zwane środki przeciw starzeniu się miały z założenia przynieść widoczne efekty, ale David jakoś ich u siebie nie zaobserwował. Czasami przyglądał się sobie w lustrze i dziwił się swojemu zmęczonemu, stieranemu wyglądowi. Jednak nie było nic gorszego od uczucia nagłego przerażenia, że za trzy lata będzie obchodził czterdzieste urodziny. Zawsze wydawało mu się, że od tego wieku dzielą go lata świetlne, bo czterdziestka to niemal koniec świata. Nie rozumiał, dlaczego mężczyzna, czując się wciąż młodo, faktycznie stoi już na granicy wieku dojrzałego.

Zjeżdżając windą, David wyobrażał sobie katastrofę, jaka nastąpiłaby, gdyby Amy spełniła swoją groźbę. Leslie reprezentowała bardzo konserwatywne podejście do sprawy małżeństwa. Kiedyś jedna z jej koleżanek odkryła, że mąż ją oszukuje. Według Leslie ta koleżanka musiała „być szalona, zostając z nim”. Oglądając filmy lub programy telewizyjne, w których pokazywano zdradzających mężczyzn, zawsze nazywała ich „sukinsynami” lub „świniami”, a pewnego razu ostro ostrzegła Davida, że go zostawi, jeśli kiedykolwiek ją okłamie.

Nagle Davidowi zrobiło się słabo, czuł, jak ściany windy zaczynają się wokół niego zamykać. Osunął się na kolana, próbując złapać oddech. Kiedy drzwi otworzyły się na hol, powoli wstał, po czym wyszedł z windy, opierając się o marmurową ścianę. Ataki paniki

miewał całe życie, ale ostatnio stawały się coraz gorsze.

Po minucie, może dwóch wróciły mu siły. Chwiejnym krokiem pokonał hol i wyszedł na Drugą Aleję. Lodowaty wiatr smagał mu twarz, kurz wpadał do oczu. Szedł z głową schowaną w kołnierzu płaszcza. Wyciągnął rękę, aby zatrzymać taksówkę. Jak zwykle, z niewyjaśnionych przyczyn, kilka z nich przejechało obojętnie, aż w końcu któraś z kolei go zabrała.

Jechał, wpatrując się w ciemność, a opustoszałe ulice East Side oraz gęste opary unoszące się z pokryw włazów kanalizacyjnych jeszcze bardziej go przygnębiły. Wystarczył jeden telefon. Jeśli nawet Amy nie zadzwoni do Leslie dziś wieczorem, to może to zrobić w każdej chwili. David zastanawiał się, czy nie uprzedzić Amy i nie powiedzieć Leslie o ich romansie zaraz po powrocie do domu. Albo, jeszcze lepiej, mógłby ostrzec, że jakaś szalona kobieta – którą zwolnił w zeszłym tygodniu – może dzwonić i żeby Leslie nie zwracała uwagi na jej gadanie.

„Jest psychiczna”, powiedziała, „dopiero co wypuszczono ją z zakładu”. Ale Leslie była za bystra na taką bajeczkę. Samo napomknięcie o zdradzie spowodowałoby niekończące się przepytywanie, a Leslie zawsze wiedziała, kiedy David kłamie.

Zdawał sobie sprawę, że Amy może zniszczyć mu życie, jeśli tylko zechce. Był dyrektorem do spraw reklamy, a Amy grafikiem. Choć pracowali w całkiem różnych działach, to Amy w zasadzie stała na niższym szczeblu w hierarchii. David nie był pewien, czy to stanowiłoby dobrą podstawę do wysunięcia oskarżeń o napastowanie seksualne, ale doskonale wiedział, w jak kretyńskim znalazłby się wtedy położeniu. Na szczęście jest jeszcze na tyle ostrożny, że zawsze używa gumki.

Taksówka pędziła Trzecią Aleją, wymijając inne samochody z zawrotną prędkością, jakby to był tor wyścigowy. Nagle David poczuł ukłucie w klatce piersiowej – objaw niedomykania zastawki – pierwszy sygnał nadchodzącego ataku paniki. Kiedy serce zaczynało mu walić, skupił całą uwagę na swoim wnętrzu, koncentrując się przede wszystkim na oddychaniu.

– Wdech, wydech, wdech, wydech – szeptał.

Pomogło. Nagle sprawy nie wydawały się już tak beznadziejne, jak przed kilkoma sekundami.

– To tu, na prawo – powiedział potem do kierowcy.

Taksówka zatrzymała się przed domem na Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. Wchodząc pewnym krokiem do wyłożonego drewnianymi panelami holu, David przywitał Toma, portiera, ciepłym uśmiechem. Jakież to miłe uczucie znaleźć się w dobrze strzeżonym

królestwie luksusowych apartamentów, gdzie nic złego nie może go spotkać. Tym razem jazda windą na dziewiętnaste piętro nie wywołała żadnych wyraźnych objawów paniki.

Jak zwykle Leslie zostawiła włączone światła w salonie. W swoim mieszkaniu David poczuł się mile odprężony. Oprócz pokoju gościnnego i trzech sypialni – z tej trzeciej David zrobił swoje biuro – była jeszcze jadalnia, dwie łazienki, taras oraz zamknięta kuchnia z aneksem jadalnym. Wypił szklanekę soku jabłkowego i udał się do pokoju Jessiki. Na palcach podszedł do jej łóżka i pocałował delikatnie w czoło. Przekręciła się na drugi bok.

– Kocham cię, tatusiu.

– Ja też cię kocham, ptaszynko. Śpij słodko.

David umył się – próbując nie patrzeć na pogłębiające się zmarszczki wokół oczu – i założył czystą bieliznę. Spokój w mieszkaniu działał kojąco i ożywczo. Leslie spała smacznie, więc David postanowił jej nie budzić. Ułożył się blisko wzdłuż jej ciała, twarz wtulił w jej delikatną szyję. Zapach brzoskwiniowego kremu nawilżającego i równomierne bicie jego serca przy jej plecach dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Tylko kiedy pomyślał o Amy Lee i jej oszalałych, wbitych w niego oczach, zaczynał znów odczuwać paniczny strach.

3

Na wpół przytomny, Joey szedł Dziesiątą Aleją, nie czując mimo rozpiętej kurtki przenikliwego zimna. Zatrzymał się w chwili, kiedy uświadomił sobie, że znajduje się na rogu Dziesiątej Alei i ulicy Pięćdziesiątej Pierwszej, trzy przecznice dalej od swojego domu. Ledwo pamiętał jazdę autobusem i moment opuszczenia przystanku przy Port Authority. Myślał o tym, co go spotkało, tak obsesyjnie, że ostatnie pół godziny zdawało mu się krótką chwilką.

Joey i Maureen DePino mieszkali przy Dziesiątej Alei i Zachodniej Pięćdziesiątej Czwartej w dwupokojowym mieszkaniu przerobionym z dawnego domu jednorodzinne. Pokoje były wąskie i długie jak w teatrze, a maleńka łazienka mieściła się dokładnie na środku, naprzeciw drzwi wejściowych. Maureen bez przerwy utyskiwała na ciasnotę, głośnych sąsiadów, grzyb pod prysznicem, odpadający tynk, brakujące kafelki w łazience, zacieki na suficie oraz nieregularne ogrzewanie i wyłączaną ciepłą wodę. We wnęce pokoju, który nazywali „salonem”, znajdowała się kuchnia mieszcząca zaledwie zlew i kuchenkę gazową. Ilekroć Maureen tam gotowała, zawsze narzekała, że zapach jedzenia przyciąga karaluchy i myszy z koreańskich delikatesów mieszczących się na dole. Nie stać ich było na nowe meble, dlatego też posiadali sprzęty kupione przez Maureen w sklepach z używanymi rzeczami lub na pchlim targu – rozkładaną kanapę, dużą szafę, kwadratowy stół, dwa krzesła i kilka starych luster. Maureen powtarzała, że jest już zmęczona życiem w ruderze, a dom i okolica są niebezpieczne. Dwa razy włamano się do nich, a w zeszłym roku młoda kobieta została zgwałcona w przedsiionku ich budynku.

Według Joey’ego mieszkanie nie było co prawda pałacem, ale nie wydawało mu się aż tak złe. Mają w końcu dwa oddzielne pokoje, a na co komu kuchnia? Poza tym koreańskie delikatesy na dole są bardzo wygodne, bo zawsze można sobie kupić kanapkę z wołowiną, nawet w środku nocy, praktycznie nie wychodząc na ulicę.

Joey poznał Maureen siedem lat temu w barze o nazwie „Domek Szopa Pracza” na Amsterdam Avenue. Miał wtedy dobrą pracę jako instalator i dostawca w sklepie z materiałami budowlanymi na Broadwayu. Spędzał piątkowy wieczór z przyjaciółmi z Brooklynu. Maureen siedziała przy barku naprzeciw stołu bilardowego z koleżanką, którą podrywał jakiś gość. Jeden z kolegów Joey’ego podpuścił go, mówiąc, że tamta „dziewczyna z ciemnymi kręconymi włosami” pożera go wzrokiem. Później Maureen zdradziła Joey’emu, że nawet go nie zauważyła, dopóki nie podszedł i nie postawił jej drinka.

Kiedy Joey po raz pierwszy spojrzął na Maureen, marnie ocenił swoją szansę na zainteresowanie tego typu dziewczyny. Na pewno pochodziła z miasta. Miała na sobie drogie

ubranie w czarnym kolorze i była o niebo ładniejsza od kobiet, z którymi Joey się spotykał. Te z Brooklynu, które on znał, miały pryszczate twarze, natapirowane włosy, nosiły obcisłe dzinsy i żuły gumę jak krowy. Natomiast Maureen prezentowała pewną klasę. Założyła nogę na nogę i mieszała drinka z plasterkiem cytryny. Z trudem można zgadnąć wagę kobiety siedzącej na stołku przy barze, ale Maureen wcale nie wyglądała na otyłą. W zasadzie mogłaby zrzucić jakieś pięć, dziesięć kilo, ale jej nadwaga rozkładała się całkiem proporcjonalnie. Jednym słowem, spodobała się Joey'emu.

Nie chciał podchodzić do niej tylko po to, by go zbyła, ale kolega cały czas naciskał, przekonując go, że laska z kręconymi włosami jest „napalona” i wygląda na taką, co to „ssie fiuta jak odkurzacz”. Wreszcie, po kolejnym piwie, Joey odważył się ją zagadnąć.

Od razu, chyba po dwóch minutach konwersacji, Joey już wiedział – rozmawia z dziewczyną, która zostanie jego żoną. Kiedy jej to później opowiadał, nie chciała wierzyć, bo skąd niby taka pewność od razu, ale Joey przysięgał, że to absolutna prawda.

Zostali w barze aż do zamknięcia. Raz, może dwa, Maureen poszła do łazienki, a Joey patrzył na nią, kiedy się oddalała, z coraz większym uznaniem. Miała ładne, duże biodra i szczupłą talię. Przyjaciele już poszli, a oni oboje się upili. Joey odprowadził Maureen do domu, mieszczącym się zaraz za rogiem. Już mieli się pożegnać, kiedy Maureen zapytała, czy nie zechciałby wejść do niej na drinka. Skończyło się na tym, że został u niej na cały weekend. Przeważnie nie podobało mu się, kiedy dziewczyna szybko rozkładała przed nim nogi, ale Maureen Byrne była inna. Zanim ją poznał, przekonywał swoich kumpli z Brooklynu, że coś takiego jak „miłość” nie istnieje. Teraz zmienił zdanie.

Joey'ego martwiło tylko jedno: Maureen jest dla niego zbyt inteligentna. On sam z trudem skończył szkołę średnią i od tego czasu miał się różnych zajęć. Za to Maureen była bardzo zdolna – dwa lata uczyła się w Hunter College, znała się na komputerach i pracowała jako sekretarka w poważnej, prężnie działającej kancelarii prawniczej. Joey nie mógł więc zrozumieć, dlaczego taka mądra dziewczyna z miasta zadawała się właśnie z nim. Zastanawiał się, czy nie chodziło jej tylko o jego ciało. Pewnego dnia zapytał ją o to. Śmiała się jak z dobrego żartu.

Joey czuł się jak idiota, kiedy spotykał się z Maureen i jej przyjaciółmi z college'u. Oni rozsiadali się i rozmawiali o wszystkim i o niczym, a on cały czas milczał. Natomiast będąc z Maureen sam na sam, rozmawiał z nią swobodnie, jak jeszcze z żadną kobietą. Zaoszczędził w końcu dwa tysiące dolarów i w sklepie jubilerskim w Chinatown kupił dla niej pierścionek z największym oczkiem, na jaki było go stać.

Po ślubie Joey uprzedził Maureen, że z początku może być im ciężko.

Prawdopodobnie zamieszkają w nędznym lokum i nie pojedą na żadną wycieczkę, a na pięć lat mogą zapomnieć o posiadaniu dzieci. Maureen nie widziała w tym problemu, bo dopóki jest z Joey'em, dopóty jest szczęśliwa. I rzeczywiście, pierwsze dwa lata okazały się całkiem dobre, prawie w ogóle się nie kłócili, a w każdą sobotę wieczorem wychodzili na kolację lub do kina, jak każda normalna para. Nieraz, latem, wyprawiali się do Central Parku lub do portu przy South Street. Jednak po pewnym czasie Maureen zaczęła żądać wszystkiego od razu. Wciąż opowiadała, jak zazdrości swoim koleżankom ładnych mieszkań, bo ich mężowie zarabiają duże pieniądze. Joey nie pojmował, skąd u niej powstała myśl, że pewnego dnia staną się bogaci. Owszem, mówił jej o polepszeniu się, ale rozumiał przez to pracę gońca lub stróża magazynowego i dodatkowe parę dolarów tygodniowo. Co prawda nie wszystko wyszło w pierwszych latach małżeństwa, ale Joey miał teraz dobrą robotę jako instalator kabli w firmie zajmującej się sieciami komputerowymi. Dzieci i dom za pięć lat to nadal pobożne życzenie, ale za siedem lub dziesięć wydaje się już bardziej realne. Maureen chciała jednak wszystko natychmiast.

Tym gorzej się stało, kiedy w zeszłym roku lekarz stwierdził u Maureen cystę na jajniku. Musiała poddać się operacji jej usunięcia. Od tej pory obawiała się, że jeśli wkrótce nie urodzi dzieci, to już może o nich zapomnieć.

– Za cztery lata przekroczę czterdziestkę – mawiała, jakby ciąża w tym wieku była wbrew prawu.

Gadała na ten temat w nieskończoność – dzieci to, dzieci tamto – czy już naprawdę nie ma o czym rozmawiać? Joey na okrągło powtarzał, że nie stać ich na dzieci w tej chwili, ale odnosił wrażenie, że mówi sam do siebie.

A któregoś razu Maureen oznajmiła: – Nie tak wyobrażałam sobie życie przed naszym ślubem.

Na co Joey odparł: – No, to nie trzeba było za mnie wychodzić.

A Maureen: – Nie wiedziałam wtedy, że wychodzę za hazardzistę.

Joey wyznawał zasadę: nigdy nie bij kobiety. Jednak kiedy Maureen opowiadała takie rzeczy, miał ochotę jej przyłożyć. Hazardem tłumaczyła wszelkie problemy. No i co z tego? Chodzi na wyścigi cztery, może pięć razy w tygodniu – to nie może mieć już żadnego hobby? Tymczasem Maureen zmieniała się w denerwującą zrzędę. Nic nie robiła, nawet nie chciało się jej wychodzić z domu. Woląла przesiadywać wieczorami na kanapie i użalać się nad sobą. Joey oglądał kiedyś w telewizji program o podobnych kobietach. Przeszły w swoim życiu „przemianę”, a z wiekiem wpadały w depresję i robiły się nieznośnie. Jednak dotyczyło to *dużo* starszych osób. Maureen miała dopiero trzydzieści sześć lat, a zachowywała się jak

pięćdziesięcioletnia staruszka.

Kiedy Joey otworzył drzwi mieszkania, ciężko dysząc po pokonaniu schodów co trzeci stopień, ujrzał Maureen stojącą w korytarzu w różowym frotowym szlafroku, bez makijażu. W ciągu ostatnich kilku lat przybrała na wadze, głównie w okolicach brzucha, bioder i ud. Wciąż opowiadała, jaka jest gruba i że powinna zrzucić z dwadzieścia kilo, ale Joey nie zwracał uwagi na te żale. Sam nie wyglądał jak John Travolta, a poza tym nie zazdrościł facetom, którzy stale niepokoili się o swoje zostawione w domu szczuplutkie i atrakcyjne żony.

– Gdzie, do cholery, się podziewałeś? – przywitała go Maureen.

Joey nie odezwał się słowem. Minał ją i poszedł do sypialni, gdzie głośno grał telewizor – Jay Leno przeprowadzał z kimś wywiad.

– Mam już dość tego całego gównianego życia, Joey. Chcę wiedzieć, gdzie byłeś dziś wieczorem.

Joey zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło, potem usiadł na łóżku i zaczął ściągać buty.

– Na kręglach.

– Na kręglach? Ach, więc chcesz mi tu opowiadać o kręglach?

– Zgadza się – powiedział Joey. Znów przypomniał sobie tablicę świetlną i poczuł ściskanie w żołądku.

– I jak ci poszło?

– Przegrałem – odparł Joey żalonym głosem.

– Ile?

– Chcesz znać mój wynik?

– Nie. Chcę wiedzieć, ile straciłeś na wyścigach.

– Na wyścigach? – powtórzył Joey tonem, jakby rozmawiali o jakimś odległym świecie. – O czym ty, do diabła, gadasz?

– Nie pogrywaj ze mną. Nie jestem dziś w nastroju.

– No, to jest nas dwoje.

– Przysięgałeś mi zerwać z hazardem.

– Chryste, Maureen, boli mnie głowa – powiedział Joey, ściągając spodnie. Odbiło mu się hot dogiem. – Naprawdę nie mam ochoty teraz się z tobą kłócić.

– Jeśli należysz do drużyny w kręgielni, to dlaczego nigdy nie opowiadasz mi o innych graczach, co?

– O co ci chodzi? To są koledzy z pracy.

– Koledzy z pracy? Którzy koledzy z pracy?

Joey patrzył na Jaya Leno. Zastanawiał się, dlaczego taki brzydki dureń dostał prowadzenie programu w telewizji.

– Mówię do ciebie.

– Czego ty chcesz ode mnie? – Joey nagle podniósł głos.

– Żebyś przestał wreszcie mnie okłamywać! Gdzie byłeś? U bukmacherów? Na Meadowlands? Leci od ciebie smrodem papierosów.

– Ludzie palą w kręgielni.

– Więcej już tego nie zniosę, Joey. Przegrywanie wszystkich pieniędzy to jedno, ale mógłbyś chociaż być mężczyzną i nie kłamać. I nie rób ze mnie idiotki!

– Do cholery, zostaw mnie w spokoju, dobrze? – zniecierpliwiał się Joey, mijając Maureen. – Nie potrzebuję awantur tuż po powrocie do domu.

Poszedł do łazienki i usiadł na muszli klozetowej. Nie musiał korzystać z toalety, ale w dwupokojowym mieszkaniu było to jedyne pomieszczenie, gdzie mógł pobyć sam. Zazwyczaj zabierał ze sobą gazety, *Racing Form* lub *Daily News*, ale w tej chwili nie chciało mu się czytać. Kombinował raczej, jak tu znowu obstawić, żeby odzyskać siedemnaście tysięcy dolarów. Taka szansa zdarza się raz w życiu.

– Joey, wychodź natychmiast.

– Robię kupę.

– No, na pewno.

– Mam otworzyć drzwi, żebyś poczuła smród?

Joey usłyszał, jak Maureen wydaje z siebie odgłos, wyrażający najwyższe obrzydzenie. Po chwili trzasnęły drzwi sypialni.

Joey trochę się uspokoił. Żałował, że nakrzyczał na Maureen. Chciał tylko, by dała mu spokój, kiedy wraca wycieńczony i przegrany z wyścigów.

Przyrzekał sobie skończyć z hazardem, jak tylko spłaci długi i odłoży jakieś pieniądze na koncie. Naturalnie, już wcześniej tysiące razy obiecywał sobie to samo. Pół roku, a może i cały rok po ślubie nie obstawiał ani razu. Jednak rozpoczął się sezon piłkarski i wrócił pociąg do hazardu, większy niż kiedykolwiek. Próbował zerwać z tym już wiele razy – zazwyczaj po dużych przegranych – ale zaraz następnego dnia zaczynał od nowa. W końcu doszedł do wniosku, że nie warto z tym walczyć. Niektórzy piją, biorą narkotyki albo wpadają w szal zakupów – a on obstawia. To daje mu napęd i pozwala przetrwać dzień. Nie wyobrażał już sobie życia bez hazardu.

Jego umysł przypominał labirynt. Dziewięć tysięcy dolarów – suma, która, jak obliczył, wystarczy na spłacenie długów – znajdowało się w jednym końcu. Idąc wstecz, analizował każdy możliwy wariant wyjścia z tego labiryntu. Ale ciągle rozbijał się o mur. W końcu cały proces myślowy przyprawił go o migrenę. Połknął trzy tabletki i wrócił na muszlę klozetową, podpierając policzek na dłoni. Jedynym sposobem na zdobycie dziewięciu tysięcy jest wygranie tej sumy. Problem w tym, że trzeba mieć na to pieniądze, a on nie ma nic. Jutro dostanie co prawda czek, ale tylko na trzysta dolarów. Wszystko pójdzie na czynsz za luty. Potrzebuje co najmniej tysiąca dolarów na spłacenie Franka i Ala. Nie miał pojęcia, skąd weźmie te pieniądze.

Kiedy wreszcie wyszedł z łazienki i wrócił do sypialni, telewizor i światło były wyłączone. Maureen leżała w łóżku. Joey miał nadzieję, że zasnęła. Wciąż czuł przygnębienie, a tabletki jeszcze nie zadziałały. Nie chciał też od nowa wszczynać kłótni.

– Joey...

– Tak?

– Przepraszam. Masz rację. Nie powinnam krzyżeć na ciebie. Nie miałam racji.

– Och, nieważne – odparł Joey.

Po krótkim milczeniu Maureen powiedziała:

– Wiesz, w końcu jesteś moim mężem, prawda? Więc powinnam ci ufać. Jeśli mówisz, że byłeś na kręglach dzisiaj wieczorem, to byłeś i tyle.

Joey poczuł się okropnie, ale nie aż tak źle, by przyznać się do kłamstwa. Co by to dało, oprócz kolejnej awantury?

– Joey?

– No?

– A dobrze się czujesz?

Teraz zrozumiał, dlaczego Maureen go przeprosiła. Jej wyznanie nie miało nic wspólnego z zaufaniem.

Masując Joey'ego po brzuchu, Maureen zapytała:

– Masz ochotę...?

– Nieee. Głowa mi napierdala.

Maureen przestała go masować. Trzymała przez chwilę dłoń z palcami zaplątanymi we włosy podbrzusza, po czym gwałtownie cofnęła ją i usiadła.

– Chcę jasnej odpowiedzi, Joey.

– Nie teraz.

– Nigdy o tym nie rozmawiasz. Nigdy nie jest też odpowiednia pora.

– O Jezu, Maureen.

– Po prostu chcę znać prawdę. Należy mi się chociaż tyle.

– Dlaczego zawsze mi to robisz? – zniecierpliwiał się Joey. – Wybierasz najgorszy czas na wyciąganie problemów. Ja próbuję nie krzyczeć i się kontrolować...

– Ten ból głowy – przerwała mu Maureen. – Nie mogłeś wymyślić lepszej wymówki?

– Jak, do cholery, mamy... – Joey chciał powiedzieć „starać się o dziecko”, ale zreflektował się, że doprowadziłoby to do kolejnej, ciągnącej się w nieskończoność awantury na temat hazardu. A było już naprawdę późno. W związku z tym dodał tylko: – Nie chce mi się o tym gadać. – I przekręcił się na drugi bok.

Po minucie czy dwóch Maureen położyła się i odwróciła tyłem do Joey’ego.

Następnego ranka, zaraz po przyjściu do pracy, Joey otworzył *Daily News* na części dotyczącej Las Vegas. Indiana Pacers grali z Orlando Magic u siebie, więc bez wątpienia drużyna Orlando nie nadrobi ośmiopunktowej straty. To będzie zakład wszech czasów.

Joey skalkulował, że aby wyjść na czysto, musi zrobić cztery podwójne zakłady na sześćset dolarów. U Franka, jednego z bukmacherów, u których ma długi, obstawi Indiana Pacers pod fałszywym imieniem. Dla wszystkich swoich klientów Frank ustalił zasadę limitu. Jeśli dany gracz go przekraczał, Frank więcej dla niego nie obstawiał. Jednak Joey znalazł sposób na obejście tej reguły. Zaprzyjaźnił się z jednym z pośredników Franka, starym Żydem o imieniu Morty. Kiedy Joey przekraczał swój limit – w tym przypadku tysiąc dolarów – Morty pozwalał mu obstawiać pod innym imieniem, nawet jego własnym. Morty nie miał żadnych obiekcji, bo ufał, że Joey w końcu spłaci swoje długi. Sam na tym zarabiał, bo ustalał procent od wszystkich zebranych pieniędzy, a Joey był jednym z jego najwierniejszych klientów.

Po wygraniu meczu przez Indiana Pacers – według Joey’ego było to więcej niż pewne – trzeba zrobić kolejne trzy podwójne zakłady. Wygrane w ten sposób pieniądze miały starczyć na zapłacenie długów i rachunków. W czasie lunchu pójdzie do kasy na Broadwayu zrealizować swój czek i od razu uda się do zakładu bukmacherskiego przy John Street. Może mu się poszczęści – wygra na dwóch gonitwach na Akwedukcie dzisiaj po południu – i wtedy będzie mógł postawić jeszcze więcej na Indiana Pacers.

Joey był tak zajęty czytaniem rubryk w poszukiwaniu kolejnych pewniaków, że nie usłyszał nadchodzącego od tyłu szefa.

– Mówiłem ci, żebyś czytał gazety tylko w wolnym czasie – odezwał się Mark Conine.

Był to niski, szczupły mężczyzna z siwymi włosami i wąsami. Urodził się w Rumunii – jego nazwisko rodowe składało się z mnóstwa samogłosek, których Joey nie był w stanie wymówić – a wychował się na dolnym Manhattanie. Po skończeniu college’u, w latach siedemdziesiątych, rodzina dała mu pieniądze na rozkręcenie spółki o nazwie Tech Systems. Joey od początku nie znosił Marka – nie jako szefa, ale jako faceta, któremu brakuje jaj, taki typowy maminsynek, co to wszystko ma podane na złotej tacy. Gdyby nie własna firma i opiekuńcze skrzydła rodziców, zostałby nikim. Ściany swojego biura obwiesił plakatami nagich panienek i samochodów wyścigowych. Posiadał dwa porsche. Joey’emu robiło się słabo, kiedy Mark wyjmował z portfela zdjęcia swoich aut i pokazywał je wszystkim wokół, jakby to były jego dzieci. Joey podejrzewał, że gość musi mieć bardzo małego ptaszka.

Pewnego dnia, kiedy stali obok siebie przy pisuarach, Joey zerknął na jego członka i rzeczywiście – pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym Marka wystawało różowe maleństwo.

– Przepraszam – powiedział Joey, odkładając gazetę. – Tylko coś sprawdzałem.

– Hę? – mruknął Mark.

Często zwracał się do ludzi „hę”, niezależnie od tego, jak głośno i wyraźnie do niego mówili. Z początku Joey sądził, że Mark ma problem ze słuchem, ale w końcu zrozumiał, o co chodzi. Ta odzywka stanowiła demonstrację władzy. Mówiąc ciągle „hę”, Mark zmuszał drugą osobę do powtarzania zdania, dzięki czemu kontrolował przebieg rozmowy.

– Powiedziałem, że chciałem tylko coś sprawdzić – odparł Joey.

– Nie powinieneś teraz gdzieś być?

– Pracuję dzisiaj w Caldwell.

– Hę?

– Pracuję dzisiaj w Caldwell – powtórzył głośniej Joey.

– To dlaczego jeszcze tam nie jesteś?

– Właśnie szedłem – wyjaśnił Joey. – Musiałem tylko wejść do biura zabrać gniazdka.

– Już ci wyjaśniałem to wcześniej – Mark podniósł głos, tak aby wszyscy w biurze słyszeli. – Potrzebujesz czegoś, to dzwonisz i ci to przynoszą. Nie wchodzisz tutaj pod żadnym pozorem. Czy zdajesz sobie sprawę, na jakie koszty narażasz tę firmę? Nie będę płacił za twoją nieobecność na miejscu.

– Ale kazałeś mi tu przyjść – wtrącił Joey.

– Hę?

– Kazałeś mi tu przyjść. Wczoraj dzwoniłem do ciebie i przekazałem, że potrzebuję kilka gniazdek i listew, a ty kazałeś mi przyjść do biura i je zabrać.

– Ale w porze twojego lunchu.

– Tego mi nie mówiłeś.

– Nie musiałem. Znasz przecież zasady.

– W porządku – zgodził się Joey. Czuł, jak traci nad sobą panowanie, a nie chciał powiedzieć lub zrobić niczego, czego by potem żałował.

– O której wyszedłeś wczoraj z pracy?

– Wczoraj?

– Hę?

– Spytałem: „Wczoraj?”

– Tak, wczoraj.

– Jak zwykle – powiedział Joey. – O piątej.

Kłamał. Naprawdę wyszedł z pracy za dwadzieścia piąta, żeby złapać wcześniejszy autobus na Meadowlands i zdążyć na jednoczesne relacje radiowe i telewizyjne z wyścigów w Kalifornii.

– Tak? A Slav widział, jak wychodziłeś o czwartej trzydzieści. I co ty na to?

– Nieprawda.

– A po co Slav by kłamał?

– Nie wyszedłem wczoraj z pracy o czwartej trzydzieści – zaprzeczył z przekonaniem Joey. W końcu to była prawda.

– Nieważne – Mark zakończył temat. – Chodzi o to, że zaczyna ci się zbierać. Spóźniasz się, wychodzisz wcześniej, czytasz w pracy gazetę. Dość już tego. Nie dostaniesz drugiej szansy. Kolejny numer i stąd wylatujesz.

Kiedy Mark się odwrócił i podreptał do siebie, Joey podniósł środkowy palec, wymawiając bezgłośnie „pieprzę cię”. Od dawna marzył, że wygrywa w Totolotka i idzie do biura powiedzieć Markowi, aby się pieprzył. Dałoby mu to taką samą ulgę, jak walnięcie go i oglądanie jego mózgu na ścianie.

Joey myślał o znalezieniu innej pracy, ale dwadzieścia sześć tysięcy rocznie plus ubezpieczenie to szczyt możliwości dla instalatora z zaledwie trzyletnim doświadczeniem. Wcześniej miewał tylko dorywcze zajęcia. Miał już tego dość, a poza tym musiał znaleźć coś stałego, żeby Maureen wreszcie przestała zrzędzić. Odpowiedział więc na ogłoszenie w gazecie i nauczył się instalować okablowanie. Nie był to zły zawód, nawet mu się podobał, ale stale żałował tej roboty, jaką dostał po ukończeniu szkoły średniej.

Z początku było to zajęcie tylko na lato. Okazało się jednak najlepszą pracą, jaką Joey wykonywał. Ładował i wyładowywał puszkę w sklepie z farbami na Utica Avenue na Brooklynie. On i paru innych zaczęli działać na lewo – zabierali farbę z ciężarówki i sprzedawali ją na boku innym dystrybutorom. Szef miał w swoich księgach taki bałagan, że nigdy się w niczym nie zorientował. Tymczasem Joey dorabiał do swojej pensji ponad czterdzieści tysięcy rocznie. Ta dodatkowa forsa stała się przyczyną jego uzależnienia od hazardu. Jeśli nawet stracił kilkaset dolarów na wyścigach, to i tak się tym nie przejmował, bo zawsze mógł po prostu ukraść więcej farby. Joey przeżywał wtedy swoje najpiękniejsze dni – był wolny, mieszkał sam przy Sheepshead Bay i posiadał furę pieniędzy. W weekendy chodził z kumplami na wyścigi albo jeździł do kasyn w Atlantic City. Kiedy miał dobrą passę przy stole, brał sobie dziwkę. Jednej nocy z kolegami zrzucili się i sprowadzili cztery czarne kurewki – wszystkie z wielkimi cyckami – na cały weekend.

Jednak bajkowe życie Joey'ego się skończyło, kiedy Mario Cantello wyszedł z więzienia. Cantello był ważną osobą na Brooklynie, miał kontakty z rodziną Gambino i Johnem Gottiem. Pewnego dnia Joey i jego przyjaciele otrzymali wiadomość od Cantella. Chciał spotkać się z nimi w swoim domu w dzielnicy Canarsie. Przerazili się: pewnie szef w końcu dowiedział się o kradzieżach i wynajął Cantella, by ich załatwił. Na miejscu, kiedy go zobaczyli – grubego, przypominającego wykidajkę faceta w białym podkoszulku, obciskającym wielkie mięśnie ramion, z policyjnym nadajnikiem na kostce – byli już przekonani o czekającym ich koszmarze. Ale Cantello ich zaskoczył. Kazał im nadać kolor farby, ale dostarczać ją do *niego*. Najwyraźniej policja obserwowała, czy Cantello nie wrócił do swoich gangstersko-hazardowych poczynąń, więc szukał nowych możliwości i wybrał „uczciwy” interes z farbami. Cantello był gotów zapłacić Joey'emu i jego przyjaciołom za wysiłek – może nie tyle, ile zarabiali, działając samodzielnie, ale w końcu suma sięgała kilkuset dolarów tygodniowo. Koledzy Joey'ego przyjęli ofertę, ale jemu samemu to się nie opłacało. A nuż nie uda się kiedyś ukraść farby, wówczas Cantello oskarży ich o kłectwo. A przecież tego nadajnika nie założyli mu tylko z powodu oszukania urzędu skarbowego, sprawa na pewno była grubsza. Przypuszczenia Joey'ego się sprawdziły – po dwóch latach usłyszał o Timmy, któremu złamano obydwie nogi i wybito młotkiem wszystkie zęby, bo Cantello uznał, że jest kantowany...

Joey pojechał metrem do biura rachunkowego Caldwell & Caldwell, mieszczącego się na Broadwayu, w bok od ulicy Fulton. Firma rozbudowywała się i zajmowała kolejne piętro. Razem z trzema innymi pracownikami z Tech Systems Joey zakładał okablowanie dla nowej sieci komputerowej. Był jedynym obywatelem amerykańskim wśród instalatorów. Pozostali to rosyjscy imigranci – nielegalni przybysze. Mark zatrudniał ich, ponieważ mało brali, a byli świetnie wykwalifikowani. W Rosji z pewnością pracowali jako naukowcy przy rakietach kosmicznych – tutaj kładli kable i dostawali jedenaście dolarów za godzinę. W grupie było trzech Slavów, czterech Igorów, dwóch Vladimirów, dwóch Sergiejów i jeden Borys. Wydawali się bardzo sympatyczni, ale Joey nie znosił pracy z nimi. Czuł się tak, jakby cały dzień miał zaklejone usta. Wszyscy rozmawiali ze sobą po rosyjsku i śmiali się, a on śmiertelnie się nudził. Joey zastanawiał się, czy to jednak nie dowodzi istnienia Boga. Latami okradał sklep z farbami, więc Bóg teraz go ukarał, kładąc mu kłosać kable z grupą Rosjan. Ale nie widział w tym sensu. Jego poprzedni szef był wyjątkowym draniem – bił żonę i dzieci – i gdyby istniał Bóg, rozsądny Bóg, to cieszyłby się, że Joey go okrada, i kazałby Cantellowi gnić dalej w więzieniu.

Cały świat opiera się na ślepych losie. Jedni wygrywają w Totolotka, inni idą ulicą i na

głowę spada im cegła. Reszta ludzkości znajduje się pomiędzy tymi dwoma biegunami. Niestety, Joey był raczej bliżej tych, którym spada cegła.

W południe dostarczono do Caldwell & Caldwell чеки z pensją dla pracowników Tech Systems. Jak wystrzelony z procy, Joey popędził do kasy i wypłacił gotówkę, potem udał się do zakładu bukmacherskiego na John Street. Znał już wszystkie zakłady w mieście, a obdarzony szóstym zmysłem, zawsze trafiał do najbliższego.

Oddział na John Street był wąski i duszny od dymu papierosowego mimo obowiązującego teoretycznie zakazu palenia. Kręciło się tu pełno degeneratów, ale także kilku gości z Wall Street ubranych w garnitury i krawaty, chciwych na pieniądze. Joey popatrzył na zakłady wyświetlone na ekranie telewizora i z zaskoczeniem stwierdził, że jego ulubionego konia – numer sześć – obstawiono dwanaście do jednego. Faworytem jest numer trzy, startujący po raz pierwszy. Joey nawet nie kupił *Racing Form* ani programu. Po prostu lubił numer sześć i nie zamierzał zniechęcać się jego ostatnimi niepowodzeniami. Chybaby się zabił, gdyby obstawił innego konia, a numer sześć by wygrał.

Joey mógł składać zamówienie na zakład przez telefon, dzięki czemu nie płaciłby pięcioprocentowej prowizji, ale zostało mu tylko pięć minut, a operatorzy telefoniczni pracowali w żółtim tempie i w rezultacie spóźniłby się z obstawieniem. Do diabła więc z prowizją pobieraną przez biuro – i tak się zwróci z wygraną.

Chciał już powiedzieć: „Sto dolarów na numer sześć”, ale przy okienku nabrał pewności, że jego koń po prostu zmiecie pozostałe, więc rzucił:

– Trzysta na wygraną numeru sześć.

Konie stanęły na starcie. W tym momencie serce Joey’ego zaczęło walić, a dłonie mu się spociły. Krzyczał do monitora: „Dalej, Jose!...”, „Wygraj na tym koniu!...”, „Dalej, Jose, wygraj na numerze sześć!”, jakby koń i jego dżokej, Jose Martinez, go słyszeli.

Po otwarciu bramki twarz Joey’ego zrobiła się czerwona, a rozgorączkowane oczy aż mu się świeciły. Numer szósty wysunął się na prowadzenie, ale potem zwolnił i zniknął z ekranu. Joey modlił się, by się pojawił nagle na ostatniej prostej, ale zobaczył go dopiero na linii mety, dobre dziesięć długości za resztą koni.

Cholera, jak spłacić Franka, straciwszy kolejne trzysta dolarów, zastanawiał się Joey.

David Sussman skrzywił się, przelżykając swoją codzienną dawkę soku z perzu. Zastanawiał się nad sensem takiego torturowania samego siebie. Ci, co kupują jedzenie w sklepach ze zdrową żywnością i piją naturalne soki, wyglądają blado i chorowicie. Zdrowi

ludzie jadają w McDonalddie.

Po wyjściu z baru na rogu Czterdziestej Czwartej, gdzie serwowano świeżo wyciskane soki, David przemierzał Trzecią Aleję w tłumie biznesmenów, którzy wylegli na ulice w przerwie na lunch. Dzień był piękny, choć zimny: świeciło słońce i prawie w ogóle nie wiał wiatr. David jednak czuł się wyjątkowo źle. Rozważał nawet, czy to nie przez ten perz, bo czytał kiedyś o jego dziwnych efektach ubocznych, między innymi bólu żołądka, mdłościach i uczuciu zmęczenia. Takie objawy mogą powodować też depresję.

David nie miał innego powodu do przygnębienia. Amy nie zjawiała się dzisiaj rano u niego w biurze. Miał nadzieję, że przepała się i zrozumiała, jak idiotycznie zachowała się poprzedniego wieczoru i od teraz da już mu święty spokój. W zeszłym miesiącu David otrzymał podwyżkę. Dostawał teraz dziewięćdziesiąt sześć tysięcy rocznie podstawowej pensji, co razem z premią dawało sto sześćdziesiąt tysięcy. Posiada piękne mieszkanie, wspaniałą żonę i córkę. Nie istniała więc żadna przyczyna, dla której miałby się źle czuć, a mimo to czegoś mu brakowało. Romanse nie stanowiły w tym przypadku odpowiedzi. Jego życie nie miało tego „pieprzu”, co kiedyś. Za dziesięć lat pewnie też będzie pił sok z perzu i pracował w tym samym biurze. Osiągnie wtedy wiek czterdziestu siedmiu lat, prawie pięćdziesięciu.

Kiedy stał na przejściu, czekając na zmianę świateł, zauważył patrzącą na niego kobietę. Młoda blondynka przyglądała się mu chyba z zainteresowaniem. Wyprostował się więc, wypiął klatkę piersiową, ale po chwili okazało się, że kobieta *wpatruje* się w niego z lekkim niesmakiem, skupiając swój wzrok na jego włosach. Czyżby ptak narobił mu na głowę? Zatrzymał się przed najbliższym oknem wystawowym i spojrzał na swoje odbicie. Aż ścisnęło go w żołądku i odbiło się sokiem z perzu. Łysiał. Włosy, które kiedyś stanowiły całą jego urodę, teraz wychodziły. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio dokładnie je oglądał, ale łysina pojawiła się chyba z dnia na dzień. Słyszał o takich przypadkach już wcześniej – mężczyzna budzi się pewnego ranka i widzi wszystkie swoje włosy na poduszce. Teraz miał wrażenie, że mijający go ludzie patrzą wyłącznie na jego głowę. Wszedł do najbliższej apteki i kupił środek na porost włosów. Kiedy postawił opakowanie na ladzie, kasjerka wcale się nie zdziwiła jego zakupem. A więc to nie wytwór jego wyobraźni. David miał przystąpić do Klubu Łysych. Oto co się dzieje z mężczyzną po czterdziestce. Ani się obejrzy, a będzie potrzebował jakichś stymulatorów prącia. Jego członek będzie pewnie w stałej erekcji.

W biurze David zamknął się i wmasował odrobinę kupionego preparatu w głowę. Potem w programie GroupWise sprawdził terminy spotkań ustalone na popołudnie. Miał je kolejno o drugiej trzydziści, trzeciej, trzeciej czterdziści pięć i czwartej piętnaście.

Zasadniczo jego praca polegała wyłącznie na odbywaniu zebrań. Nieraz zastanawiał się, dlaczego agencja nie wynajmie robotów, które przychodziłyby za niego i uczestniczyły w spotkaniach.

Na pierwszą trzydzieści zaplanowano posiedzenie pracowników, najgorsze, co może być. Wszyscy siedzieli i po kolei opowiadali o „sprawach firmy”, począwszy od wielomilionowych kontraktów, na zepsutej splotce kończąc. David krótko zrelacjonował problem z rachunkami w dziale księgowości, po czym wyłączył się i rozmyślał o swoich włosach. Może wypadają mu przez ten sok z perzu?

Po skończonej naradzie Andy Lawson, jeden z młodszych pracowników działu marketingu, wracał z Davidem do biura.

Klepiąc go po plecach, zapytał:

– No, jak tam ci idzie z tą Chinceczką?

Z początku David nie wiedział, o czym Andy mówi. Był tak pochłonięty myślami o lysinie, że całkowicie zapomniał o Amy. Po chwili przypomniał sobie, jak kilka tygodni temu opowiadał o niej Andy’emu w męskiej toalecie: – Jest jeden problem, kiedy pieprzysz Chinkę. Zawsze się spóźniasz przynajmniej o godzinę.

Czuł się wtedy młody i jurny, dobrze to pamięta. Teraz zrozumiał, jak głupio się zachował, odgrywając dumnego z siebie waśniaka. Chwalił się wszystkim na temat Amy, jak jakiś uczeń z liceum, który po raz pierwszy zasmakował w seksie. Co on sobie wyobrażał? Wystarczy, że ktoś, kto słyszał o jego romansie z Amy, zadzwoni do Leslie i uprzejmie doniesie o jego wybrykach. David nigdy nie chodził na terapię, ale domyślał się, co by psycholog powiedział na ten temat – trąbił wszystkim o swoich podbojach, bo tak naprawdę *chciał*, żeby Leslie się dowiedziała. Tylko niby dlaczego? Kochał rodzinę bardziej niż cokolwiek innego na świecie i nie chciał jej stracić.

– Ach, mówisz o Amy? – David udawał, że ledwo ją pamięta. – Nie mam pojęcia.

– Jak to? Przecież parę tygodni temu ciągle o niej gadałeś.

– No, tak, ale teraz już się z nią nie spotykam – wykręcał się David. – Zresztą, nic dla mnie nie znaczyła.

– Nie znaczyła? Z tego, co opowiadałeś, wyglądało to na coś poważnego. Wszyscy ci zazdrościli. Żona i jeszcze taka napalona laska na boku. Jezu...

Andy miał dwadzieścia pięć lat, był wysokim blondynem, pochodził z Tallahassee na Florydzie. Podobnie jak większość osób pracujących w reklamie, trafił tu po college’u, bo chciał się jakoś ustawić. W dużych agencjach reklamowych zatrudnionych było mnóstwo młodych ludzi, zarabiających dwadzieścia dwa tysiące rocznie, przez co firmy te

przypominały bardziej studenckie akademiki. Każdego dnia duża grupa pracowników R.L. Dwyer „okupowała” pobliski bar przy Drugiej Alei. W dni robocze przeważnie przesiadywali tam do dwunastej lub pierwszej w nocy, ale w czwartki, a już szczególnie w piątki, wychodzili o dwunastej i włączyli się po najróżniejszych barach i klubach przy Upper East Side. Do domu nie wracali wcześniej niż przed drugą, trzecią nad ranem. Nic więc dziwnego, że ci, którzy latami pracowali w agencji reklamowej, z czasem stawali się alkoholikami. Po ukończeniu studiów David zatrudnił się w R.L. Dwyer i pił każdego wieczoru. Jednak mając trzydzieści lat, rzucił mocne alkohole i od czasu do czasu raczył się piwem. Dawniej również zachowywałby się jak Andy i próbował nawiązać kontakt z jakimś trzdziesięcioletnim, aby pogadać z nim o swoich alkoholowo-seksualnych podbojach. Teraz tylko podejrzliwie zapytał:

– Co to znaczy „wszyscy”?

– No, nie wiem – powiedział Andy. – Po prostu, wszyscy.

– Nie sądziłem, że to taka ważna sprawa.

Andy uśmiechał się zmieszany. Pod przekrwionymi oczami widniały ciemne worki. Pewnie miał kaca.

– No co ty – bagatelizował. – Powinieneś być dumny z siebie, zaliczając taką babkę.

– Powiedziałem ci już, ona hic dla mnie nie znaczy – David zaczynał się już denerwować.

– Dobra, no już przepraszam – wybełkotał Andy. – Nie miałem nic złego na myśli.

Szli korytarzem, kierując się do części budynku wychodzącej na Trzecią Aleję, gdzie mieścił się dział marketingu. Dwie młode dziewczyny – rok, dwa lata po college’u – przeszły obok, wpatrując się w Davida. Na myśl o swoich włosach jeszcze bardziej się zdenerwował.

– Wiesz, czas już dorosnąć – zaczął swój wykład. – Ile masz lat, co? Dwadzieścia pięć. Powinieneś zastanowić się nad swoją przyszłością, co będziesz robił, kiedy ci stuknie trzydziestka. Chcesz za dwadzieścia lat skończyć jako alkoholik, czekający na przeszczep wątroby? Nie żartuję, więc przestań się tak głupkowato uśmiechać. A czy zdajesz sobie sprawę z faktu, że jestem jednym z twoich przełożonych tutaj? Coś tu znaczę i odgrywam bardzo ważną rolę w twojej karierze. Co, jeśli na odchodne napiszę ci gówniane rekomendacje? Czy wiesz chociaż, jak trudna jest branża reklamy? Żadna agencja więcej cię nie zatrudni. Zawsze znajdą dwudziestolatka, który jeszcze się nie wypalił, a może pracować za połowę tego, co dają tobie. Więc zanim przyjdiesz do mnie taki zadowolony z siebie i zaczniesz mi dyktować, z czego mam być „dumny”, to najpierw zastanów się, z kim rozmawiasz. Jeśli nie będziesz okazywał więcej szacunku, znajdziesz się na równi pochyłej i

skończysz na bruku szybciej, niż ci się wydaje.

Zatrzymali się i stali w otwartej części biura. Sekretarki wyglądały ze swoich dziupli, a przechodzący obok ludzie przystawali, aby zobaczyć, o co chodzi w tym zamieszaniu.

– Przepraszam cię – wykrztusił Andy. – To znaczy, ja... ja...

David wpadł do swojego biura i trzasnął drzwiami tak mocno, że zadrżała ściana. Przez kilka minut czuł się dobrze, jak gwiazda schodząca ze sceny po brawurowo zagrany przedstawieniu, ale po chwili uzmysłowił sobie, jak idiotyczne w sumie było jego wystąpienie. Wszyscy pewnie pomyślą, że postradał rozum, cierpi na załamanie nerwowe, albo też skojarzą sobie fakty i połączą je z Amy. A nie daj Bóg, jeśli prezes firmy, Robert Dwyer III, dowie się o jego skandalicznym zachowaniu – uwiedzenie koleżanki z pracy i darcie się na kolegę jak jakiś wariat – wówczas David znajdzie się na bruku dużo szybciej niż Andy Lawson...

Eric Henrickson otworzył drzwi. Jako asystent menedżera działu marketingu, Eric miał z Davidem wielu wspólnych klientów. Poza pracą był też jednym z jego niewielu przyjaciół. Czasami Eric i jego narzeczona oraz David i Leslie szli razem na kolację lub do kina.

– No, co tam się dzieje? – zapytał Eric.

Był niski, krępy i nosił druciane okulary. Davidowi zawsze kojarzył się z księgowym.

– Och, nic takiego – odparł David, siadając za biurkiem i bezwiednie dotykając włosów. – Zwyczajnie, mam tydzień do dupy.

– Problemy w domu?

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Tylko... no, nie wiem. Ale nie martw się, wszystko jest pod kontrolą. Tylko tego mi trzeba – kolejnych plotek w pracy na mój temat.

– Czyżby miało to coś wspólnego z tą kobietą z działu artystycznego, co? Jak jej było na imię? Przypomnij mi.

– Amy Lee. Nie, nie o nią tu chodzi – rzucił David ze złością.

– Dobra. Przepraszam. Chciałem tylko pomóc.

– Ale ja nie potrzebuję twojej cholernej pomocy...

David jeszcze nigdy nie krzychał na Erica. Boże, chyba nie przechodzi jakiegoś załamania?

– Nie ma sprawy – Eric zaczął się wycofywać. – Zapomnij o moim pytaniu. Ale, wiesz, dobrze by ci zrobiły wakacje.

David przypomniał sobie swój ostatni urlop – pobyt w North Miami Beach u rodziców Leslie. Jeździli tam zawsze w grudniu i spędzali tydzień z grupą geriatryków – ocalonych z Holocaustu starszków, którzy uważnie sprawdzali, czy ma na sobie bransoletkę z

identyfikatorem, kiedy wchodził do centrum zdrowia. Jakby w akcie zemsty za nazistów chcieli innym robić piekło z życia. Zanosilo się na to, że David będzie jeździć razem z Leslie do tego małego gaju tak długo, aż jej starzy wykitują. A wtedy ile lat mu stuknie? Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć?

– Przepraszam – odezwał się David. – Nie chciałem wyżywać się na tobie. Może i ma to trochę związek z Amy. Wczoraj wieczorem naskoczyła na mnie.

– Co to znaczy „naskoczyła”?

– No, zupełnie straciła kontrolę. Wściekła się i groziła mi, że zadzwoni do Leslie i Jessiki.

– Ee, nabierasz mnie.

– Mówię prawdę, nic w tym zabawnego.

– No i co zrobiłeś?

– Nic. Mam nadzieję, że już się opamiętała, bo nie zjawiała się przez cały dzień. Ale wyznam ci, cała sprawa mną wstrząsnęła. Zacząłem zastanawiać się nad tym, jak postępowałem w ostatnich tygodniach. Istny dupiek nad dupkami. Wcześniej też się zabawiałem, ale nigdy nie w ten sposób. Nie byłem sobą. Chwaliłem się codziennie swoimi seksualnymi podbojami, jakbym był jakimś latynoskim kochankiem. Coś we mnie wstąpiło, nad czym nie mogłem zapanować. Cholera, sam nie wiem, co chcę ci powiedzieć.

– No, trochę cię poniosło – stwierdził Eric. – Zdarza się nawet najlepszym.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – obruszył się David.

– Kiedyś zdradziłem moją dziewczynę – przyznał się Eric. – Nie jest to przyjemne uczucie.

– No, tak, ale zdradzanie żony to coś trochę innego – powiedział David. – Nie mogę z nią zerwać i spotykać się z kimś innym. Kurde, jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat, znamy się osiemnaście. Mam też córkę. Mógłbym to wszystko stracić, ot tak.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego ta Amy tak naskoczyła na ciebie – zastanawiał się Eric. – To znaczy, jeśli nie miała powodu.

– Co masz na myśli?

– No, bo chyba jej nie zwodziłeś, co? Niczego nie obiecywałeś?

David przypomniał sobie, jak mówił o ślubie, mimo to odparł z oburzeniem:

– No, co ty? Myślisz, że zwariowałem?

– Ale coś musiało ją wkurzyć – upierał się Eric.

– Widziałeś kiedyś pacjentów oddziału psychiatrycznego, którzy patrzą bez mrugnięcia okiem? Ona tak właśnie wyglądała. A sposób, w jaki mówiła – twardo, groźnie,

jakby pochodziła z innej planety.

– Więc co zamierzasz?

– Nie mam pojęcia. Zresztą to już koniec tej znajomości, mam nadzieję. Nie widziałem jej cały ranek, więc pewnie wszystko zrozumiała. Ale zrób mi przysługę i nie rozmawiaj o tym z nikim, dobrze? Czuję się jak idiota, bo przechwalałem się jak uczeń w szatni. Nie chcę, żeby usłyszała, co ludzie gadają, i potem coś sobie umyśliła.

– *No problema* – zapewnił Eric.

– Ale jeszcze czegoś tu nie rozumiem – ciągnął David. – Znała mój domowy numer telefonu i imię córki. Nie mam zielonego pojęcia, jak je zdobyła...

– Obawiam się, że to moja wina – powiedział Eric, spuszczać wzrok. – Któregoś dnia zatrzymała mnie na korytarzu. Spieszyłem się i nie zastanowiłem. Podobno musiała zadzwonić do ciebie w bardzo ważnej sprawie.

– I to ty dałeś jej mój numer?

– Naprawdę, nie pomyślałem.

– Ale dlaczego wspomniałeś o Jessice?

– Bo niby kiedyś już ją poznała i byłoby jej wstyd, gdyby dzwoniąc, nie znała jej imienia.

– Ale dlaczego zaraz... – David już chciał wybuchnąć, jednak w porę się zreflektował. Sprawa z Amy stanowi zamknięty rozdział, a do tego przecież dążył, więc nie ma sensu winić teraz Erica.

Przez resztę popołudnia David próbował zająć się pracą. O czwartej przeprowadził telefoniczną konferencję z klientem i przedstawicielem R.L. Dwyer w CNN. Kiedy skończył, było już po szóstej. Obiecał Leslie wrócić na obiad wcześniej, więc zamierzał do niej zadzwonić i poinformować, że jest w drodze do domu. Właśnie rozmawiał z Leslie, kiedy w biurze zjawiła się Amy, ubrana w króciutką czarną miniówkę – zawsze nosiła krótkie spódniczki do pracy, ale ta ledwie zasłaniała jej pośladki – oraz białą, jedwabną bluzkę. Usta pomalowała jak zwykle czerwoną szminką, a długie, proste włosy zaczesła na jeden bok. Z tym samym co zeszłego wieczoru nieprzeniknionym wyrazem twarzy po prostu stała w drzwiach i wpatrywała się w Davida.

David starał się ukryć ogarniający go atak paniki. Cały czas uśmiechał się, kiedy Leslie prosiła go o kupienie w sklepie spożywczym na rogu kilku deka oliwek.

– Dobrze, kochanie moje. Wszystko dla ciebie, kochanie.

Zaakcentował to „kochanie moje”, a potem jeszcze „wszystko dla ciebie”, patrząc znacząco na Amy. David odłożył słuchawkę i spytał z wściekłością:

– Czego, do diabła, tu szukasz?

– Jak to? – zdziwiła się Amy. – Myślałam, że umówiliśmy się na randkę.

– Wczoraj chyba ci wszystko wyjaśniłem... wczoraj wieczorem. Nie chcę, by dochodziło między nami do jakichkolwiek napięć.

W tym momencie Amy się uśmiechnęła – był to raczej wymuszony uśmiech, wyrażający bardziej groźbę niż sympatię – i powiedziała: – Mnie też na tym zależy. Żadnych napięć.

Podeszła do Davida, kołysząc się, jakby za chwilę miała zrobić striptiz. Wcześniej już się w to bawiła, a biurko służyło jej za scenę. David poczuł ściskanie w żołądku na myśl o tym, jak wówczas wkładał jej zwinięte banknoty za majtki – kompletny kretyn. Rosnące pożądanie w członku jeszcze bardziej go rozłościło.

– Amy...

– No, co się dzieje? Wczoraj wyznałeś mi miłość.

– Zmusiłaś mnie do tego.

– Pamiętam tylko, jak mówiłeś, że mnie kochasz.

Amy zatrzymała się przed biurkiem Davida. Zaczęła zdejmować bluzkę.

– A co powiesz na małe, miłe bzykanie? Tu, na biurku.

David złapał się na tym, jak to sobie wyobraża. Poczuł kolejną, jeszcze silniejszą falę pożądania – jego sztywny penis dotykał wewnętrznej strony uda, jednak opanował się i powiedział: – Do cholery, nie rozumiem, co z tobą. Masz jakiś problem? Jeśli tak, to w porządku, rozumiem to. Ale musisz też zrozumieć, że jestem żonatym mężczyzną. I do tego szczęśliwie. Trudno ci to przyjąć, wiem. Możesz czuć się odrzucona, bo odchodzę od ciebie. Mówiłaś mi kiedyś, że twoi rodzice się rozwiedli, tak? Cóż, pewnie miało to wpływ na twoje życie. Wiem coś o tym, bo i moi rodzice się rozwiedli. Na pewno winisz za to swojego ojca, a wszyscy mężczyźni go uosabiają i cię porzucają. Słuchaj, nie jestem psychologiem i nie chcę grzebać w twojej duszy. To nie moja sprawa. Próbuję tylko ci uświadomić, że z nami koniec. Jeśli cię zdenerwowałem, to naprawdę nie zamierzałem.

Amy ziewnęła.

– Znowu zaczynasz się wykręcać. Obawiałam się tego – stwierdziła. – Cóż, trzeba będzie od nowa przechodzić przez te same bzdury.

– Bzdury? – powtórzył David.

– Zapewniałeś mnie, że mnie kochasz i chcesz się ze mną ożenić – przypomniała Amy.

– A teraz trudno ci jest przyznać się do tego przed samym sobą. Nie chcę grzebać w twojej duszy, to nie moja sprawa – przedrzeźniała Davida. – Wielu facetów boi się wiązać. A ty

jesteś żonaty, więc to dla ciebie tym bardziej trudne.

– Oszalałaś – wymknęło się Davidowi. Takie stwierdzenie mogło ją jeszcze bardziej rozdrażnić, więc dodał: – To znaczy, zachowujesz się jak szalona. Szczerze mówiąc, powinnaś porozmawiać z psychologiem. Nie wydawaj się z tym, tylko zrób to dyskretnie, tak żeby nikt w pracy nie wiedział...

– No, to zajrzyj do WordPerfecta, na dysku G – powiedziała Amy.

– Po co?

– Zobaczysz.

David spojrział na Amy, nie wiedząc, czy nie wygłupił się, dokonując takiej jej analizy.

– Nie mam czasu na gierki – odparł David. – Muszę wracać do domu na obiad z rodziną.

– Możesz jej nie mieć, jeśli nie będziesz robił, co ci każe.

– Grozisz mi? – David rozumiał, że jest to pytanie retoryczne. I tak nic na to nie poradzi. Przecież nie zadzwoni na policję.

– To ty za mną łączyłeś – zauważyła Amy.

Chcąc się jej jak najszybciej pozbyć, David obrócił swój fotel i otworzył WordPerfecta.

– Który dysk?

– G – powiedziała Amy. – Jak punkt G.

David kliknął na dysk G.

– Teraz przejdź do użytkowników... nazwa pliku „Paniusia”.

– Jak?

– Paniusia – przeliterowała. – Bo takie wrażenie zrobiła na mnie twoja żona dzisiaj. Strasznie paniusiowata.

David odwrócił się gwałtownie na fotelu.

– Co ty, do cholery, mi tu gadasz?

– Otwórz, a zobaczysz.

Plik „Paniusia” został zachowany w formacie bitmapy. Chwilę trwało, nim po kliknięciu go myszą pojawił się obraz. Najpierw ukazały się kolory zielone, niebieskie i szare, a potem niewyraźny zarys dwóch postaci.

– No, i co to ma być? – zapytał David.

Obrazek stawał się coraz wyraźniejszy i David ujrzał jasne światła oraz markizy barów szybkiej obsługi w tle. Tymi dwiema postaciami były kobiety. Jednak panika dopadła go dopiero, kiedy ujrzał, kim są te kobiety.

– Cholera, kiedy to zdjęcie zostało zrobione?

Widniały na nim Leslie i jej koleżanka Maureen, siedzące przy stoliku w restauracji lub kawiarni. Był dzień i Leslie miała na sobie błękitny sweterek z kaszmiru, a Maureen brązową marynarkę.

– Odpowiedz mi – żądał David. – Gdzie zostało zrobione?

– Uspokój się – uśmiechnęła się Amy. – Słyszałam już o twoim wybuchu dzisiaj po południu. Nie chcesz chyba uchodzić w pracy za furiata.

David spojrział ponownie na monitor. Leslie i Maureen miały bardzo poważne miny. Między nimi leżały plastikowe tace z niedokończoną sałatką.

– Pytam cię jeszcze raz. – Nie poddawał się.

– No, dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, to jest to w centrum handlowym na Manhattanie.

Teraz rozpoznał bary w tle, wychodzące na Szóstą Aleję.

– Cholera, kiedy je wykonano?

– Dziś po południu. Poszłam do laboratorium, gdzie wywołują zdjęcia w godzinę, a potem zeskanowałam je do komputera.

– Ale z nią nie rozmawiałaś, prawda?

– Nie, oczywiście. Chociaż miałam okazję. Jak widzisz, znajdowałam się bardzo blisko.

Zdjęcie mogło być zrobione z odległości około dziesięciu metrów.

– Widziały cię?

– Nie. To znaczy, nie w momencie, kiedy je fotografowałam. Ale twoja żona widziała mnie potem. Wiesz, poszliśmy razem na zakupy.

– Co?

– Muszę przyznać, David, że jest bardzo atrakcyjna, ale trochę przy kości, przyznaj to sam. Ty wolisz typy sportowe, ze szczupłymi udami i pośladkami jak ze stali – jak moje. Mogłaby też spuścić trochę z tonu. Z jakiej racji kobitka z Bronxu uważa się za dar od Boga?

– Skąd wiesz, że pochodzi z Bronxu?

– Już ci mówiłam. Poszliśmy razem na zakupy. Po rozstaniu z koleżanką śledziłam ją aż do sklepu Macy'ego. Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz kobiecie korzystać bez ograniczeń z twojej karty kredytowej. Na szczęście wyperswadowałam jej kupno sukienki od Donny Karan. Powiedziałam, że jej nie leży, ale tak naprawdę po prostu ją postarzała.

– Podobno z nią nie rozmawiałaś.

– Nie mówiłam jej, kim jestem. Sądziła, że jestem obcą kobietą, która stara się jej pomóc w wyborze sukienki. Często tak się zdarza, sam rozumiesz.

– Jak to? – dziwił się David. – A skąd wiedziałaś, gdzie znaleźć Leslie i jej koleżankę?

– Wiedz lepiej, że masz szczęście. Nie odtworzyłam jej tego...

Amy otworzyła torebkę i wyjęła miniaturowy magnetofon. Nacisnęła przycisk PLAY.

– *Kocham cię, Amy.*

– Oddaj mi tę kasetę!

– Cii – szepnęła Amy, wskazując głową na drzwi. – W biurze są jeszcze ludzie.

– Mówię ci. Oddaj mi ją natychmiast.

David stał i schylał się przez biurko.

– Dobrze – zgodziła się Amy. Wyjęła kasetę i podała ją Davidowi. – Ale to na nic. Mam kopie w domu wraz z innymi nagraniami. Na przykład, kiedy wymawiałeś moje imię, pieprząc się ze mną.

David wyszarpnął taśmę i porwał ją na kawałki. Następnie rzucił pudełko na biurko i zmiażdżył przyciskiem do papieru.

– Bądź u mnie dzisiaj wieczorem o dziewiątej – powiedziała Amy. – Mój adres też jest na dysku G. Nazwa pliku „Napalona”. Przyjdź punktualnie, bo inaczej nasza paniusia usłyszy całą moją kolekcję nagrań.

– A jeśli nie przyjdę? – zapytał David.

– Przydziesz – Amy znów się uśmiechnęła. – Jak dotąd mnie nie zawiodłeś.

5

Maureen już zdecydowała – albo Joey zgłosi się do Anonimowych Hazardzistów, albo się rozwodzą.

Po lunchu ze swoją najlepszą przyjaciółką, Leslie, nabrała jeszcze większej pewności siebie. Leslie i Maureen wychowywały się razem w tym samym domu, będącym częścią kompleksów mieszkań wspólnotowych na Bronxie. Maureen zawsze uważała, że są więcej niż siostrami. Po śmierci matki, ojciec Maureen wpadł w głęboką depresję. Potem stracił pracę w firmie State Farm, gdzie sprzedawał polisy ubezpieczeniowe, i od tego czasu zaczął ostro pić. Maureen była wtedy w pierwszej klasie liceum. Każdego dnia po powrocie ze szkoły zastawała nieprzytomnego ojca leżącego na kanapie. Próbowwała mu pomóc – dzwoniła nawet do jego brata, który był lekarzem i mieszkał na Manhattanie, ale on nie chciał się wtrącać. Tymczasem ojciec stawał się coraz gorszy. Raz Maureen przyprowadziła do domu chłopaka i została w jego obecności wyzwana od „dziwek” i „kurw”. W końcu miała już tego dość i większość czasu przesiadywała u Leslie.

Zawsze traktowała Alana i Elaine Schlossbergów jak własnych rodziców. Kiedyś w wakacje zabrali ją i Leslie na Florydę. Jedno lato Maureen spędziła z rodziną Leslie w bungalowach w Catskills. Obchodziła też ze Schlossbergami żydowskie święta. Natomiast Elaine Schlossberg, by zrobić Maureen przyjemność, gotowała świąteczny obiad na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Chociaż Maureen uważała Leslie za swoją najbliższą przyjaciółkę, to w duchu zawsze jej zazdrościła. Przyjaciółka miała idealną, drobną twarz, piękne włosy, szczupłe, zgrabne ciało, a na dodatek była urodzoną artystką. W liceum nauczyciele wieszali jej prace na wystawie w korytarzu. Wszyscy przystawali przed nimi, podziwiając talent ich autorki. Maureen starała się wyobrazić sobie, co to znaczy być Leslie i czuć się szczęśliwą.

Kiedy Leslie wyjechała do Albany na studia, Maureen poczuła się opuszczona. Została przyjęta do college’u Huntera, ale nie chciała dalej mieszkać z ojcem pod jednym dachem. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali, a on pił coraz więcej. Wdawał się z obcymi ludźmi w bójki, a pewnego dnia uderzył Maureen tak mocno, że czarno-fioletowy siniec przez dwa tygodnie nie schodził jej spod oka. Miarka się przebrała. Przeniosła się na Manhattan i zamieszkała ze współlokatorką na West Side. W dzień uczęszczała na zajęcia, a wieczorami pracowała dorywczo, wpisując dane do komputera. Jako kierunek na studiach wybrała nauki polityczne i myślała o rozpoczęciu studiów prawniczych. Jednak po dwóch latach college’u skończyły się jej pieniądze, musiała więc rzucić naukę. Zatrudniła się jako sekretarka w

kancelarii prawniczej.

W szkole średniej i w college'u umawiała się z chłopakami, ale nigdy nie miała żadnego na stałe. Uważała, że odstraszały ich jej problemy rodzinne. Po przeprowadzce na Manhattan nic się w tej kwestii nie zmieniło. Coraz trudniej było jej poznać kogoś miłego. A przecież z wiekiem nabierała urody. Zapuściła włosy, zrzuciła parę kilogramów i nauczyła się robić sobie makijaż. Jednak w barach, do których chodziła z przyjaciółmi, okazywało się, że co przystojniejsi faceci nie zwracali na nią uwagi i przeważnie nie miała z kim nawet porozmawiać.

Kiedy Leslie po skończeniu college'u zamieszkała ze swoim chłopakiem, Davidem, Maureen zaczęła mieć nadzieję, że i jej sprawy uczuciowe w końcu się ułożą. David wydawał się jej inteligentny i czarujący – idealny mężczyzna stworzony dla idealnej kobiety. Często bywała „przyzwoitką” na ich randkach, chodziła z nimi do restauracji, klubów i kina. Kilka razy David poznał ją ze swoimi kolegami ze studiów. Z jednym spotykała się kilka miesięcy, ale nic z tej znajomości nie wyszło.

Samotne lata uciekały, a Maureen wciąż nikogo nie miała. Wtedy to, pewnego wieczoru w barze na West Side, zaraz za rogiem jej domu, poznała Joey'ego DePino. Okazał się zabawnym, słodkim facetem z klasy robotniczej, pochodzącym z Brooklynu. Na dodatek w połowie był Żydem, a w połowie Włochem – w pewien sposób przypominał jej o własnych korzeniach. Imponowało jej, że jest od niego bardziej atrakcyjna, a on nie miał wykształcenia. Kiedy się spotykała z Joey'em, czuła się dowartościowana.

Gdyby wiedziała, co to znaczy uzależnienie od hazardu, zanim poznała Joey'ego, to na pewno w życiu by za niego nie wyszła. Na randkach Joey opowiadał jej, że uwielbia grać, a pokochał to od czasu, kiedy ojciec zabrał go jako chłopaka na wyścigi konne. Kilka razy nawet towarzyszyła mu na Meadowlands w New Jersey, a raz pojechali na weekend do Atlantic City. Maureen obserwowała ze zdziwieniem, jak Joey'ego podnieca już sama rozmowa o obstawianiu zakładów. Podejrzewała więc, że traci on więcej pieniędzy, niż jej mówi. W końcu potraktowała jego pasję jako jedną z typowo „męskich spraw”, jak mecze piłki nożnej czy golf w niedzielę, będącą częścią ich życia.

W pierwszym roku ich małżeństwa Joey prawie w ogóle nie grał, ale później zaczął już chodzić na wyścigi. Z początku tylko w soboty, jednak nim Maureen zdążyła się zorientować, bywał tam trzy, cztery razy w tygodniu. Kiedy siedział w domu, wcale nie było lepiej. Jeśli nie udało mu się obstawić zawodów w telewizji, chodził zły i zamyślony. Maureen odnosiła wrażenie, że nie potrafi już z nim normalnie rozmawiać. Zawsze, kiedy próbowała z nim podyskutować o problemie, wściekał się i na nią naskakiwał. Szybko więc zrozumiała, że

hazard to choroba, tak samo jak alkoholizm. To stwierdzenie przywracało jej smutne wspomnienia z dzieciństwa.

Stopniowo zaczynała tyć. Stosowała diety, ale przez nieporozumienia z Joey'em jadła coraz więcej. Mierzyła metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, a ważyła ponad dziewięćdziesiąt kilo. Zaczęła nienawidzić swojego wyglądu i Joey'ego jako przyczynę tego stanu. Znalazła się w pułapce – Joey'ego, mieszkania i wykonywanego zawodu. Od dziewięciu już lat pracowała dla tej samej grupy krwiożerczych i wątpliwej moralności prawników. A była wystarczająco bystra, by znaleźć sobie taką pracę, jaka jej odpowiada – czasami miała wrażenie, że lepiej wykonywałaby zawód prawnika niż oni sami – jednak to wiązało się z koniecznością skończenia studiów, a jak, jeśli Joey cały czas uprawiał hazard? Gdyby sama nie płaciła większości rachunków i czynszu przez ostatnie dwa lata, to nie wiadomo, jak by oboje skończyli.

Maureen miała już dość tej sytuacji, a czas naglił. Jeśli wkrótce nie urodzi dzieci, to nigdy nie będą stanowili pełnej rodziny. Najgorszy scenariusz jej życia – ona się starzeje, sama z Joey'em w tym samym obskurnym mieszkaniu – coraz częściej zaczynał przybierać realny kształt.

Najwyższy czas pomyśleć o sobie, moja kochana – radziła Leslie. Siedziały z Maureen przy stoliku na tyłach centrum handlowego na Manhattanie. – Musisz zadać sobie jedno pytanie: czy rzeczywiście chcesz tego w życiu? Czy o to ci chodziło?

– Łatwo ci mówić – skwitowała Maureen.

Zawsze uważała, że Leslie i David stanowią idealne małżeństwo. Gdyby jej było choć w połowie takie, nie miałyby powodów do narzekań.

– Możesz mieć, co chcesz – przekonywała Leslie. – Ale trzeba zacząć od siebie samej. Jeśli uważasz, że nie zasługujesz na dobre rzeczy, a twoim przeznaczeniem jest smutek i depresja, to wtedy tak się stanie. Uwierz mi, gdybyś widziała to, co ja widzę, wtedy wiedziałabyś dokładnie, co robić. Patrzę na młodą, pełną życia, atrakcyjną kobietę, która wyszła za bezmyślnego, samolubnego, chorego człowieka. Bo on *jest* chory, Maureen. Mam nadzieję, że w końcu to zrozumiesz.

Leslie zawsze ją buntowała i radziła pozbyć się Joey'ego. Dzisiaj wreszcie to się jej udało. Maureen nigdy wcześniej nie myślała o rozwodzie, ale teraz postanowiła: dość już tych cierpień.

Kiedy Joey wrócił do domu, czekała przy drzwiach, gotowa na konfrontację.

– O, nie, nie tym razem – uprzedził ją Joey. – Naprawdę nie jestem w nastroju.

– Chcę ci powiedzieć coś ważnego – odezwała się Maureen.

– Głucha jesteś? – zdenerwował się Joey. Poszedł do kuchni. Rzucił kurtkę z symbolami New York Giants na krzesło i otworzył lodówkę. – Czy w tym pieprzonym domu jest coś do jedzenia?

Z tonu jego głosu Maureen wywnioskowała, że wydarzyło się coś niedobrego. Z obawą o ich ostatnie pieniądze na czynsz, zapytała:

– Co się stało?

– Te kiszzone ogórki – mówił Joey, przewracając zawartość lodówki. – Co się, kurwa, stało z ogórkami?

– Wyrzuciłam je wczoraj – odparła Maureen.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Były już stare.

– Przecież kupiłaś je dopiero parę tygodni temu.

– Raczej kilka miesięcy.

– I co z tego? Kiszzone ogórki się nie starzeją.

– Kupię ci świeże.

– Nie do wiary. Prawie żadnego jedzenia w domu, a to, co mamy, ty po prostu wyrzucasz.

– Co się stało, Joey?

– Umieram z głodu, to się stało. Czy w tym cholernym domu nie ma już nic do jedzenia?

– Przegrałeś forszę na czynsz?

Joey trzasnął drzwiami lodówki.

– Zadałam ci pytanie – Maureen nie dawała za wygraną. – A to ma związek z tym, o czym chciałam z tobą porozmawiać. Dobrze wiesz, jestem pełną życia, atrakcyjną kobietą i zasługuję na coś lepszego.

– Co ty, do diabła, pleciesz?!

Wybuch złości Joey'ego zbił ją z tropu. Starła się przypomnieć sobie wszystko, co mówiła Leslie, ale w głowie miała pustkę. W końcu wyrzuciła z siebie: – Znowu dziś uprawiałeś hazard. Straciłeś nasze pieniądze na czynsz. Mam już tego dość. Nie tego chciałam. Zasługuję na coś lepszego.

– Nie uprawiałem hazardu – zaprzeczył Joey.

– Więc co się stało?

– No, dobrze, powiem ci, jeśli już musisz wiedzieć. Zostałem wylany z roboty.

– Wylany?

– A ty co, echo? I nie mam ochoty o tym gadać. Chcę tylko dostać coś do żarcia, usiąść przed telewizorem i zapomnieć o wszystkim.

Maureen podążyła za Joey'em do sypialni.

– Co się stało? – zapytała.

– Czy ja mówiłem do ściany?

– Mam prawo wiedzieć, co się wydarzyło.

– Nic. Ten pieprzony gryzipiórek ma chyba wrzody na dupie. I tyle. Kutas jeden.

– Nie wyrzucaliby cię bez powodu.

– Ale znalazł powód. Stale się mnie czepiał, od kiedy tam zacząłem pracować. To dlatego, że nie jestem imigrantem. On lubi ludzi, którzy mu nie pyskują.

– Więc co się stało?

– Spóźniłem się z przerwy na lunch. Nic wielkiego, kilka minut. Wymieniliśmy ze sobą parę słów. To mu wystarczyło.

– Musiał mieć jakiś inny powód.

– Mówię ci, chodziło tylko o to. Ten kurdupel czyhał na mnie. Nawet nie pracowałem na miejscu. Byłem w firmie na Broadwayu, a on zadzwonił tam o pierwszej trzydzieści, żeby sprawdzić, czy jestem. Wyobrażasz to sobie? Nikogo innego tak nie sprawdza. Wygląda na to, że chciał trzymać mnie na krótkiej smyczy. Pieprzony kutafon.

– A gdzie byłeś?

– Co?

– W czasie lunchu.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego spóźniłeś się z przerwy na lunch?

Joey zawahał się. – No, poszedłem do pizzerii. Czytałem *Daily News* i straciłem chyba rachubę czasu.

Maureen przyglądała się tylko Joey'emu z powątpiewaniem.

– To prawda, przysięgam na Boga. Spójrz mi w oczy. Czy mógłbym cię okłamywać?

Zadzwonił domofon, ktoś na dole prosił o otwarcie drzwi. Joey, zadowolony z chwili przerwy w tej męczącej dyskusji, pobiegł podnieść słuchawkę.

– Zostaw – zawołała Maureen za nim. – To pewnie dzieciaki znowu tam psocą.

– A może dozorca zapomniał kluczy...

Maureen słyszała, jak Joey z kimś rozmawia. Trudno będzie postawić mu ultimatum

po tych złych wieściach. Joey wrócił do sypialni, ubrany w swoją znoszoną kurtkę. Maureen nie raz prosiła go, by w końcu wyrzucił ten łach.

– Muszę wyjść. Wrócę za chwilę – oznajmił Joey.

– Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę.

– Dokąd? Trzasnęły drzwi.

Maureen nie wierzyła w słowa Joey'ego. Nie poszedł na lunch do pizzerii. Znowu grał, ale nic już ją to nie obchodziło. Poszła do dużego pokoju i włączyła telewizor na program o jedzeniu. Zabawne – od trzynastu lat nie rozmawiała ze swoim ojcem, nawet nie wiedziała, czy żyje, a jednak ostatnimi czasy bez przerwy o nim myślała.

W ciągu sześciu lat obstawiania Morty zjawił się u Joey'ego tylko raz – w celu wypłacenia mu trzech tysięcy, które wygrał z zakładu na mecz baseballowy. Naturalnie Morty nie przyszedł dzisiaj, aby mu cokolwiek płacić, ale zjawił się w samą porę. Joey nie chciał wyjaśniać Maureen, w jaki sposób został wyrzucony z pracy; tak naprawdę biegał po OTB¹ do trzeciej, próbując wygrać jakieś pieniądze.

Morty, stary, zgarbiony Żyd, stał przed domem z bardzo poważną miną. Joey postanowił zachować spokój.

– Morty, dawno się nie widzieliśmy – przywitał się Joey. – Ciekawe. Przychodzisz tutaj, a ja właśnie zamierzałem zadzwonić do ciebie i postawić na drużynę Indiana. Kocham ich dzisiaj.

– Musimy pogadać – rzekł Morty ponuro.

– Dobra – zgodził się Joey. – Znasz mnie, uwielbiam gadać... Czekał, powiem ci, co się stało wczoraj wieczorem na Meadowlands. Nie uwierzysz.

– To poważna sprawa – przerwał mu Morty. – Ty... my mamy cholerne kłopoty.

Joey zaczął gorączkowo myśleć, co Morty rozumie przez „cholerne kłopoty”, ale wciąż udawał wesołość. – No właśnie, kłopoty to moja specjalność. A przy okazji – spojrzał na zegarek – nie powinieneś siedzieć teraz w domu i przyjmować zakładów?

Morty zawsze był pod telefonem między szóstą a siódmą trzydzieści, a teraz było po szóstej.

– Frank mnie odciął.

¹ OTB – off track betting – miejsce przyjmowania zakładów poza torami wyścigowymi, gdzie pobierane jest 5% prowizji od każdej wygranej. (Wszystkie przypisy od tłumacza).

– Co? – przeraził się Joey. Bał się, że nie będzie w stanie obstawić dzisiaj swojej drużyny. – Jak to? Co się stało?

– Czy możemy usiąść w jakimś barze czy czymś takim i pogadać? Prawie już odmroziłem *tuchas*.

Matka Joey’ego często używała słów w jidysz, ale nie żyła już od dziewiętnastu lat i Joey prawie jej nie pamiętał, a co dopiero takie słowa. Może ten *tuchas* to tyłek? Morty nie był jednak w nastroju do żartów, więc Joey wolał o nic nie pytać.

Poszli do baru szybkiej obsługi na Dziewiątej Alei. Morty nie chciał zdradzić Joey’emu, o co chodzi, do chwili, aż nie usiądą. Wybrali miejsce z tyłu, niedaleko toalet. Wszędzie wisiały lustra, a ścianki z różowego winylu oddzielały stoliki. W całym barze unosił się ostry zapach amoniaku, podobny do tego, jaki czuć w autobusach Greyhounda. Bez czytania menu Joey zamówił kawę, a Morty herbatę i galaretkę z bitą śmietaną.

– No, gadaj – zaczął Joey. – Co się dzieje?

– Jesteśmy po uszy w gównie – odparł Morty. – To się dzieje. Frank się dowiedział.

– Dowiedział się?

– O tobie... o nas... że pozwalałem tobie obstawiać pod zmienionymi imionami.

Joey znów zaczął się martwić, czy uda mu się postawić na Indiana Pacers, ale rzucił krótko:

– Cholera.

– Zadzwoił do mnie wczoraj – ciągnął Morty – i chciał wiedzieć, kim są „Tony”, „Nick” i „Vinnie”. No to co miałem powiedzieć? Próbowałem cię kryć i kłamałem, że to goście z centrum. Ale Frank i ja za dobrze się znamy. Facet wie doskonale, kiedy wciskam mu kit. Kazał mi powiedzieć prawdę, więc sam rozumiesz.

– I co on na to?

– O Boże, wybuchł, i to jak! Wrzeszczał: „Jak mogłeś pozwolić temu degeneratowi, Joey’emu DePino, dalej obstawiać?” Próbowałem mu wmówić, że to nic takiego, bo zawsze płacisz, ale on miał cholernie zły humor. Podobno w zeszłym tygodniu rzuciła go dziewczyna i teraz wyżywa się na wszystkich. Wtedy właśnie powiedział, że mnie odcina. A wiesz, jak długo z nim współpracuję? W maju minie trzydzieści siedem lat: dwadzieścia dwa dla jego ojca, piętnaście dla niego. Zawsze byłem jego najuczciwszym pośrednikiem. Inni go kiwają, okradają, ale nie ja. Nigdy nie zabrałem mu nawet centa.

– Tak mi przykro – współczuł mu Joey.

– Nie trzeba. To nie twoja wina. To on nie okazuje mi należytego szacunku. I z kim ja się zadawałem przez tyle lat... Mam córkę, dwie piękne wnuczki, ale nie odłożyłem żadnych

pieniędzy. Posiadam trochę akcji, płyty CD, kilka funduszy powierniczych, ale to wszystko nic w porównaniu z innymi w moim wieku. Wiesz, ile mam lat? No, dalej, zgadnij.

– Siedemdziesiąt trzy.

– Masz rację. Skąd wiesz?

– W zeszłym tygodniu obchodziłeś urodziny.

– Widzisz? Nawet pamięć mnie zawodzi. Dobrze, że jeszcze odróżniam telefon od szczoteczki do zębów.

Do stolika podeszła kelnerka z kawą i herbatą oraz galaretką. Kiedy odeszła, Joey powiedział: – No, więc co z tym zrobimy?

Morty wziął łyk herbaty i rzekł:

– Musimy zachować spokój i nie szaleć. Powiedziałem Frankowi, że jutro oddasz mu dwa tysiące i w ten sposób okażesz mu swoją dobrą wolę. Kiedy mu zapłacisz, wówczas na pewno skonsoliduje twoje długi pod jednym imieniem, a po ich spłaceniu pozwoli ci znowu obstawiać.

– Nie mam dwóch tysięcy.

Morty popatrzył na Joey'ego. Jego oczy nagle wydały się większe i ciemniejsze.

– A ile możesz dać?

Kciukiem i palcem wskazującym Joey pokazał zero.

Morty patrzył bez mrugnięcia okiem.

– Słuchaj, mogę powiedzieć Frankowi, że dasz tysiąc osiemset. Z pewnością go do tego przekonam.

– Nie mam tysiąca ośmiuset dolarów – powtórzył Joey.

Morty wziął głęboki oddech, powoli wydmuchując powietrze.

– Co ty mi tu opowiadasz? Nadstawiam za ciebie tyłek, bo zapewniałeś mnie, że masz te pieniądze.

– Wiem i doceniam to.

– Nie interesuje mnie, jak zdobędziesz tę forszę, ale masz ją mieć. Wyjmij pieniądze z banku, sprzedaj coś.

– Nie mam pieniędzy w banku ani niczego, co mógłbym sprzedać.

Morty znów wciągnął powietrze. Joey zauważył napięte mięśnie wokół jego ust i usłyszał zgrzytanie zębów.

– A ile masz? – wypytywał Morty.

– Nic – przyznał poważnie Joey. – Zostałem dziś wylany z roboty.

Morty'emu zajęło trochę czasu, nim te rewelacje do niego dotarły, po czym zaczął

mówić w jidysz tak szybko, że Joey nic z tego nie rozumiał. Znał tylko jedno słowo – *mishugass* – które chyba oznaczało „gówno prawda”.

– No i co mam teraz począć? – rzucił w końcu Morty. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaki Frank jest wściekły. Nie chciałem cię przedtem straszyć, ale on powiedział, że da ci nauczkę. Kiedy ty, chłopie, spoważniejesz? Tonąc w betonowych butach na dnie East River? Frank nie dopuści, by rozeszło się, że można obstawiać u niego za tysiące dolców pod różnymi imionami, a potem płacić, kiedy tylko ma się ochotę.

– Wiem – odparł Joey. – Ale nie prosiłem się o wyrzucenie z pracy.

– Byłeś winien te pieniądze, zanim zostałeś zwolniony. Chyba nie zamierzałeś zebrać dwóch tysięcy ze swojej pensji, co? Wszystko wymknęło ci się spod kontroli. Robiłeś jakieś dziwne, szalone zakłady. Albo w zeszłym roku, kiedy stawiałeś na te cholerne U.S. Open. Jestem największym frajerem w Nowym Jorku, przyjmując zakład na tenis od Joey’ego DePino.

– Coś wymyślę, żeby zdobyć dla ciebie te pieniądze. Przysięgam na grób mojej matki.

– Ale co?

– Jeszcze nie wiem.

– To lepiej coś wymyśl. Zdajesz sobie sprawę, ile ja tracę, nie mogąc przyjmować zakładów dzisiaj? Frank nie dopuści mnie, dopóki nie dostanie od ciebie forsy. Ja też muszę płacić czynsz, chyba rozumiesz...

– Powiedz mi coś, Morty – odezwał się Joey. Chciał zadać to pytanie od chwili, kiedy Morty oznajmił, że Frank go odciął. – Czasami przekazywałeś zakłady komu innemu, prawda?

– No, nie zawsze osobiście jemu – odrzekł Morty podejrzliwie. – Frank ma od tego chłopaka w biurze.

– Pytam dlatego... – Joey nie wiedział, jak to ująć w słowa – bo strasznie, ale to strasznie kocham dzisiaj drużynę Indiana. Gdybym mógł, wziąłbym z nimi ślub. Jeśli wygrają, to znaczy, kiedy wygrają, wówczas jutro rano podejmę pieniądze i od razu zaniosę je tobie.

Morty wstał, zły, z grobową miną.

– No, co? – zapytał Joey. – Nie wierzysz mi? Czy wyglądam na takiego, co kłamie?

– Jutro – Morty skończył rozmowę. – Do południa. Nie obchodzi mnie, jak zdobędziesz te pieniądze, nawet jeśli będziesz musiał obrobić bank, ale lepiej, żebyś je miał. Wystarczy mi już *tsuras*.

Morty położył na stole banknot pięciodolarowy i ruszył do wyjścia. Joey chciał

zapytać, co znaczy słowo *tsuras*, ale tylko zawołał:

– Hej, Morty... Morty...

Morty był już w połowie drogi do drzwi. Odwrócił się.

– Nawet nie tknąłeś galaretki.

Joey patrzył, jak Morty opuszcza bar.

6

Zaraz po wyjściu Davida do pracy, Leslie zadzwoniła do swojej matki, mieszkającej w North Miami Beach.

– Nie martw się – pocieszała ją Elaine Schlossberg. – Wcześniej czy później każdy mężczyzna przechodzi przez kryzys wieku średniego. Pamiętam, jak ojciec wyczytał, że brud chroni przed rakiem, no i zaczął jadać szlam na śniadanie. Myślałam, że trzeba będzie go zabrać na leczenie, zaplątanego w sieć rybacką.

Leslie była bardzo zżyta z matką. Rozmawiały ze sobą przynajmniej raz dziennie i wiedziały o sobie wszystko. Ostatnio Leslie dzwoniła do niej jeszcze częściej z powodu troski o Davida. Był stale niespokojny, miewał problemy ze snem, obsesyjnie martwił się o zdrowie i ogólnie zrobił się zrzędlawy. Chociaż tłumaczył się „wariactwem w pracy”, to w odczuciu Leslie chodziło o coś znacznie poważniejszego.

– Przejdzie mu – zapewniała matka. – Ojciec już nie jada szlamu, prawda?

Ale Leslie nie mogła pozbyć się poczucia winy.

Czasami odnosiła wrażenie, że są obcy sobie ludźmi. David tak naprawdę nie znał jej dobrze. Może dlatego, że Leslie świetnie skrywała swój naturalny wygląd. Każdego ranka, kiedy David jeszcze spał, Leslie zakradała się do łazienki, myła twarz i nakładała podkład, puder oraz róż. Włosy zaczęła farbować na różne odcienie blond już w wieku piętnastu lat. Co pół roku robiła sobie trwałą. Ze względu na swoje przekonanie o zbyt grubych udach, zawsze ubierała się w długie bluzki i swetry. Nigdy nie zakładała bikini i unikała plaży. Pysznic brała sama i nie pokazywała się Davidowi nago, z wyjątkiem momentów, kiedy się kochali. Odbyła już konsultacje dotyczące liposukcji w celu usunięcia nadmiaru tkanki tłuszczowej z brzucha, bioder i ud. Planowała przeprowadzenie zabiegu w przyszłym roku. Wybieliła sobie zęby. Kilkakrotnie poddała się chemicznemu złuszczeniu naskórka. Już w szkole średniej dokonała plastycznej korekcji nosa, a kilka lat temu przeszła operację zwężenia nozdrzy. Teraz nos stał się jej ulubioną częścią ciała.

Całe życie słyszała od ludzi, jaka jest piękna, ale im nie wierzyła. Uważała, że gdyby nie ciągle dbanie o siebie, to wyglądałaby całkiem przeciętnie. Wyobrażała sobie, jak codziennie w lustrze widziałaby starzejącą się grubaskę o mysich włosach, kiepskiej cerze i wielkim nosie. Mimo wszystko przez lata Leslie znakomicie opanowała sztukę udawania przed innymi pewności siebie. W towarzystwie Davida czy przyjaciół czuła się znacznie lepiej niż w samotności. Tylko matka doskonale znała jej neurotyczne niepokoje.

Okolo piątej zadzwonił David, informując, że będzie pracował do późna i wróci do domu nie wcześniej niż o jedenastej. Ostatnio często się to zdarzało. Zawsze bardzo angażował się w swoją karierę zawodową, ale od miesiąca czy dwóch sprawiał wrażenie, że woli pracę od domu. Leslie widziała tylko jedną tego przyczynę – nie jest już dla męża atrakcyjna. Od paru lat coraz częściej krytykował jej ciało. Kiedyś zwrócił uwagę na jej „grubawe” uda, innym razem poradził jej „chodzenie do siłowni”. Czasami, kiedy się kochali, David szczypał tłuszczki na jej plecach lub w pasie, co wprawiało Leslie w zakłopotanie. Tłumaczył, że to bardzo „erotyczne” i go podnieca, ale Leslie wiedziała swoje – jest dla niego odrażająca.

Kiedy Jessica zasnęła, poszła do kuchni. Poczula nagle ogromny głód. Rozerwała paczkę ciastek i wepchnęła od razu trzy do ust. W tym momencie zdała sobie sprawę, co wyprawia. Z poczuciem winy pobiegła do łazienki. Otworzyła klapę klozetu i uklękła. Opamiętała się: na Boga, przecież to tylko kilka ciastek. Musi się kontrolować, jeśli nie ze względu na siebie, to na swoją rodzinę. Po prostu jutro nie zje śniadania i po sprawie.

Mijała północ, a David jeszcze nie wracał z pracy. Leslie zastanawiała się, czy nie zadzwonić do biura, ale on nie lubił, kiedy mu przeszkadzała. Ostatnio wszystko, co robiła, zdawało się go drażnić.

Postanowiła poczekać w łóżku. Szybko zasnęła przy jakimś starym filmie i obudziła się dopiero, kiedy David przy niej usiadł.

– Która godzina? – zapytała Leslie.

– Nieważne – odparł David. – Śpij.

Położył się obok i objął ją od tyłu. Od pewnego czasu stale tak robił – wchodził do łóżka, gdy Leslie już spała, i mocno przytulał ją do siebie, ale nie chciał się kochać. Leslie odwróciła się twarzą do Davida i zaczęła go całować. Oddawał jej pocałunki, ale bez otwierania ust. Leslie całowała jego podbródek i szyję. Kiedy zaczęła zdejmować mu koszulkę, zauważyła, że zasnął. Odwróciła się na plecy i zaczęła płakać.

Rano, kiedy David wyszedł do pracy, Leslie weszła do kuchni i zaczęła wpychać do ust wszystko, co znalazła pod ręką. Rozpoczęła od ciastek, biorąc dwa lub trzy naraz. Potem rzuciła się na resztki z Halloween: otwierała minibatoniki Snickers i Hershey, pomagając sobie zębami i paznokciami, po czym połykała je, ledwo gryząc. Następnie pochłonęła cały słoik dżemu malinowego, wybierając go palcami, które potem oblizywała. Dopiero przy łyżce

masła uświadomiła sobie, co wyczynia. Rzuciła się do łazienki, spoglądając na swoją nieprzytomną twarz w lustrze. Stała nad klozetem i włożyła palce do gardła. Krztusiła się i wypluła trochę śliny, ale nie była w stanie zwrócić jedzenia. Wyobraziła sobie pięć tysięcy kalorii, które za chwilę zaczną trawić jej organizm. W szale chwyciła szczoteczkę do zębów i wcisnęła jej końcówkę głęboko do gardła, ile się dało. Nadal nic oprócz śladowej wręcz ilości brązowej wydzieliny, pływającej w muszli. Leslie przyglądała się jej przez chwilę i nagle poczuła falę nudności.

Wyobraziła sobie siebie leżącą w szpitalu – do ciała ma podłączone rurki, a twarz jest blada i brzydka.

– Mamusiu, spóźnię się do szkoły.

– Sekundę! – krzyknęła Leslie.

Prawie zapomniała, że Jessica jest w domu. Zastanawiała się, czy słyszała, jak wymiotuje, obawiając się, jaki wpływ może to mieć na psychikę dziecka. W tym momencie Leslie poczuła się okropną żoną i okropną matką.

Umyła porządnie zęby i pomogła Jessice wyszykować się do szkoły. Szybko zrobiła jej kanapkę z tuńczykiem i zawinęła ją w papier. Jessica zapytała:

– Mamo, dobrze się czujesz?

Jessica chodziła do szkoły Birch Wathen Lenox i była najlepszą uczennicą. Brała udział we wszystkich występach baletowych i przedstawieniach teatralnych. Miała proste, kasztanowe włosy i duże brązowe oczy. Rósł jej nos, więc Leslie już obiecała jej wyprawę do chirurga plastycznego na szesnaste urodziny.

– Wszystko dobrze – uspokoiła córkę Leslie. – Po prostu źle spałam w nocy.

– To dlatego wymiotowałaś?

Leslie nie wiedziała, jak zareagować. Chciała być szczerą z Jessiką, ale nie wiedziała, w jaki sposób zwierzyć się dziesięcioletce z problemów z jedzeniem.

– Chyba dopadł mnie wirus – wyjaśniła. – Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Kiedy szły do szkoły, Leslie męczyły wyrzuty sumienia z powodu kłamstwa. Jessica była wyjątkowo bystra i na pewno domyślała się, co jej mamusia wyprawia w łazience. Przez to kłamstwo Jessica zrozumie, że wolno zmuszać się do wymiotów, byle robić to w samotności.

Po odprowadzeniu córki Leslie kupiła w najbliższym kiosku na Drugiej Alei paczkę papierosów. Nigdy wcześniej nie paliła, nie licząc jednego lub dwóch papierosów w trakcie studiów. Uważała palenie za głupi i obrzydliwy nałóg. Jednak teraz dopadł ją głód nikotynowy. Dopiero po kilku nieudanych próbach zorientowała się, że chcąc zapalić

papierosa, należy się zaciągać. Najpierw trochę się krztusiła, ale w końcu zaczęła odczuwać przyjemność. Zaraz po wypaleniu pierwszego papierosa wzięła następnego.

Jak to zwykle, kolesie z ulicy zaczepiali też Leslie. Niektórzy gwizdali, inni wołali na nią „piękna” albo „seksówka”. Leslie starała się nie słyszeć okrzyków i skupić na własnych myślach. W takich chwilach zastanawiała się, po co żyje w Nowym Jorku. Jaki jest sens w posiadaniu mnóstwa pieniędzy i wielkiego mieszkania, jeśli nie można przejść w spokoju przez swoją dzielnicę? Mijała bezdomnego, grzebiącego w koszu na śmieci. Bała się, że na nią napluje, więc przyspieszyła kroku i wstrzymała z obrzydzenia oddech.

Leslie miała ochotę wyskoczyć dzisiaj w jakieś miejsce. Dwa dni w tygodniu jako wolontariuszka obsługiwała w sklepie Spence Chapin, mieszczącym się na Trzeciej Alei, który sprzedawał używane rzeczy na cele dobroczynne. Pracowała także w stacji krwiodawstwa przy Czerwonym Krzyżu i od czasu do czasu udzielała się w Żydowskim Ośrodku dla Niewidomych. Tuż po studiach zatrudniła się w firmie public relations, ale po wyjściu za mąż odeszła stamtąd. Jeśli chodziło o jej stosunek do ruchu kobiet, zakładający wolność wyboru, to Leslie wybrała pozostanie w domu. David zarabiał wystarczająco dużo, więc nie musiała iść do pracy, jeśli nie miała na to ochoty.

Leslie studiowała co prawda historię sztuki, ale uważała, że byłaby świetnym psychologiem. Niezależnie od tego, jak jej własne życie mogło być pogmatwane, zawsze potrafiła znakomicie rozwiązywać problemy innych ludzi. Nawet obcy korzystali z jej porad. Na przykład wczoraj, w sklepie Macy’ego, kiedy ta miła Chinka zwierzyła się jej, że bardzo kocha mężczyznę i nie ma pojęcia, jak sprawić, by on też ją pokochał.

– Musisz być wobec niego bardziej agresywna. Większość kobiet obawia się wyrażać swoje potrzeby i potem nic im nie wychodzi. Trzeba wreszcie tupnąć nogą i powiedzieć sobie: „Na to zasługuję”, i potem po to sięgnąć...

Leslie spacerowała w tę i z powrotem bocznymi uliczkami Upper East Side, oglądając wystawy sklepów z antykami. Doszła przy tym do wniosku, że całe jej życie nie ma sensu i gdyby teraz zniknęła, nikt, może oprócz Jessiki, nie tęskniłby za nią. Wypaliła też połowę paczki marlboro lights, nim poczuła, że właściwie jest za zimno na spacer.

Kiedy weszła do budynku swojego domu, portier Robert, pracujący na dziennej zmianie, poinformował ją o przesyłce. Wyciągnął spod biurka małą, wypchaną kopertę. Nie widniał na niej żaden adres, jedynie imię i nazwisko Leslie wypisane drukowanymi literami czarnym markerem.

– Kto to przyniósł? – zapytała.

– Jakiś chłopak – odparł Robert.

– Kurier?

– Nie, zwykły chłopak, Murzyn. Nie przyjrzałem się mu dokładnie. Podobno czeka pani na tę przesyłkę.

Leslie zaczęła macać kopertę, ale nie mogła nic wyczuć, bo wypełniała ją folia z pęcherzykami powietrza.

W domu położyła kopertę na stole i rozważała, czy chce ją otworzyć. Nie miała pojęcia, co może znajdować się w środku. Zastanawiała się, czy nie poczekać na powrót Davida albo po prostu zanieść paczkę do kosza. Czytała w gazetach historie o bombach w przesyłkach. Może powinna włożyć ją do pojemnika z wodą?

Patrząc na niewinnie wyglądającą paczkę, wyrzucała sobie, że zachowuje się jak wariatka. Dostała pewnie jakieś śmieci reklamowe albo firma kosmetyczna przysłała jej jakąś bezpłatną próbkę. W końcu odważyła się i otworzyła kopertę. Wyjęła z niej minikasetę. W tym momencie Leslie była już kompletnie zdezorientowana. Sprawdziła ponownie, czy w środku nie znajduje się notatka lub adres zwrotny. Przez chwilę się wahała, potem wzruszyła ramionami – nie ma nic do stracenia. Na półce znalazła miniaturowy magnetofon Davida, włożyła kasetę i nacisnęła PLAY.

Joey nie musiał włączać telewizora. Wiadomo, kto wygrał: drużyna Indiana Pacers. Od początku meczu było to jasne. A jemu nie dane było obstawić takiego pewniaka! Mimo wszystko, rano, kiedy Maureen wyszła do pracy, włączył telewizor na kanał sportowy i oglądał, jak jego faworyci pokonują Orlando o dwadzieścia dziewięć punktów. Orlando nawet nie mieli szansy wyrównać strat. W pierwszej połowie Indiana Pacers prowadzili już różnicą dwudziestu punktów, a jedynym momentem, kiedy drużyna Orlando zagrała lepiej, była czwarta kwarta, w której tracili do przeciwnika „tylko” szesnaście punktów.

Joey był wściekły na Morty’ego. Gdyby podał mu nazwisko innego bukmachera, zrobiłby u niego zakład, może nawet połączył z innymi wygranymi i zarobiłby przynajmniej dwa tysiące dolarów, które miał zapłacić Frankowi.

Cały rano siedział w samych bokserkach przed telewizorem. Nie chciało mu się szukać pracy, nie miał też dokąd pójść. Poza tym był piątek, a ogłoszenia o pracy pojawiają się dopiero w niedzielę. Joey znalazł się chyba w najgorszym położeniu w swoim życiu, ale najbardziej deprymowało go pozbawienie możliwości uprawiania hazardu. Co będzie robił dzisiaj, jutro oraz w kolejne dni i wieczory, jeśli nie może obstawiać? Najlepiej to chyba, gdyby ktoś włożył mu pistolet w usta i strzelił.

W południe zadzwonił Morty. Joey powiedział mu, że nie ma pieniędzy, a Morty zaczął znowu gadać jidysz.

– I co mam zrobić? – zapytał w końcu Morty. – Frank nie żartował. Chce dostać forszę dzisiaj, bez dyskusji.

– Gdybyś pozwolił mi obstawić Indiana Pacers, to nie byłoby problemu – wypominał mu Joey.

– Ty i ci twoi Indiana – zachnął się Morty. – A gdyby przegrali? Wtedy byłbyś w garści innego bukmachera, a Frank nie dostałby swoich pieniędzy.

– Co mam ci powiedzieć? – pytał Joey. – Niech Frank do mnie zadzwoni i ustali plan spłaty.

– O, nie, nawet o tym nie myśl – zawołał Morty. – Frank nie dopuści mnie, aż nie spłacisz długu w całości. Sądzisz, że będę tak siedział bez końca i czekał, kiedy zjawisz się z forszą? Słuchaj więc, wyłożę za ciebie z własnej kieszeni. Oddasz, jak tylko będziesz mógł, a wiem, że to zrobisz, bo nie obstawię już za ciebie... dopóki nie dostanę ostatniego centa. I powiem każdemu bukmacherowi, jakiego znam, żeby nie przyjmował od ciebie żadnego zlecenia...

No, naturalnie, Morty wyłoży pieniądze – Joey był tego pewien. I nie miało to nic wspólnego z Frankiem, który zabronił mu obstawiać, a to całe straszenie Joey’ego to tylko pic na wodę. Frank nie gadał też nic o „dawaniu przykładu”. Niech i rzuci go sto dziewczyn, to biznes jest biznes. Bukmacherzy nie zastraszają swoich klientów, a już na pewno nie z powodu kilku tysięcy dolców. Powszechnie wiadomo, że u Franka są hazardziści, którzy obstawiają po pięćdziesiąt tysięcy dolarów każdego wieczoru, facet nie będzie więc marnował czasu na takiego mikrusa jak Joey.

Dobrze, że Morty postanowił zapłacić „kaucję” za Joey’ego, ale na tym nie kończą się jego finansowe problemy. Jest jeszcze winien dwóm innym bukmacherom, do tego oczywiście dług wobec Carlosa, lichwiarza, od którego pożyczył tysiąc dolarów miesiąc temu na spłnienie Morty’ego. Dla Joey’ego był to najważniejszy dług, bo z każdym tygodniem zwłoki naliczane miał odsetki w wysokości trzydziestu procent. Suma wzrosła już do dwóch tysięcy siedmiuset, a w przeciwieństwie do bukmacherów, lichwiarze bardzo skrupulatnie ściągali należności, bo ich klientelę stanowili przeważnie degeneraci, tacy jak Joey, więc im wyższy dług, tym mniejsze prawdopodobieństwo jego spłaty.

Na stole kuchennym leżał plik banknotów zostawionych przez Maureen na zapłacenie czynszu. Joey miał dołożyć do tego połowę kwoty, ale nie miał pojęcia, skąd weźmie na to pieniądze.

Myślenie o tym za bardzo go przygnębiało. Joey nie miał nawet kilku dolarów, żeby kupić sobie kanapkę w delikatesach na dole. Musiał zadowolić się tym, co znalazł w lodówce: stare krakersy i stwardniały topiony serek. Zastanawiał się też, jak niektórzy ludzie wytrzymują przesiadywanie w domu cały dzień przed telewizorem. Na jednym programie leciał mecz siatkówki plażowej kobiet, a na kanale sportowym pokazywano jazdę figurową na lodzie. Na stacji 71 relacjonowano wyścigi konne na Akwedukcie, ale Joey nawet na chwilę nie włączył tego programu, bo patrzenie na gonitwę bez szansy jej obstawienia jeszcze bardziej by go zdołowało.

Oglądał akurat ćwiczenia aerobiku – dwie blondynki z jędrnymi tyłkami skakały w bikini – kiedy z pracy zadzwoniła Maureen.

- Właśnie rozmawiałam z Leslie – oznajmiła. – Zaprasza nas dzisiaj na kolację.
- Sussmanowie? – jęknął Joey, jakby to była nazwa jakiejś choroby.
- Mogę powiedzieć, że nie przyjdziemy – odparła Maureen. – Ale nie mamy nic lepszego do roboty.
- Cholera – zaklął Joey, myśląc o tym, jak zawsze nudzi się u Sussmanów. Maureen i Leslie rozprawiły o swoich sprawach, a Joey był skazany na towarzystwo tego kretyna, męża

Leslie. Poza tym, po przejściach tego tygodnia, Joey nie miał ochoty spotykać się z kimkolwiek. Już miał poprosić Maureen, by odwołała wizytę, ale z drugiej strony doskwierał mu głód, więc kolacja u Sussmanów to przynajmniej darmowy posiłek.

– No, dobrze – zgodził się niechętnie. – Jeśli chcesz, to pójdę.

Maureen wróciła z pracy około piątej trzydzieści, szybko wzięła prysznic i przebrała się. Potem razem wyszli z domu. Pojechali najpierw Unią numer 1 z centrum na Times Square, następnie przesiadli się i linią numer 6 dotarli na Siedemdziesiątą Siódmą. Całą drogę prawie w ogóle z sobą nie rozmawiali. Dopiero w trakcie przesiadki Maureen zaczęła opowiadać o prawniku z jej firmy, który odchodzi, ale Joey nie słuchał, pogrążony w myślach o własnych problemach. W końcu Maureen się zamknęła.

Kiedy szli Siedemdziesiątą Dziewiątą, mijając wszystkie eleganckie domy pilnowane przez portierów, Maureen zasugerowała, by wejść do sklepu monopolowego i kupić butelkę wina.

– Nie musimy przynosić wina – zaprotestował Joey.

– Nie wypada przychodzić z pustymi rękoma – upierała się Maureen.

– No to kup to wino, jak już tak chcesz.

Skierowali się do delikatesów na Drugiej Alei. Joey czekał na zewnątrz, a Maureen weszła i kupiła butelkę czerwonego wina.

Po wyjściu ze sklepu Maureen powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego taki problem.

Joey się nie odzywał. Tak naprawdę było mu całkiem obojętne, czy kupią to wino, czy też nie, ale chodziło mu tylko o to, że on sam ledwo wysupłał parę centów na metro.

Skęcili za rogiem i doszli do domu Davida i Leslie. Był to najbardziej elegancki budynek na ulicy. Joey widział zazdrość w oczach Maureen za każdym razem, kiedy ich odwiedzali. Nie umiała jej dobrze skryć, przyglądając się wyłożonemu drewnem holowi, jakby to była komnata w muzeum. Maureen podała nazwisko portierowi, który ich zaanonsował. Od tej chwili, przez całą drogę windą na dziewiętnaste piętro, nie zamienili już ze sobą ani jednego słowa. Dopiero przed drzwiami Sussmanów Maureen szepnęła:

– Bądź miły, Joey.

Davida nie zachwyciła wiadomość o zaproszeniu Maureen i Joey'ego na kolację. Z drugiej strony dobrze się składało, bo nie spędzi wieczoru sam na sam z Leslie. Jeszcze kilka godzin temu o mały włos nie dostał ataku serca. Było to moment po tym, jak Leslie

zadzwoiła do niego do biura, mówiąc o jakiejś minikasecie, którą im przysłano. Poczł nagły ból w piersi, a lewa rka mu ścierpła. Z trudem łapał powietrze, ale udało mu się wykrztusić:

– Czy jej słuchałaś?

– Tak, i to jest najdziwniejsze – powiedziała Leslie. – Przegrałam obydwie strony i nie ma na nich nic. Kto mógł wysłać mi pustą kasety?

– Nie mam pojęcia – odparł David, jednocześnie zastanawiając się, jak wreszcie pozbyć się Amy.

Kiedy wrócił do domu, Leslie pokazała mu taśmę i kopertę z jej imieniem i nazwiskiem wypisanymi drukowanymi literami. David udawał tak samo zaskoczonego tajemniczą przesyłką jak Leslie. Obawiał się jednak, że mu to źle wychodziło. Nie umiał kłamać. Leslie zawsze wiedziała, kiedy nie mówi prawdy, bo wtedy, jak twierdziła, nie poruszał górną wargą.

– Może jakaś firma produkująca kasety robi promocję?

– Na kasety? – zdziwiła się Leslie.

– No tak – odparł David. – Mają promocję i spisali skądś twoje nazwisko.

Leslie patrzyła na Davida – chyba próbowała wyczytać coś z jego twarzy – a potem zapytała:

– To czemu nie *wydrukowali* nazwiska na kopercie?

David zasugerował jeszcze kilka innych możliwości, a w końcu urwał dyskusję:

– Kto tam wie? Może dostaniesz niedługo jakieś jeszcze lepsze prezenty? – mówił żartobliwym tonem.

Rozległ się dzwonek. Leslie krzyknęła do Davida, by otworzył drzwi. Kiedy ujrzł Joey'ego i Maureen, od razu zorientował się, że między nimi nie jest dobrze. Leslie często opowiadała o ich małżeńskich kłopotach. Teraz wydawali się nieźle skłóceni. David przywitał się z nimi i zaprowadził przez krótki korytarz do pokoju gościnnego, w którym Jessica z córką sąsiadów grały na telewizorze w Nintendo.

– Idźcie grać do drugiego pokoju, kochanie – powiedział David.

Dzieci przez chwilę protestowały, ale w końcu wymaszerowały grzecznie. Leslie zawołała Maureen do kuchni i nagle David znalazł się sam na sam z Joey'em. Zawsze czuł się nieswojo w jego towarzystwie, jak zresztą z każdym, kto był mniej wykształcony lub mniej zamożny. Sztywniał, jakby cały ciężar prowadzenia rozmowy spadał tylko na niego.

– No, słyszałem o twojej pracy – odezwał się David. – To naprawdę przykre.

– Oho, wieści szybko się rozchodzą – skomentował Joey, jedząc orzechy, które wziął z

miski stojącej na szklanym stoliku.

– Mam kilku klientów w branży światłowodów. Mogę między nimi rozesłać wici, jeśli chcesz.

– Nie, nie trzeba – odparł Joey. – Nie powinienem mieć problemów ze znalezieniem roboty.

David obserwował, jak Joey zjada orzechy, wrzucając od razu po kilka do ust. Nie miał już nic do powiedzenia i zaczynał żałować, że zgodził się na zaproszenie DePino na kolację.

Po krótkiej chwili z kuchni przyszły Leslie i Maureen.

– Zobacz, Joey i Maureen przynieśli nam butelkę czerwonego wina. Czy to nie miło z ich strony?

– Tak, bardzo – przytaknął David.

– Ale powinniśmy zachować ją na inną okazję – zdecydowała Leslie. – Ponieważ jemy dzisiaj chińszczyznę, to przydałoby się dobre, japońskie piwo. Może pójdziecie do delikatesów za rogiem i kupicie kilka sześciopaków?

– Chyba żartujesz – wyrwało się Davidowi.

– Skądże. Sprawdźcie, czy nie mają Sapporo. Świetnie smakuje.

– Ale jest strasznie zimno – oponował David.

– Naprawdę potrzebuję tego piwa – upierała się Leslie. – Zabierz Joey’ego ze sobą.

W tej chwili David zrozumiał, o co chodziło Leslie. Zawsze, kiedy spotykały się z Maureen, lubiły pogadać sobie na osobności, jak nastolatki. David co prawda nie miał ochoty nigdzie wychodzić, ale w sumie świeże powietrze dobrze mu zrobi.

– No, idź też, Joey – ponaglała Maureen. – Dotrzymaj Davidowi towarzystwa.

Joey miał usta wypchane orzechami. Przełknął je i powiedział:

– Dobrze mi tutaj.

David zauważył, jak Maureen wpatruje się w Joey’ego.

– Przejdziesz się ze mną? – zaproponował.

– No, idź też, z nim, Joey – powiedziała Leslie.

– Dobra – westchnął i wrzucił garść orzechów z powrotem do miski.

Stali na klatce i czekali na windę, nie odzywając się do siebie. David znowu poczuł się nieswojo, natomiast Joey nie sprawiał takiego wrażenia. Ciekawe, jak to jest być takim skrytym w uczuciach Joey’em, rozmyślał David. Chyba świetnie przydaje się w życiu totalny brak wrażliwości na cokolwiek, taki chłód i luz. A co Joey by zrobił, zastanawiał się David, gdyby Amy Lee zaczęła grozić jemu i jego rodzinie? Nagle przyszło mu do głowy, że Joey to

idealna osoba do udzielenia rady.

W związku z tym w windzie David zwrócił się do niego: – Nie uwierzysz, co się u mnie ostatnio działo... – Ale zaraz wsiadło jeszcze kilka osób, więc nie powiedział nic więcej do chwili, aż wyszli na Siedemdziesiątą Dziewiątą. Davidowi wydawało się, że z Joey'em należy rozmawiać po męsku, więc używał języka, jakim na co dzień się nie posługiwał. Mówił: „pieprzyłem ją na swoim biurku”, „naprawdę umie obciążać fiuta, mówię ci”. Potem opowiedział, jak Amy stała się zaborcza, zaczęła mu ostatnio grozić i przesłała pustą kasetę Leslie.

Joey nie odzywał się, dopóki David nie skończył swojej opowieści, a następnie stwierdził:

– A dlaczego zrobiłeś coś takiego Leslie?

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał David. Eric może prawić morały, ale nie spodziewał się tego po Joey'u DePino.

– Nie traktowałem tego poważnie – bronił się, próbując mimo wszystko wciągnąć Joey'ego w rozmowę. – Sądziłem, że kilka razy się poruchamy i koniec.

– A nie myślałeś w ogóle o swojej żonie i córeczce?

– Nie, nie wtedy, kiedy to robiłem – przyznał David. Żałował, że nie trzymał języka za zębami. Na pewno Joey wróci teraz i wygada wszystko Leslie. Davidowi pot zaczął spływać po plecach, chociaż na zewnątrz temperatura zeszła poniżej zera i wiał przenikliwy wiatr.

– Nie rozumiem, jak mogłeś tak postąpić – ciągnął Joey.

– No, ale postąpiłem. Może gdybyś ją zobaczył, zrozumiałbyś.

Joey nie wydawał się tym poruszony.

– A gdzie są te cholerne delikatesy? Marznie mi *tuchas*.

David rzucił szybkie spojrzenie Joey'emu, zaskoczony, że używa słów w jidysz.

– Tu, za rogiem – pokazał David.

Doszli do Pierwszej Alei, minęli bar „Kowboj” i weszli do delikatesów mieszczących się na rogu Siedemdziesiątej Ósmej. Joey czekał przy kasie, podczas gdy David płacił za piwo. Nie powinien już nic mówić, ale potrzebował wsparcia Joey'ego. Po wyjściu ze sklepu wrócił więc do tematu.

– Miałem nadzieję na uzyskanie rady od ciebie.

– Rady? – zdziwił się Joey. – Jakiej rady?

– No, jak rozwiązać tę sytuację.

– Moja rada, to nie kiwaj żony, ot co.

Davidowi przemknęło przez myśl, że Joey po prostu mu zazdrości. W końcu, tkwiąc w

tak nieudanym małżeństwie, też nie chciałby słuchać o szczęściu innych facetów.

– Oczywiście nie zamierzam już więcej zdradzać Leslie – wyjaśniał David. – Czuję się okropnie z tego powodu. Ale problem stanowi tu Amy. Nie wiem, jak się jej pozbyć.

– To proste – skwitował Joey. – Przestań ją mamić.

– Nie mam jej.

– Ale mówiłeś, że to ty za nią latałeś.

– Tylko na początku. A zeszłego wieczoru przysięgała mi, że zabawiamy się ostatni raz, po czym przesłała tę kasetę.

– Czyli ruchałeś ją znowu. Po tym, co ci nawygadywała?

– To nie tak, jak myślisz – tłumaczył się David, zły, ponieważ wciąż się bronił. – Nie miałem wyboru. Wczoraj po południu przesłała mi e-maila do pracy, w którym pisała, że jeśli do niej nie przyjdę, to wyśle Leslie taśmę, tę prawdziwą. No, więc poszedłem do niej z nadzieją na wyperswadowanie jej tych głupot. Mieszka w West Village, na Morton Street. Kiedy tam przyszedłem, czekała na mnie ubrana jak dziwka w kabaretki, czerwone szpilki, wymalowana szminką, no sam rozumiesz. Powtarzam jej, że to już koniec, ale ona i tak się do mnie dobiera. W końcu mówię coś, co do niej dociera. Nie patrzy już jak wariatka. Wydaje się normalną, rozsądną osobą i wyznaje, że ostatnio miała sporo stresów i nie chciała mnie ranić. Powiedziała do mnie tak: „To wszystko dlatego, bo tak bardzo cię kocham, ale teraz rozumiem – wszystko skończone”. No, to myślę sobie: „Świetnie, już jakiś postęp”. A wtedy ona: „Kochaj się ze mną ten ostatni raz i przysięgam już nigdy cię nie niepokoić”. Naturalnie, odmówiłem, ale wówczas ona się wściekła, więc kalkuluję, że to jedyny sposób na pozbycie się jej. Ostatecznie zgadzam się to zrobić, ale pod warunkiem, że to już naprawdę ostatni raz. I po tym wszystkim dowiaduję się o kasecie, którą wysłała Leslie...

David nie był pewien, czy Joey dalej go słucha. Wrócili na Siedemdziesiątą Dziewiątą i zbliżali się do domu.

– Kurde, wracajmy – ponaglił Joey. Schylił głowę, walcząc z wichurą, a ręce wcisnął głęboko w kieszenie kurtki.

Leslie i Maureen siedziały w kuchni i przekładały zamówione chińskie jedzenie z pudełek na talerze. Niedawno Leslie i David zamontowali nowe sosnowe szafki. Również w łazience położyli marmurowe płytki, a w pokoju gościnnym ustawili ogromną komodę kupioną w snobistycznym sklepie Domain przy Trump Palace. Maureen była wściekła na Leslie, bo posiadała rzeczy, o których ona zawsze marzyła.

– Popełniasz błąd, tak myślę – mówiła Leslie, wykładając gotowane warzywa i inne beztłuszczowe dania. – Utrata pracy nie ma tu nic do rzeczy. Musisz myśleć, co jest dobre dla Maureen Byrne.

Leslie zawsze używała panińskiego nazwiska Maureen, kiedy chciała podkreślić, jak bardzo nie znosi Joey’ego.

– Wiem, masz rację – przytakiwała Maureen. – Chyba czekam na cud. Ileż bym dała za jeden tydzień, tylko jeden, z Joey’em w domu, kiedy nie musiałabym się martwić, gdzie jest i co robi...!

Ręka Leslie, trzymająca łyżkę z gotowanym kurczakiem i brokułami, zawisła nieruchomo.

– Jak to? Nie postawiłaś mu ultimatum?

– Próbowалам, ale wtedy powiedział mi o stracie pracy i po prostu nie mogłam.

Leslie wróciła do nakładania jedzenia na talerze.

– Wiesz, nie rozumiem cię – odezwała się w końcu. – Jak możesz pozwalać facetowi tak się traktować?

– Nic na to nie poradzę.

Leslie potrząsnęła przecząco głową.

– Wiesz, co masz robić. Po prostu się zdecyduj.

– Nie wiem, czy potrafię.

– On się nie zmieni.

– Rozumiem, ale nadal nie potrafię.

– Lubisz cierpieć?

– Nie.

– Chcesz mieć dzieci? Ładne mieszkanie?

– Tak.

– No to masz tylko jeden wybór.

– Wiem, do czego zmierzasz.

– Powiem ci coś, choć może się mylę, a ty potraktujesz mnie jak wariatkę, ale i tak to powiem. Czy nie zastanawiałaś się nad tym, że Joey gra może mniej, niż się tobie zdaje?

– Co masz na myśli?

– Zastanów się przez chwilę. Stale wraca późno, nie mówi, dokąd się wybiera. Może ma...

– Joey?

– Ja tak tylko...

– Oszalałaś.

– Pomyśl o tym. Nie jest to niemożliwe.

– Jaka kobieta zainteresowałaby się Joey'em?

– Na przykład ty.

Owszem, pięć lat temu, pomyślała Maureen. Ale przeszło jej od czasu, kiedy zaczął co wieczór chodzić na wyścigi i zachowywać się jak idiota.

Leslie wniosła talerz z jedzeniem, wchodząc do pokoju przez drzwi wahadłowe. Maureen podążała za nią, niosąc wielką miskę z brązowym ryżem. Szepnęła: – Chyba zwariowałaś.

– A pamiętasz liceum, kiedy byłaś tak zakręcona przez problemy z ojcem? – odparła Leslie. – Musiałam ci na okrągło tłumaczyć, zanim sama zrozumiałaś, jaką ci wyrządza krzywdę. To samo jest teraz z Joey'em. To on zwariował, to on ma problem, nie ty. Chyba dostrzegam rzeczy, których ty nie widzisz lub nie chcesz zobaczyć.

Maureen próbowała wyobrazić sobie Joey'ego z inną kobietą oraz jego nagie, owłosione i spocone ciało w pokoju taniego hotelu. Obraz nie wydawał się jej zbyt realny.

– Doceniam twoją pomoc, ale nie sądzę, by tu tkwił problem.

– Nawet jeśli – odparła Leslie – to warto, byś miała oczy szeroko otwarte.

Wracając za Leslie przez te wahadłowe drzwi, Maureen odrzekła:

– Nie rozumiem.

– Jutro na ulicy spróbuj uśmiechnąć się do pierwszego lepszego przystojniaczka. Zobaczysz, co się stanie.

– Nic się nie stanie.

– Skąd wiesz?

– Patrzę w lustro i wiem, jak wyglądam.

– Nie wyglupiaj się. Jesteś śliczna.

– Jestem za gruba.

Leslie patrzyła z powagą na Maureen przez jakiś czas, a potem powtórzyła: – Spróbuj. To może otworzy ci oczy i zrozumiesz, za jaką świnię wyszłaś.

Leslie wyszła z kuchni. Maureen przystanęła i zaczęła wyobrażać sobie siebie u boku przystojnego, troskliwego i dobrze zarabiającego męża, kogoś takiego jak David. Maureen zawsze uważała go za ideał mężczyzny: czulego, atrakcyjnego, inteligentnego, a co najważniejsze, odpowiedzialnego. Przyłapywała się na marzeniu, że mieszka z nim w apartamencie z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, którego obszerne okna wychodzą na Central Park. Cały dzień tuliła się do siebie w łóżku albo siedzą na kanapie i oglądają telewizję,

spędzając leniwie wieczór, jak przystało na każde normalne małżeństwo. Oczywiście, mieliby też dzieci – śliczną dziewczynkę, jak Jessica, i chłopca o imieniu Shaun. Maureen zawsze pragnęła takiego imienia dla chłopca na cześć Shauna Cassidiego, jej idola z młodzieńczych lat, który nadal wydawał się jej tym najwspanialszym mężczyzną pod słońcem.

– Dobrze się czujesz?

Maureen nawet nie zauważyła, kiedy Leslie wróciła do kuchni.

– Tak – odparła, dumając, jak by to było całować Shauna Cassidiego lub kogoś innego niż Joey.

Podczas gdy David pokrętnie tłumaczył się ze zdrady żony, Joey myślał o czymś innym. Ma kulę firmy Brunswick, wartą co najmniej pięćdziesiąt dolarów, albo nawet siedemdziesiąt pięć. Do tego w szafie trzyma jeszcze kije do golfa i stare karty baseballowe. Zachował jeszcze strój Myszki Miki z sześćdziesiątego szóstego roku, który dostał kiedyś od starszego brata kolegi w czwartej klasie, oraz setki rozmaitych kart z wczesnych lat siedemdziesiątych. Jeśli z tego wszystkiego uda mu się uzbierać kilkaset dolców, to pójdzie jutro wieczorem na Meadowlands i zarobi kilka tysięcy. Na pewno nie zdobędzie żadnych pieniędzy, spędzając kolejny dzień na kanapie.

Kiedy David skończył swoją opowieść, Joey rzucił tylko:

– Kurde, wracajmy.

Joey nie bardzo rozumiał, dlaczego David opowiada mu o tym głupim romansie. Nigdy nie byli ze sobą na przyjacielskiej stopie – nawet kiedy spotykali się we czwórkę, prawie w ogóle nie odzywali się do siebie. Raz tylko znaleźli temat do rozmowy, kiedy David zamierzał nabyć telewizor i Joey poradził mu, by kupił Zenitha zamiast R.C.A. Innym razem dyskutowali o drużynie Jankesów. David deklarował się jako ich wielki fan, ale jak się później okazało, sądził, że Sparky Lyle i Reggie Jackson nadal grają w drużynie. David to zwykły dureń, bez dwóch zdań. Jednak to, co naprawdę drażniło Joey’ego, to jego zgrywanie się na kogoś innego, niż był naprawdę. Co to za dziecinada z gadaniem o „pieprzeniu jej na swoim biurku” i „naprawdę umie obciągać fiuta”. Nuworysz jeden.

Joey zwyczajnie nie pojmował, o co chodzi Davidowi z tym jego bezsensownym problemem. Najwyraźniej szukał guza, zadając się z tą Chinką, to po pierwsze. Faceci jak David, z taką furą pieniędzy, muszą sobie wymyślać kłopoty. Bo po jakie licha, mając śliczną blond żonkę jak Leslie, której nawet po porodzie nie sflaczał tyłek, szukał czegoś jeszcze na boku? A już tym bardziej niezrozumiałe, co taka ładna Chinceczka mogła widzieć w tym

wymoczkę? Joey był gotów postawić pieniądze, że wcale nie jest aż tak atrakcyjna, jak ją opisywał David. To raczej jakaś czarownica, jak wszystkie Koreanki pracujące w sklepach.

W windzie David zapytał: – Nie powiesz chyba nic Leslie ani Maureen o tym, co? To znaczy, mogę ci ufać, tak?

Joey przesłał Davidowi spojrzenie, mówiące: „Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty?”. Pierdolony dureń, nawet nie wie, co to znaczy mieć prawdziwe kłopoty.

Po powrocie Joey odniósł wrażenie, że Leslie i Maureen rozmawiały o nim. Znał stosunek Leslie do niego, więc prawdopodobnie wygadywały same złe rzeczy. Maureen narzekała pewnie na jego ciągłe granie, a Leslie radziła, jak uzyskać rozwód. Chociaż nieraz Joey wyobrażał sobie Leslie uprawiającą seks – oprócz ładnego tyłka miała duże usta dobre do obciągania, a swoje blond włosy odgarniała jak dziwka – to szczerze jej nienawidził. Co to za kobieta, która zaprasza przyjaciół na kolację, a potem zamawia gotowe chińskie żarcie? Joey’emu nie podobało się też to, jak traktowała Maureen – wyraźnie uważała się za dużo lepszą. Maureen nie zgadzała się z Joey’em, podkreślając, że to najbliższa jej osoba, jednak on wiedział swoje: to typ przyjaciółki, która niby cię wspiera, ale kiedy naprawdę jej potrzebujesz, znika bez śladu.

W trakcie kolacji Joey unikał rozmowy. Skupił się na jedzeniu, chociaż smakowało jak końskie łajno. Tylko dlatego, że David ma fioła na punkcie zdrowego jedzenia, to wszyscy muszą jeść warzywa, jak jakieś króliki, cholera. David i Maureen też nie mówili zbyt wiele. Głównie Leslie nawijała o tym, ile jeszcze musi zrobić, żeby mieszkanie wyglądało tak, jak tego chce, i że nie może już się doczekać wyjazdu w kwietniu na Florydę do swoich rodziców oraz jak „wspaniale” idzie Jessica w szkole. Joey zerknął kilkakrotnie na Leslie, bynajmniej nie z powodu tego, co mówiła, ale ze względu na odpięty guzik bluzki i odsłonięte piegowate cycki.

Najgorsza część wieczoru nastąpiła po kolacji. Jessica i jej koleżanka wystawiły swoje „przedstawienie”. Zawsze kiedy przychodziła Maureen i Joey, Jessica, czasem razem z przyjaciółką, torturowała ich jakąś głupią scenką, którą wymyśliła. Dzieciaki przebierały się w rzeczy Leslie i plotły głupoty, a goście musieli się nimi zachwycać. Dzisiejszego wieczoru zjawiły się owinięte w ręczniki i udawały, że są w reklamie szamponu do włosów. Joey jak zwykle uważał to za żałosne, ale wszyscy na koniec klaskali z zachwytem. Miał ochotę powiedzieć bachorom, że to widowisko jest do dupy, i zobaczyć ich miny.

Kiedy Jessica usiadła Leslie na kolanach, a ona ucałowała ją w czubek głowy, Joey zauważył wbity w niego wzrok Maureen. Od razu rozpoznał w jej oczach pytanie: „A dlaczego my nie mamy dzieci?”, na co Joey rzucił jej w odpowiedzi spojrzenie „Nie mam

ochoty gadać na ten temat”. Miał już tego dość – Maureen zawsze podejrzewała, że Joey jest przeciwny dzieciom. A prawda jest taka, że pragnął ich tak samo jak ona. Marzył o zabraniu Joey’ego juniora na stadion Jankesów i działaniu w jego minilidze. Ale nie chciał też, by jego syn dorastał w gównianym mieszkaniu z gównianą kuchnią. Dziecko musi mieć dom z ogrodem, miejsce, gdzie może pobiegać. Joey wyliczył, że po spłaceniu długów mógłby zacząć odkładać trochę pieniędzy, może nawet zaoszczędziłby na pierwszą ratę na dom przy Staten Island lub w New Jersey. Wiele razy klarował to Maureen – oczywiście z pominięciem długów – ale ona traktowała to tylko jako wybieg, by odkładać tę decyzję w nieskończoność, aż stanie się za stara na urodzenie dziecka. W związku z tym Joey postanowił na razie w ogóle o tym nie rozmawiać, a w stosownym czasie sam poruszyć ten temat. Natomiast w tej chwili nie obchodzą go jej miny skamlącego psa.

Wreszcie, po kawie i sałatce owocowej, nadeszła pora wyjścia. Leslie i Maureen jak zwykle plotły między sobą przy drzwiach, opowiadając, jak to świetnie się bawiły, i obiecując sobie spotkać się znowu niedługo. Potem Joey podał rękę Davidowi, którego uścisk był słaby i śliski, a kiedy podszedł, by ucałować Leslie, odsunęła się, jakby rozsiewał jakąś zarazę.

Jechali w dół windą. Maureen nie odzywała się, co Joey’emu było na rękę. Przypuszczał, że chodzi o sprawę dzieci. Na ulicy Maureen zaproponowała: – Weźmy taksówkę.

– Nie stać nas – odburknął Joey.

– Nie sądzisz chyba, że pojedę metrem o jedenastej w nocy?

– A co w tym złego?

Ale Maureen wyszła już na jezdnię i pomachała ręką. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

– Ale ty płacisz, rozumiesz? – zastrzegł Joey, kiedy usadowił się w aucie.

Maureen nadal z nim nie rozmawiała. Domyślał się, że jest wściekła z jakiegoś powodu. No tak, bo kobiety oczekują, że mężczyzna domyśli się, o co im chodzi, jakby umieli czytać w myślach, cholera.

Dopiero kiedy pędzili krętą Siedemdziesiątą Dziewiątą przez Central Park, Maureen zapytała:

– Dlaczego cały czas zachowujesz się jak kretyn?

Joey nie miał zielonego pojęcia, o czym ona mówi. Mijała już jedenasta, był piątek wieczór, miał za sobą fatalny tydzień, a tu jeszcze kolejna dyskusja o dzieciach. Postanowił się nie odzywać i pozwolić Maureen rozmyślać o sprawie tak długo, aż zapomni, o co jest zła.

Jednak ona nie zamierzała poddać się tak łatwo.

– Nie doceniasz mnie, wiesz. W tym chyba tkwi twój problem.

– Nie doceniam cię? – powtórzył Joey. – Co ty znowu wygadujesz? Czy ty i Leslie plotkowałyście na mój temat?

– Zobaczysz jeszcze... – odparła.

Może Maureen ma miesiączkę, zastanawiał się Joey. To by wyjaśniało jej dziwaczne zachowanie. Ale przypomniał sobie – miała okres w zeszłym tygodniu, a kobiety chyba nie mogą mieć go dwa razy w miesiącu. Nigdy o czymś takim nie słyszał, ale kto tam wie?

Taksówka wjechała na rondo Kolumba. Joey doszedł ostatecznie do wniosku, że Maureen znowu przypomniała sobie o ojcu. Swoje idiotyczne zachowanie zawsze tłumaczyła czymś, co jej ojciec zrobił, kiedy była dzieckiem. Wtedy Joey pytał ją: „To czemu nie mówiłaś mi o tym od razu?”, na co Maureen odpowiadała: „Myślałam, że wiesz”.

Kobiety.

Kiedy weszli do domu, dzwonił akurat telefon. Joey podniósł słuchawkę, zastanawiając się, kto to może być o tak późnej porze.

– Joey?

– Kto mówi?

– Kto mówi?

– Pytam, cholera, kto mówi?

– Nieważne. Jeśli to Joey DePino, to wyjdź na zewnątrz. W tej chwili, albo oberwie się twojej pani.

Zanim Joey zdołał coś wybełkotać, facet mówiący z hiszpańskim akcentem się rozłączył.

– Kto to był? – zapytała Maureen, wciąż jeszcze w podłym nastroju.

– Jakiś żartowniś – odparł Joey.

Maureen udała się do sypialni, a Joey został w kuchni. Nie wiedział, co począć. Głos w słuchawce nie był mu w ogóle znany, ale bez wątpienia chodziło o długi. Frank nie zawracałby sobie głowy wysyłaniem kogoś do niego, ale Carlos, ten lichwiarz, na pewno.

Joey ledwo znał Carlosa. Zostali sobie przedstawieni przez jakiegoś gościa na OTB, który usłyszał, jak Joey narzekał, że musi szybko skombinować tysiąc dolarów.

– Na kłopoty z forszą tylko Carlos – wyrecytował facet.

Zabrał Joey'ego na tyły toru, gdzie znajdował się bufet serwujący słodczyce i zupę. Przy ladzie siedział drobny Portorykańczyk o gęstych siwych włosach, jedzący właśnie chowder z małż. Rzucił Joey'owi krótkie spojrzenie i zapytał, ile pieniędzy potrzebuje. Joey odparł, że tysiąc dolarów, a wtedy Carlos przedstawił mu zasady spłaty odsetek (trzydzieści

procent tygodniowo), plan spłat (co najmniej pięćdziesiąt do każdej środy) oraz warunki (brak jednej raty powoduje spłacanie całego długu od nowa). Następnie zażądał adresu i numeru telefonu. Chyba je zapamiętał, bo nawet nie przerwał konsumpcji.

Carlos kazał Joey'emu iść do toalety za pięć minut. Najpierw wszedł Joey, po nim Carlos. Podał mu plik setek, poprawił włosy w lustrze i wyszedł.

Miało to miejsce niecały miesiąc temu. Joey spóźnił się tylko z jedną ratą – dwa dni temu – i zamierzał prosić Carlosa o przedłużenie terminu o dzień lub dwa.

Postanowił wyjść teraz na zewnątrz. Carlos wydawał się mu rozsądnym facetem. Chciał pewnie tylko zobaczyć Joey'ego, upewnić się, że nie uciekł z miasta lub nie podał fałszywego adresu i telefonu.

Joey chwycił torbę z odpadkami i krzyknął do Maureen, że idzie wyrzucić śmieci. Z klatki schodowej nikogo nie dojrzał i zaczynał już pocieszać się, że ten telefon to faktycznie jakiś głupi kawał. Jednak kiedy przekroczył próg budynku, zauważył dwóch młodzieńców – Murzyna i Latynosa – stojących przed ciemnoniebieskim fordem. Joey nigdy wcześniej nie widział tego drugiego, ale twarz czarnego wydała mu się znajoma. Widywał go na OTB przy Trzydziestej Siódmej oraz na drugim torze przy Siedemdziesiątej Drugiej. Przebywał zwykle w towarzystwie innych czarnych – Hindusów – i Joey nigdy nie skojarzył, by miał coś wspólnego z Carlosem.

Joey stał przed budynkiem, nie wiedząc, jak postąpić. Zauważył jeszcze jednego faceta siedzącego w fordzie za kierownicą. Rozejrzał się dookoła za policjantem, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Przed delikatesami kręcił się tylko bezdomny, z kubkiem w ręku. Murzyn był ubrany w znoszoną błękitną kurtkę, w której wyglądał jak ludzik z logo Michelina. Odkrył jej poły, ukazując rewolwer wystający zza pasa spodni. Ten drugi, w czarnej, skórzanej kurtce motocyklisty, stał nieruchomo.

– Podejź no tu – rozkazał czarny. Nie zdradzał hinduskiego akcentu.

Joey rozważał, czy nie cofnąć się do domu. Wejście było tylko pięć metrów od niego, ale nawet jeśli dostanie się na klatkę, to w żaden sposób nie zdąży znaleźć klucza i otworzyć drzwi wewnętrznych – i w końcu któryś z nich go złapie. Dlatego Joey postanowił mimo wszystko podejść i zobaczyć, czego od niego chcą. W końcu rewolwer ma tylko go nastraszyć. Tacy lichwiarze może i grają ostro, ale przecież nie zabiją kogoś dla kilku tysięcy dolców.

Joey zbliżył się i zatrzymał jakieś trzy metry przed nimi. Czarny, nadal prezentując rewolwer schowany pod kurtką, kazał mu podejść bliżej, więc Joey zrobił kilka kroków naprzód. Znajdował się teraz tak blisko, że zauważył u Portorykańczyka nieogolone miejsce

pod brodą. Murzyn śmierział sosem pomidorowym. Joey stwierdził, że obydwaj mogą mieć najwyżej po dwadzieścia jeden lat.

– Masz dwa tysiące siedemset dolców? – zapytał czarny.

– Ach, więc o to chodzi – Joey zgrywał głupka. – Teraz już pamiętam, widywałem cię na OTB, ale nie wiedziałem, że pracujesz dla Carlosa.

– Mój kolega zadał ci pytanie – odezwał się Portorykańczyk. – Odpowiadaj.

Joey zauważył u niego krzywy zgryz i wystające dolne zęby jak kły u Drakuli. Z gęby leciało mu sosem pomidorowym.

– Słuchajcie, to drobiazg – bagatelizował sprawę Joey. – Wiem, wykonujecie tylko swoją robotę i tak dalej, ale nie martwcie się, będę miał forszę dla Carlosa. Właśnie miałem do niego wpaść jutro i o tym pogadać.

– Nadal nie odpowiedziałeś na pytanie mojego kolegi – powtórzył Portorykańczyk. – Masz te pieniądze czy nie?

– Nie – odrzekł Joey. – Ale będę miał, nie ma problemu. Murzyn popchnął Joey'ego i rozkazał:

– Idź.

– Mam iść? Dokąd?

– Słyszałeś mojego kumpla – odparł Portorykańczyk. – No, dalej, idź.

Cała trójka poszła za róg. Joey martwił się, że ci dwaj mogą okazać się zbirami, którzy zabijają, bo ktoś krzywo na nich spojrział. Po chwili Joey został skierowany w Pięćdziesiątą Czwartą. Było to ciemne, odludne miejsce, gdzie mieściły się magazyny i parkingi.

– Chyba sobie stroicie ze mnie żarty – bronił się Joey. – Może pomyliliście mnie z kimś innym? Jestem Joey DePino. Wiszę Carlosowi tylko parę tysięcy dolców, i tyle.

Faceci nic nie mówili, tylko pchali Joey'ego dalej. Zatrzymali się w połowie drogi, pod zgasłą latarnią, i przyparli go do muru. Murzyn wyciągnął rękę z kieszeni, ale nie trzymał w niej rewolweru, tylko podsunął mu pod nos nożyk do cięcia kartonów.

– Myślisz, że się z tobą bawię, co?

Powoli przesunął ostrze po twarzy Joey'ego w górę i w dół, po czym na kurtce wyciął mu znak X. Po chwili Joey poczuł ostry ból na lewej kości policzkowej i uświadomił sobie, że Portorykańczyk bije go pięścią. Joey zgiał się wpół, osłaniając twarz, a wtedy poczuł straszny ból w żołądku, bo ktoś go bił lub kopał. Ból narastał, ale Joey starał się o nim nie myśleć, wyobrażając sobie kwiaty. Tak kazała mu robić matka, kiedy jako dziecko miewał koszarne sny. Na nic się to zdało w dzieciństwie i teraz też nic nie pomogło.

Joey z trudem mógł uwierzyć w taki koniec swojego żywota – zamordowany lub

zastrzelony przez dwóch typów w ciemnym zaułku. Sądził, że umrze w łóżku jako starzec, którym opiekuje się Maureen i wnuki. Potem zaczął zastanawiać się, jaka będzie jego ostatnia myśl przed śmiercią.

Bicie wreszcie się skończyło. Joey leżał na ziemi w pozycji embrionalnej i starał się nawet nie drgnąć. W przeciwnym razie, obawiał się, ci dwaj znów zaczną go kopać. Usłyszał Portorykańczyka, jak mówi: – Chodźmy już, Di.

– Poczekaj, coś mi się zdaje, że nie dość oberwał – powiedział Murzyn.

Joey poczuł kolejne uderzenie w żebra.

– Di, bo jeszcze ktoś nas zobaczy – niecierpliwił się Portorykańczyk.

Murzyn nachylił się nad Joey'em:

– To tylko przedsmak tego, co cię czeka, jeśli Carlos nie dostanie swoich pieniędzy do piątku.

– Di – ponaglał Portorykańczyk.

Nagle zrobiło się cicho. Joey nie ruszał się. Leżał na ziemi, zlizując krew z ust. Przed oczami stanęła mu piękna róża.

8

Joey opowiadał Maureen, jak to jakiś bezdomny nagle, bez powodu napadł na niego przed delikatesami. Nie spodziewał się, by kupiła tę bajeczkę. Ku jego zaskoczeniu, we wszystko uwierzyła.

– Musisz iść do szpitala! – krzyczała histerycznie. – Musisz sobie zrobić test na AIDS.

– Nie czytasz gazet? – obruszył się Joey. – Właśnie w szpitalach dostaje się AIDS.

– Nie wiadomo – upierała się Maureen. – Na pewno był narkomanem. Mógł cię zranić igłą. Proszę, nie bądź głupi, pozwól mi zabrać cię do szpitala.

– Zapomnij o tym – protestował Joey. – Nie zamierzam też dzwonić na policję. Nic ich nie obchodzi bezdomny. Nawet jeśli zaczną go szukać, to tylko go aresztują, a mnie będą ciągać po sądach. Nie potrzebuję tego zamieszania.

Wstał z kanapy, trzymając przy twarzy zawinięty w ręcznik lód. Straszliwie bolały go nogi i żebra, ale raczej niczego mu nie złamano. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była policja, bo co miałby powiedzieć glinom: „pobili mnie kumple tego lichwiarza” i podać rysopis obydwu typków? Dołożyli mu, bo muszą odzyskać pieniądze Carlosa, ale już bez wątplenia zabiliby go, gdyby poszedł na policję. No i Maureen dowiedziałyby się o pożyczonych pieniądzech, a tego Joey najbardziej się bał. Hazard to jedno, ale gdyby Maureen odkryła, ile Joey naprawdę ma długów i jakie prowadzi interesy z lichwiarzami, miarka by się przebrała.

W łóżku musiał cały czas leżeć na plecach. Prawie w ogóle nie spał, drzemał tylko momentami, a resztę nocy spędził w półśnie, odtwarzając w pamięci każdy cios i kopnięcie. O dziwo, we śnie wszystko działo się na Meadowlands, zaraz po wyświetleniu się napisu „KONTROLA”. Kilka razy Maureen pytała, czy Joey dobrze się czuje i za każdym razem ją uspokajał, każąc jej spać i już się nie martwić. Tymczasem twarz strasznie go bolała od samego poruszania ustami.

Rano Maureen popatrzyła na niego z taką miną, jakby obudziła się obok potwora.

– Nie powinnam słuchać cię wczoraj – wykrzyknęła. – Idziemy do lekarza, natychmiast.

Joey odparł, że chyba oszalała, on nigdzie nie idzie. Mówił tak do momentu, aż nie zaczął wstawać z łóżka. Ból w żebrach nie pozwalał mu wykonać najmniejszego ruchu, a kiedy w końcu wstał i spojrzał na siebie w lustrze, ledwo się rozpoznał. Twarz miał purpurową i czerwoną, a w niektórych miejscach rany jeszcze krwawiły. Maureen zaferowała się zapłacić za taksówkę. Udali się na dyżur w szpitalu Św. Wincentego w

centrum. Czekali dwie godziny, zanim ktoś przyszedł obejrzyć Joey'ego. Lekarz dyżurny polecił wykonanie zdjęcia żeber. Stwierdził, że są tylko potłuczone, ale na twarzy należy założyć szwy. Zasugerował wizytę u chirurga plastycznego, gdyż rany były w widocznym miejscu – jedna pod prawym okiem, druga po lewej stronie, przy ustach. Jednak Joey postanowił podjąć ryzyko i kazał wykonać zabieg lekarzowi dyżurnemu.

W końcu wrócił do poczekalni, gdzie Maureen siedziała i czytała gazety.

– I co, nie miałam racji, przyprowadzając cię tutaj? – zapytała.

– Tak, jestem ci wdzięczny – odparł Joey. Pomiął kwestię chirurga plastycznego. – Nie pogniewasz się, jeśli spotkamy się później?

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Maureen tonem wskazującym, iż domyśla się, o co chodzi – o hazard.

– Nie martw się, nic z tych rzeczy – odrzekł Joey znacząco. – Chcę pochodzić i poszukać pracy.

– W sobotę?

– Znam pewnego gościa. Pamiętasz Mike'a Diaza? Pracowaliśmy kiedyś razem. Powinien mieć coś dla mnie w firmie, w której pracuje.

– A nie możesz do niego zadzwonić?

– Mogę, ale wolę spotkać się z nim osobiście, trochę mu się podlizać. Nie martw się, zaraz wrócę do domu.

Przed szpitalem rozstali się: Maureen poszła w kierunku północnym, na Siódmą Aleję, a Joey przez miasto na Zachodnią Jedenastą. Oczywiście wcale nie zamierzał odwiedzać Mike'a Diaza. Nie widział go od trzech lat. Nie miał też pojęcia, gdzie Mike pracuje, a już na pewno nigdy nie prosiłby go o pomoc w znalezieniu roboty. Joey nie planował też grać, bo w trakcie zabiegu zszywania ran doszedł do wniosku, że szansa na uzbieranie wystarczającej sumy na spłacenie długów po sprzedaży kuli do gry, kijów golfowych i starych kart baseballowych miała się jak jeden do miliona. Musiał znaleźć inny sposób, a siedząc cały dzień w domu z Maureen, niczego by nie wymyślił.

Skręcił w lewo na Broadway i skierował się w stronę Union Park Square. Zrobiło się już cieplej. Ostre słońce raziło w oczy, a wiatr ustał. W niewielkim parku spacerowało mniej ludzi niż w upalne dni – ktoś szedł z psem, jacyś bezdomni przewracali zawartość koszy na śmieci, mamrocząc pod nosem. Joey nie zwracał na nic uwagi, zatopiony we własnych myślach. Usiadł na skraju ławki – jedynym miejscu, na którym nie było ptasich gówien.

Rozważał pewien pomysł, który powstał mu w głowie już zeszłej nocy, kiedy leżał w łóżku. Największy problem stanowiło tylko to, że nie wiedział jeszcze, jak okraść Tech

Systems, by nie zostać złapanym. Był za to niemal pewien, że zdoła wejść do budynku w nocy głównym wejściem. Dostawszy się na trzecie piętro, może bez przeszkód otworzyć wszystkie zamki do biur firmy. Jego kumpel w szkole średniej włamywał się kiedyś do pokoi nauczycieli i kradł testy. Nauczył też Joey'ego otwierania zamków agrafką. Po latach praktyki Joey stał się w tym całkiem dobry. Nigdy nie próbował wkraść się do Tech Systems, ale wiedział, że mają standardowe zamki, więc tu nie widział żadnej trudności. Największy kłopot, to jak wejść, a potem wyjść niezauważonym przez system kamer. Znał tylko pięć miejsc, w których je umieszczono. Poza tym, nawet jeśli uda mu się dostać i wydostać z biura, to nie bardzo wiedział, co dokładnie miałby ukraść. Sprzęt komputerowy jest za duży, a gotówka schowana w sejfie. Jedyne, co by się nadawało, to ThinkPady IBM i karty pamięci. W magazynie stały komputery z kartami, ale to oznaczało konieczność ich rozebrania, co zajęłoby mnóstwo czasu. Zresztą, co dalej z tymi kartami? Może i są warte tysiące dolarów, ale nie sprzeda ich ot tak, na ulicy.

Joey'ego frustrował brak koncepcji na obrobienie Marka Conine'a, bo z radością by załatwił tego bogatego, zadufanego gnoja. Wyobrażał sobie, jak Mark zjawia się w firmie w poniedziałek rano i spostrzega swoje komputery rozebrane na kawałki porzucane po całej podłodze. Dureń nie wiedziałby, co począć. Pierwsze, co by zrobił, to zacząłby płakać mamusi przez telefon.

Joey wziął głęboki oddech i od razu dały znać o sobie potłuczone żebra. Co prawda prześwietlenie nie wykazało żadnych złamań, ale i tak czuł się niewyobrażalnie źle. Zamiast siedzieć prosto, dzięki czemu byłoby mu lepiej, zginał się wpół, co potęgowało ból. Wmawiał sobie, że zasługuje na takie cierpienie za swoje nieudane życie. Może, kiedy będzie go kusiło, by znów zrobić zakład, stawiając nie swoje pieniądze, przypomni sobie to straszne klucie w żebrach.

Pomyślał nagle o takim Davidzie Sussmanie. Gość nawet nie wie, co to ból. Ma szczupłą żonę z dużymi cyckami, zarabia furę pieniędzy i mieszka w pieprzonym pałacu. A jeszcze mu mało, więc wyhacza jakąś lalę z biura i sądzi, że przeżywa męczarnie. Jeśli chce wiedzieć, co to znaczy cierpieć, niech idzie pewnego wieczoru na tor, postawi na numer, który wygra siedemnaście tysięcy dolarów, a potem zobaczy, jak na tablicy wyświetla się napis „KONTROLA”. Albo w środku nocy niech zawołają go typki, które obiją mu twarz. I jeszcze wyleją go z roboty, a w banku zerowe konto i długi po uszy. Potem niech wróci do domu, gdzie czeka zrzędząca żona z grubym tyłkiem i wiecznymi pretensjami. Na jeden dzień może zamienić się z Joey'em DePino i wtedy zrozumie, co to ból.

Joey miał już dość. Usiadł i próbował złapać oddech. Pomyślał jeszcze o poniedziałku

rano, kiedy stanie w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych. Wcale nie wstydził się pobierać za darmo pieniędzy od rządu, ale kilkaset dolarów tygodniowo nie wydobydzie go z dołka, w jaki się wpakował. Musi szybko zdobyć forszę, dużą forszę, musi...

Przecież to takie proste, aż się zdziwił, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Jest pewna osoba, od której może wyciągnąć pieniądze, i to sporo. Wcale nie trzeba będzie ich pożyczać ani kraść. Istnieje dużo prostszy sposób. Joey nie miał żadnych wątpliwości, ten plan się powiedzie. Potrzebuje jedynie czyjejś pomocy, ale to nie problem. W końcu stary przyjaciel, Billy Bomba, jest mu winien przysługę.

Amy Lee założyła ciemne okulary, a włosy spięła gładko w kitkę i śledziła Leslie, która szła do supermarketu Gristede's na rogu Drugiej Alei i Siedemdziesiątej Piątej. Obserwując Leslie przez ostatnie dwa tygodnie, wiedziała, że kupowała jedzenie w niedzielę przed południem. W poprzednie dwie niedziele panował przenikliwy chłód, ale dzisiaj przyjemnie było stać w słońcu na Siedemdziesiątej Dziewiątej i czekać na swoją ofiarę, aż wyjdzie z budynku.

Amy podążyła za Leslie do działu z mrożonkami, w którym ta kupowała dietetyczny gotowy obiad. Potem Amy przyglądała się, jak wybiera kartonik chudego mleka oraz opakowanie beztłuszczowych jogurtów i serków farmerskich. W przymierzalni w sklepie Macy'ego Amy ujrzała Leslie w bieliźnie i nie zauważyła nic szczególnego w jej ciele. Miała niezłą figurę, chociaż nie wyglądała na osobę, która dużo ćwiczy lub jeździ na rolkach. Ramiona były nieco za chude, a na udach pokazała się „pomarańczowa skórka”. Ona sama, Amy, jest znacznie lepiej zbudowana i David na pewno też to widzi.

Leslie oglądała grejpfruty. Amy ścisnęła mocniej rewolwer kaliber 32 schowany w kieszeni płaszcza. Kupiła go dwa lata temu, kiedy pewnego wieczoru jakiś mężczyzna szedł za nią od bankomatu mieszczącego się na rogu Siódmej Alei i Christopher Street. Na klatce jej domu zagroził nożem, obrabował i próbował zgwałcić. Już podnosił jej spódnicę, kiedy wyszło dwóch pijanych studentów i go wystraszyło.

Amy przysięgła sobie nigdy więcej nie być tak bezbronną w obliczu zagrożenia. Następnego ranka udała się do składu z bronią na Murray Street i zapisała się na kurs strzelania do celu. Instruktor pochwalił ją, bo jeszcze nigdy nie spotkał kobiety z tak spokojną ręką. Niedługo umiała już trafić do każdego celu. W dniu otrzymania pozwolenia na broń kupiła sobie rewolwer w sklepie przy Warren Street. Następnym razem, kiedy zdarzy jej się podobna sytuacja jak przedtem, strzeli, co zresztą się stało w ostatnią Wigilię Bożego

Narodzenia.

Właśnie wracała do domu po imprezie organizowanej przez kogoś z pracy, kiedy zauważyła śledzącego ją chudego, czarnego chłopaka. Skręciła w Morton Street, a on się do niej zbliżył. Poczowała dotknięcie jego ręki na swoim ramieniu i w tym samym momencie odwróciła się i wystrzeliła dwa razy – raz w twarz, drugi raz w klatkę piersiową, kiedy upadał na plecy. Następnego dnia wszędzie pisano o zabójstwie, ale nie znaleziono żadnych świadków. Okazało się, że zamordowany to poszukiwany seryjny gwałcieł, który dokonał już co najmniej sześciu brutalnych napaści w West Village. Amy wątpiła, by policja starała się odszukać sprawcę morderstwa. Tak jak przypuszczała, sprawa pozostała niewyjaśniona.

Amy uważała, że to rozwód rodziców stał się przyczyną jej problemów z mężczyznami. Kiedy miała cztery lata, ojciec opuścił rodzinę – wrócił do Chin. Psychoanalityk, do którego chodziła, powiedział jej któregoś razu, że jako dorosła kobieta próbuje odreagować swoje niestabilne dzieciństwo. Amy zawsze uważała psychoterapię za stek bzdur, ale musiała przyznać, że posiadała talent do wyszukiwania sobie nieudaczników. Jako nastolatka i młoda dziewczyna umawiała się tylko z chłopakami chińskiego pochodzenia po to, by zadowolić swoją matkę. Jednak po kilku nieudanych związkach nie gardziła też białymi czy Latynosami. Najpoważniej traktowała chłopaka o imieniu Phil. Był absolwentem biotechnologii na Uniwersytecie Nowojorskim. Chodzili ze sobą dwa lata, aż niespodziewanie Phil oznajmił, że wraca do dawnej dziewczyny. Amy załamała się i nie umawiała się z nikim przez rok. Czuła, jak coś w niej pękło. Kiedy znów zaczęła nawiązywać kontakty z mężczyznami, podejrzewała, że chcą ją tylko wykorzystać, więc nikomu nie ufała.

W samotności nie umiała przestać myśleć o Davidzie. Jego obraz, w domu ze swoją szczęśliwą rodziną, stanowił dla niej torturę. Miała już tego w końcu dość. Zdobyła numer telefonu Davida od jego kolegi z działu i dzwoniła do niego w ciągu dnia, odkładając słuchawkę za każdym razem, kiedy odbierała żona. Znienawidziła głos Leslie Sussman. Był to ton zarozumiałej, pewnej siebie kobiety, której wydawało się, że zasłużyła na wszystko, co najlepsze. Zarówno w pracy, jak i podczas niejednej nocy, kiedy Amy nie mogła zasnąć, dźwięczały jej słowa – halo, halo.

Zaczęła śledzić Davida. Wychodziła z biura przed nim i czekała, aż wsiądzie do taksówki. Brała wtedy drugą i jechała za nim. Kiedy wysiadał, obserwowała, jak wchodzi do domu. Patrzyła na niego, aż zamknęły się drzwi windy.

Zeszłej soboty wieczorem śledziła całą jego rodzinę we włoskiej restauracji na Drugiej Alei. Włożyła perukę z blond włosów i okulary przeciwsłoneczne, więc David jej nie rozpoznał, mimo że dzielili ich tylko dwa stoliki. Na pierwszy rzut oka wydawał się

szczęśliwy – śmiał się, trzymał żonę za rękę, od czasu do czasu całował córeczkę w czoło – jednak Amy wiedziała, jak bardzo cierpi w głębi duszy.

Kiedy oznajmił Amy, że koniec z ich związkiem, naturalnym jej odruchem była złość. Miała nadzieję, że ukochany próbuje tylko się zgrywać i tak naprawdę nie to ma na myśli. Bo jakie może być tego wyjaśnienie? Ona sama nie zamierzała grozić mu w ten sposób, ale czy miała inne wyjście? Dlatego właśnie zwolniła się z pracy i śledziła jego żonę, Leslie, do Manhattan Plaza. Zrobiła jej zdjęcie, kiedy jadła lunch z przyjaciółką, potem szła za nią do sklepu Macy'ego i rozmawiała w przymierzalni. Amy wcale nie bawiło pokazywanie Davidowi zdjęcia, ale kiedy zjawił się w jej mieszkaniu następnego wieczoru, okazało się, że jej strategia działania przynosi efekty. Jego wściekłość to tylko fasada, za którą kryje się autentyczne uczucie i Amy wkrótce odkryje prawdziwego Davida Sussmana.

W końcu wylądowali w łóżku i Amy była już przekonana, że robią postęp, a David jej nie porzuci dla swojej sztywnej żony. Jednak chwilę później zaczął znowu wygadywać te same bzdury co w biurze, opowiadając o końcu ich związku i żeby Amy zostawiła jego rodzinę w spokoju. Teraz już nie wiedziała, czy David rzeczywiście tylko się zgrywa, czy mówi poważnie. Nie mogła tego zrozumieć. Bo jeśli to, co teraz mówi, jest serio, to wcześniejsze obietnice nie były prawdziwe.

Kolejnego wieczoru, w zeszłym tygodniu, właśnie skończyli się kochać i leżeli razem na podłodze w jego biurze. Było tak romantycznie, kiedy on wtulał twarz w jej szyję, a Amy wodziła palcami po jego owłosionej i spoconej klatce piersiowej. Nagle zauważyła, że David płacze. Zapytała, co się stało, ale on długo nie odpowiadał. Postanowiła nie naciskać; zwierzyła się jej, kiedy będzie na to gotów. Owładnęły ją matczyne uczucia i zaczęła całować go w czoło, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. W końcu David zaczął opowiadać Amy o swoich koszmarnych atakach paniki. Miewał je już od lat, ale ostatnio się nasilały. Momentami czuł „kłucie” w klatce piersiowej i nie mógł wtedy złapać oddechu. Serce waliło mu bez opamiętania i odnosił wrażenie, jakby miał zaraz umrzeć. Chodził z tym do lekarzy, ale żadna kuracja nie pomagała, a kiedy mówił o tym żonie, zawsze kwitowała to stwierdzeniem, że Jest hipochondrykiem”. David dalej płakał, więc Amy tuliła go i pocieszała. Wówczas całkowicie się przed nią otworzył. Opowiadał o uczuciu osaczenia w swoim małżeństwie, uciekającym czasie i ciągłym strachu w życiu. Amy zapewniała Davida, że już nie musi niczego się obawiać, bo ona uchroni go przed tymi lękami. Wtedy właśnie powiedział jej, że jest wspaniała, bo jeszcze żadna kobieta tak dobrze go nie rozumiała. Potem ujął jej dłonie, spojrzał w oczy i zapytał:

– Czy wyjdiesz za mnie pewnego dnia?

Na samo wspomnienie tej chwili poczuła gorąco na twarzy. David wyznał szczere uczucie, a to, co wygadywał po tamtej nocy, to tylko kłamstwa. Po prostu znów panikuje, bo czuje się osaczony i przestraszony; tylko ona jest w stanie mu pomóc i tylko ona wie jak...

Idąc za Leslie wzdłuż działu z puszkami, Amy ścisnęła rewolwer jeszcze mocniej, a jej palec wskazujący drżał na spuście. Nie zamierzała zranić Leslie. Może zadziałają inne metody i w końcu David rozstanie się z żoną w zgodzie. Amy nie chciała popełnić głupstwa i skończyć w więzieniu, gdy tymczasem Leslie nadal żyłaby u boku Davida. W tej sytuacji musiałaby zrobić coś złego, zabijając też jego. Nie zniosłaby ani Leslie, ani żadnej innej kobiety przy jego boku.

Tymczasem Leslie sięgała po puszkę z sosem pomidorowym. Amy stała za nią, zastanawiając się, czy nie iść na całość i nie strzelić paniusi w plecy – miałyby już problem z głowy.

Leslie nie rozpoznała młodej Chinki, która właśnie zawołała ją po imieniu. Dopiero kiedy dziewczyna zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zapytała: „Pamiętasz mnie? Przymierzalnia u Macy’ego?”, przypomniała ją sobie.

– Mój Boże, jak się masz? – wykrzyknęła Leslie. – Mieszkasz tu niedaleko?

– Nie – odparła Amy.

– To zabawne. Nie poznałam cię od razu, chyba zmieniłaś włosy, co? No, to powiedz mi, jak poszło ci z twoim chłopakiem? Posłuchałaś mojej rady?

– Tak, właściwie tak – przyznała Amy. – Stałam się dużo bardziej agresywna i to chyba zaczyna przynosić rezultaty.

– To wspaniale. Bardzo się cieszę – Leslie umilkła na chwilę, mrużąc oczy. – A przy okazji, skąd znasz moje imię?

– Jak to?

– No, nie pamiętam, bym ci mówiła, jak mam na imię.

– Możliwe – wahała się Amy. – Chyba po prostu zgadłam.

Ostatnie zdanie nieco wystraszyło Leslie. Zaczynała czuć się nieswojo w obecności tej kobiety i nie wiedziała, dlaczego.

– Chyba jestem winna tobie wyjaśnienie – ciągnęła Amy. – Widzisz, zajmuję się parapsychologią.

– Doprawdy? – Leslie była zaskoczona. – Jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z taką osobą.

Amy spuściła nieśmiało wzrok. – To nic takiego. Moja praca.

– Więc zgadłaś moje imię?

– Chyba tak. Czasem nie mam pojęcia, skąd wiem o pewnych rzeczach.

– To fascynujące.

– Och, a tak przy okazji, jestem Amy.

– Cóż, miło cię poznać – uśmiechnęła się Leslie. – Jestem pewna, że jeszcze kiedyś wpadniemy na siebie.

Już chciała wrócić do swoich zakupów, kiedy zauważyła, że Amy dziwnie się jej przygląda. Chociaż patrzyła na Leslie szeroko otwartymi oczami, to miały taki dziwny, nieprzenikniony wyraz, jak u niewidomej osoby.

– Wszystko dobrze? – zapytała.

Amy nie odpowiadała, więc Leslie powtórzyła pytanie.

– Tak, tak, wszystko w porządku. Przepraszam, ale nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. Bije od ciebie bardzo silna aura i nie jest ona pozytywna.

– Czyżby? – Leslie powątpiewała.

– Jeśli nie chcesz tego słuchać, nic więcej nie powiem. Niektórzy ludzie się obrażają, jeśli odczytam coś bez ich wiedzy.

– Ależ nie, proszę bardzo – zachęcała Leslie.

– To jest bardzo silna aura, wyjątkowo. Niestety, widzę duże napięcie i traumatyczne przeżycia w twoim życiu. Jesteś mężatką, prawda?

– Tak – potwierdziła Leslie. Zaczynała już sądzić, że Amy jest nienormalna.

– Mąż ma na imię Daniel, tak? Nie, przepraszam, Dabney. Nie, nie tak. David. Ma na imię David, tak?

– Skąd wiesz?

– Mogę zobaczyć twoją dłoń?

Leslie zawahała się, ale w końcu wyciągnęła rękę. Amy ujęła ją delikatnie.

– Tak jak sądziłam. Napięcie ma związek z tobą i twoim mężem. Wasze małżeństwo przechodzi ostatnio kryzys i, niestety, będzie coraz gorzej. On robi coś, co cię rani. Skrywa przed tobą jakiś sekret.

– Jakiego rodzaju? – Leslie jeszcze bardziej się zaciekawiła po tym, jak Amy zgadła imię Davida.

– Nie jestem pewna, ale to coś złego, wiem o tym. A kiedy się dowiesz, będzie to dla ciebie bolesne, nawet bardzo. Powinnaś z nim o tym natychmiast porozmawiać.

– Porozmawiać o czym?

– O tym, jak cię oszukuje.

– To wszystko jest bardzo interesujące, ale...

– Uwierz mi. Im dłużej czekasz, tym gorzej. Porozmawiaj z nim jeszcze dziś wieczorem, a potem zostaw go możliwie jak najszybciej.

– Kazesz mi odejść od męża?

– Tak. Nim będzie za późno.

Teraz Leslie nabrała już całkowitego przekonania. Kobieta jest chora. Kilku kupujących też spoglądało nerwowo na Amy. Leslie pożegnała się z nią szybko, rzucając krótkie „dzięki” i popchnęła wózek w stronę kas. Rozważała nawet, czy nie porzucić zakupów w sklepie i czym prędzej nie pojechać taksówką do domu. Obawiała się, że Amy będzie ją zaczepiała w kolejce lub śledziła po wyjściu. Rozejrzała się jeszcze wokół działu z puszkami. Amy na szczęście zniknęła.

Leslie starała się nie myśleć o całym zajściu, ale kiedy wracała, była cały czas niespokojna. Przypomniała sobie problemy z Davidem i jego dziwne od pewnego czasu zachowanie, a także pustą kasetę. Zastanawiała się, czy to wszystko nie jest wzajemnie powiązane.

I ciągle miała uczucie, że Amy ją śledzi. Idąc Siedemdziesiątą Dziewiątą, stale oglądała się za siebie.

Billy Bomba nie bez przyczyny był tak przezywany. Gdy przebierał się kiedyś w szkole po lekcji wuefu, jeden z chłopaków zobaczył jego jądra wielkie jak kule bilardowe, wystające ze slipek. Zawołał wtedy:

– Chodźcie tu wszyscy, zobaczcie Billy’ego, ale bomba!

Od tej chwili to przezwisko na zawsze do niego przyłgnęło.

Joey znał jednak Billy’ego, na długo zanim ten otrzymał przydomek Bomba. Rodzina DiStefano mieszkała w domu obok DePino przy Albany Avenue na Brooklynie. Billy i Joey znali się od czasów, kiedy matki wozily ich obok siebie w wózkach po Flatbush Avenue. Chodzili do tej samej klasy w szkole podstawowej nr 119 i razem uczęszczali też do gimnazjum Huddie’go oraz liceum Midwood. Jako dzieciaki grali razem w baseball przed garażem Billy’ego i przesiadywali w Pizzerii u Rocco na Avenue J. Kiedy Joey miał osiem lat, ojciec zaczął zabierać go w weekendy na wyścigi konne. Billy czasami im towarzyszył. Chodzili przeważnie na tor Akwedukt lub Belmont, a w letnie wieczory na tor im. Roosevelta na Long Island, gdzie oglądali zawody kłusaków. W wieku jedenastu lat samodzielnie obstawiali zakłady. Jednak od samego początku Joey wykazywał dużo większe skłonności do hazardu niż Billy, który już wtedy wołał uganiać się za dziewczętami.

Czasami Joey zastanawiał się, czy jego kumpel czuł taki pociąg seksualny z powodu ogromnych jąder. Mając jedenaście lat, kiedy większość chłopców czeka jeszcze na pojawienie się włosów łonowych, on robił to już z Lindą Gianetti, cichodajką z szóstej klasy. Zawsze ubierał się w najlepsze ciuchy – dżinsy od Sergio Valente, militarne podkoszulki – i obwieszał się złotymi łańcuchami. W szkole średniej zarobił na zaliczkę na czerwonego forda camaro, w którym siedział każdego popołudnia przed głównym wejściem do liceum Midwood na Bedford Avenue, oblegany przez tłum dziewcząt. Joey, nawet kiedy już urosły mu wszystkie włosy, nigdy nie był tak przystojny jak Billy. Większość czasu spędzał na torach wyścigowych OTB przy Wschodniej Szesnastej, ale czasami spotykał się z Billym, jego dziewczyną i jej koleżanką, by uprawiać seks w samochodzie zaparkowanym w ciemnej uliczce dzielnicy Canarsie lub przy Marine Park. Gdyby nie przyjaciel, Joey musiałby udać się do jakiejś dziwki, żeby stracić dziewictwo, jak to robili inni koledzy z sąsiedztwa.

Ale zdarzył się wypadek. Było to w dzień ukończenia nauki w Midwood. Wieczorem Billy wracał z Cindi Badamo, najładniejszą dziewczyną w szkole, z baru przy Bay Ridge. Plotka głosiła, że Cindi obciągała mu fiuta, kiedy prowadził. Skręcał w Kings Highway i stracił panowanie nad pojazdem. Samochód roztrzaskał się o drzewo. Cindi uderzyła tyłem

głowy w kierownicę i złamała kark. Zmarła kilka godzin później w szpitalu. Billy leżał dwa tygodnie w śpiączce. Matka i babka siedziały przy jego łóżku dwadzieścia cztery godziny na dobę, modląc się do Jezusa. Jakimś cudem się wybudził, ale nie pamiętał wypadku i innych rzeczy. Lekarze twierdzili, że wkrótce wróci całkowicie do zdrowia, jednak Billy nigdy nie był już taki sam.

Oprócz mówienia dużo wolniej, zdawał się błądzić gdzieś myślami, wyłączał się w połowie rozmowy, tracił nagłe panowanie nad sobą i bił ludzi bez powodu. Nie uśmiechał się i nie śmiał jak dawniej, nieraz wpadał w tak głęboką depresję, że całymi dniami nie wychodził z domu. Stopniowo brzydł – przybrał na wadze i przestał dbać o ubiór. Zapuścił wąsy, potem kozią bródkę, w końcu całą brodę. Jedyne, co się w nim nie zmieniło, to jego potrzeby seksualne. Nie tak łatwo już poznawał kobiety, gdyż od razu orientowały się, że coś jest z nim nie tak, ale niektóre – zazwyczaj te bardziej tępe – czasami się z nim umawiały. A kiedy nie miał dziewczyny, udawał się na Manhattan do burdelu na Dwudziestą Wschodnią lub jeździł po West Side Highway i brał prostytutki. Opowiadał Joey’emu, że nazywał swojego członka „Super Wacek” z powodu jego niesamowitej wręcz zdolności pozostawiania niebywale długo we wzwodzie. Joey żartował, że pewnego dnia zgłosi go do Księgi rekordów Guinnessa.

Kiedy Billy wyleczył się po wypadku, Joey znalazł mu robotę w sklepie z farbami, w którym wtedy pracował. Wprowadził go też do szajki kradnącej farby i to on organizował im prostytutki w czasie weekendowych wypadów do Atlantic City. Chociaż Billy często nie był wcale zabawny, to Joey pozostał wobec niego lojalny.

Billy zaczął też chodzić z dziewczyną o imieniu Karen. Każdego dnia opowiadał kumplom o jej dzikich i szalonych wybrykach w łóżku, a wszyscy faceci w sklepie zbierali się wokół niego i zachłannie słuchali. Billy nigdy wcześniej nie zmyślał, jeśli chodziło o laski, ale tym razem Joey już wątpił, by Karen faktycznie istniała. Nie widywano ich razem, co było całkiem niepodobne do Billy’ego. Poza tym od jego śpiączki nie minęło jeszcze pół roku, więc Joey podejrzewał, że gościowi coś się pomieszało w głowie. I wtedy pewnego gorącego i dusznego dnia na początku sierpnia Billy wrócił do sklepu z przerwy na lunch, oznajmiając, że Karen chce przyjąć wszystkich chłopaków naraz, więc jeśli ktoś jest zainteresowany... Może z powodu gorąca, gdyż był to najbardziej upalny dzień w roku, w każdym razie wszyscy faceci od razu zamienili się w dzikie bestie. Szef akurat zachorował i był nieobecny, przez co cały pomysł wydał się jeszcze bardziej kuszący. Cała zgraja zapakowała się na ciężarówkę, krzycząc do Billy’ego, żeby zrobił im dobrze. Joey też wsiadł. Nadal nie był przekonany o rzeczywistym istnieniu Karen, ale chciał pociupciać tak samo jak inni.

Karen nie mieszkała daleko od sklepu. Billy zawiózł ich do jednego z wolnostojących domów mieszczących się w bok od Utica Avenue. Zatrzymał ciężarówkę i kazał im po cichutku wysiąść i schować się, a on w tym czasie zadzwonił do drzwi. Nikt go nie zapytał, dlaczego każe im się chować, jeśli Karen chce z nimi uprawiać seks, a nawet jeśli któryś o tym pomyślał, to po prostu nic nie powiedział. Chichocząc, niektórzy schowali się za krzakami, inni za zaparkowanym samochodem. Kiedy się już uciszyli, Billy nacisnął dzwonek. Otworzyły się drzwi, a wtedy wszyscy wpadli z krzykiem i śmiechem do środka.

Joey nie widział ani nie słyszał Karen. Znalazł się wewnątrz domu jako jeden z ostatnich. Panował taki zgiełk i hałas, że nie mógł zorientować się, co się tam dzieje. Podążył za resztą chłopaków, którzy wchodzili po wąskich schodach na górę. Na piętrze wszyscy zakradli się do pokoju na końcu korytarza. Joey nadal nic nie widział, ale kumple zachowywali się tak, jakby właśnie rozkręcała się niezła impreza. I wtedy, po wejściu do pokoju, Joey ujrzał Karen po raz pierwszy.

Była to duża dziewczyna z rudymi, kręconymi włosami. Siedziała na łóżku, a Billy szarpał jej bluzkę, chcąc ją zdjąć. Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Płakała, odpychając Billy'ego i pozostałych. Wówczas Billy'emu odbiło. Zdarł jej bluzkę przez głowę i popchnął mocno na łóżko. Wołała: „Nie, nie”, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Ze sposobu, w jaki mówiła, Joey wywnioskował, że jest jakaś dziwna, chyba upośledzona. Billy kazał dwóm kolegom przytrzymać ją, po czym ściągnął spodnie, pokazując ogromne jaja. Chłopaki wrzeszczeli: „No, Billy Bomba!” oraz „Dalej, dawaj, Billy Bomba!” i wydawali z siebie różne inne okrzyki na zachętę. Prawie wszyscy się śmiali.

Kiedy Billy wchodził w Karen, cała banda zaczęła wydzierać się jeszcze głośniej. Wszystko stało się tak szybko, że Joey dopiero po jakimś czasie zorientował się, o co chodzi. Z początku, całkowicie oszołomiony, dołączył do kolegów. Ale kiedy Billy skończył, Joey zobaczył, jak biedna dziewczyna płacze, i stwierdził, że to, co ma tu miejsce, jest złe. Odniosł też wrażenie, iż kilku innych chłopaków w pokoju – na pewno Stevey i Chris – tak jak on czuło się nieswojo, ale nikt się nie ruszył, by przerwać tę głupią zabawę. Joey chciał coś powiedzieć, ale wtedy podpadłby wszystkim. Kumple ze sklepu to jego najlepsi przyjaciele, w zasadzie jedyne, a niektórzy z nich należeli do szajki. A gdyby tak postanowili wykluczyć z niej Joey'ego? Nie mógłby nic zrobić, a nie chciał stracić dodatkowego zastrzyku gotówki w postaci tysiąca dolarów.

Mimo to zamierzał jakoś zareagować. Widział już siebie w roli wielkiego bohatera, którego wdzięczni rodzice dziewczyny zapraszają na obiad, by mu podziękować. Ale po chwili następny chłopak położył się na upośledzonej dziewczynie, a Joey stał i patrzył. Za

każdym razem, kiedy chciał się ruszyć lub coś powiedzieć, drugi, wewnętrzny głos kazał mu stać spokojnie. Dwóch już zgwałciło dziewczynę, a on nic nie zrobił, by im przeszkodzić. Co by się stało, gdyby próbował teraz temu zapobiec lub pobiegł do telefonu i zadzwonił na policję? W końcu okazałoby się, że od samego początku jest w to tak samo zamieszany jak inni i sam podchwycił pomysł, wsiadając na ciężarówkę, a potem beczynnie wszystkiemu się przyglądając. Czytał ostatnio w gazecie, jak kilku czarnych mężczyzn z Harlemu zgwałciło zbiorowo kobietę i wszyscy poszli do więzienia. Joey wiedział, że też może się tam znaleźć.

Obserwował kolegów wchodzących po kolei na upośledzoną dziewczynę – nawet Stevey i Chris wzięli w tym udział. Nabrał pewności co do jej upośledzenia, bo kiedy próbowała krzyczeć, Billy wepchnął jej do ust swoją zwiniętą koszulkę i wrzasnął: „Zamknij się, ty głupkowata dziwko!” Czas biegł szybciej, niż Joey sądził. Spojrzał na zegar stojący na komodzie i aż się zdziwił – minęła już godzina. Ktoś krzyknął, że teraz jego kolej, ale odmówił, wykręcając się brakiem nastroju. Kevin Miller zapytał go, dlaczego, na co Joey powtórzył, że nie ma nastroju. „Pedał” i „homo” usłyszał w odpowiedzi. Wtedy wstał Billy i powiedział:

– Słuchajcie, jeśli nie chce tego robić, to nie. Dajcie mu spokój.

Joey był za to wdzięczny Billy’emu, ale i tak nie mógł uwierzyć w to, co wyprawiał. Pomyśleć, że wychowywał się z nim, a matka Joey’ego chwaliła jego inteligencję i urodę. Billy i jeszcze kilku innych chłopaków weszło na dziewczynę ponownie – Billy spuścił się i wydał z siebie radosne wycie – po czym wszyscy zaczęli wychodzić. Zanim Billy opuścił pokój, wyjął dziewczynie z ust koszulkę i zapytał, czy chce napić się wody. Nie odpowiedziała. Wyglądała, jakby umarła, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w sufit, ale Joey się uspokoił – ruszała się jej klatka piersiowa, więc przeżyła.

W drodze powrotnej do sklepu nikt za dużo nie mówił. Panująca atmosfera kojarzyła się Joey’emu z klimatem w barze panującym tuż przed zamknięciem, kiedy spici i zmęczeni klienci szukają wygodnego miejsca, by wreszcie odpłynąć.

W nocy Joey czekał w łóżku na dźwięk dzwonka lub telefonu i kogoś z policji, mówiącego: „Proszę jechać z nami na komisariat i odpowiedzieć na kilka pytań”. Co chwila wstawał oddać mocz.

Billy obiecał chłopakom, że Karen nie piśnie słówkiem o tym, co zaszło. Zapewniał, że lubi seks z kilkoma facetami naraz, a walczyła, bo to ją bardziej podnieca, i może nawet zechce to jeszcze kiedyś powtórzyć. Kiedy następnego dnia Joey szedł do pracy, nie wiedział, jak koledzy go potraktują. Ku jego zaskoczeniu, wszyscy zachowywali się jakby nigdy nic. Żartowali jak zwykle i wyśmiewali się z szefa, a Kevin Miller nawet zaprosił Joey’ego na

wypad do miasta razem z kilkoma kumplami w piątek wieczorem – a przecież jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu nazwał Joey’ego pedałem, bo nie chciał brać udziału w zbiorowym gwałcie.

Dni mijały. Billy nie mylił się co do Karen. Nic nie powiedziała policji. Joey domyślał się, że Billy ją postraszył i dziewczyna po prostu się bała. Ale taki zbiorowy gwałt musiał na nią wpłynąć, szczególnie że jest upośledzona. Może obwinia za to siebie samą?

Z czasem Joey zaczął zapominać o zajściu. Billy już nie spotykał się z Karen, więc jaki sens byłby w robieniu teraz czegośkolwiek? Poza tym Joey znakomicie się bawił, uprawiając hazard za pieniądze z kradzieży farby i nic innego nie miało znaczenia. Myśli zaprzętały mu tory wyścigowe, kasyna, konie i blackjack. Nie było miejsca na roztrząsanie czegoś, czego nawet nie zrobił.

Po wyjściu Cantella z więzienia i rozbiciu szajki kradnącej farbę, Joey coraz rzadziej widywał Billy’ego, który był jednym z tych, co pracowali dalej dla Cantella, podczas gdy Joey bywał tu i tam przez kilka lat, w końcu zamieszkał przy Sheepshead Bay, a po ślubie z Maureen przeniósł się na Manhattan. Nadal rozmawiał z Billym przez telefon, szczególnie w sezonie rozgrywek piłki nożnej, kiedy dzwonili do siebie w sobotnie popołudnia, aby podyskutować o obstawionych zakładach. Od innych znajomych, których Joey spotykał na ulicy lub do których dzwonił, dowiedział się, że Billy pije teraz bez opamiętania. Obrywał każdego wieczoru, wszczynając bójkę, i sypiał z dziwkami. Jego matka poznała jakiegoś faceta i wyprowadziła się, w związku z czym Billy miał cały dom na Albany Avenue tylko dla siebie. Hipoteka została już spłacona, więc zostały mu tylko bieżące rachunki. Rzucił robotę dla Cantella i znalazł pracę na pół etatu w sklepie rowerowym. Nie był najszcześliwszym facetem na świecie, ale Joey cieszył się, że przynajmniej nie dochodziły do niego słuchy o upośledzonych dziewczynach.

Co prawda Joey nie rozmawiał z Billym od czasu rozgrywek Super Bowl, a jeszcze przedtem nie widzieli się z rok, ale był przekonany, że dawny kumpel nie odmówi mu pomocy. Joey trzymał jego stronę po tamtym zdarzeniu, więc na pewno Billy wesprze go teraz. Tak już jest między starymi przyjaciółmi.

Joey dzwonił ze stacji metra przy Czternastej. Telefon obudził Billy’ego, który, jak nie omieszkał poinformować, miał niezłe chłanie zeszłej nocy i głowa mu pęka, ale kiedy Joey powiedział, że musi z nim natychmiast pogadać o czymś bardzo ważnym – osobiście – kazał mu niezwłocznie przyjść. Poprosił jedynie, by Joey zatelefonował do niego jeszcze raz, z

budki pod samym domem, bo jest tak wykończony, że może zasnąć i nie usłyszeć dzwonka do drzwi.

Joey wysiadł na stacji metra IRT przy skrzyżowaniu Flatbush i Nostrand. Jak zwykle w tym miejscu powróciły wspomnienia z przeszłości. Życie na Manhattanie tak bardzo różniło się od tego na Brooklynie. Aż dziw, że te dwie dzielnice znajdują się na tej samej planecie. Chociaż zostało tu zaledwie kilka sklepików z czasów jego dzieciństwa, to każdy róg ulicy czy wystawa sklepowa przypominały Joey'emu różne zdarzenia z czasów młodości. Widział siebie brnącego z tatą w śniegu po gazetę lub wracającego ze szkoły do domu w grupie kolegów.

Największą różnicę między teraźniejszością a przeszłością stanowiła liczba czarnych. Za czasów Joey'ego dzielnicę zamieszkiwali niemal wyłącznie biali, a teraz, kiedy szedł Flatbush Avenue, mijały go prawie wyłącznie ciemne twarze. Joey nie miał nic przeciw Murzynom, po prostu tęsknił za dawną atmosferą sąsiedztwa. Przecież i te czarne dzieci, które tu teraz mieszkają, czułyby się dziwnie, gdyby wróciły po latach i zastały samych Koreańczyków lub inną nację.

Ostatnim razem Joey odwiedził swoją dawną dzielnicę osiem lat temu. Oprócz dzieciaków, wystających na każdym rogu i słuchających głośnej muzyki rap, wszystko inne pozostało prawie nie zmienione. Na Avenue J wciąż znajdowała się Pizzeria u Rocco. Joey przypomniał sobie, jak wałęsał się po ulicach z kumplami, pił piwo owinięte w papierową torebkę i grał w bilard lub pokera ze starszymi panami w podrzędnym klubie. Na rogach ulic teraz też kręciły się grupki młodzieży, z tym że czarnej i patrzącej na Joey'ego podejrzliwie spoode łba.

Na Albany Avenue Joey zatrzymał się przed swoim dawnym domem. Był to wąski, dwupiętrowy budynek z tym samym gontem pomalowanym jeszcze przez jego ojca w 1967 roku na brzydki seledynowy kolor. Joey zaczął wspominać ojca, trzymającego w ustach grube cygaro, który ścinał miniaturowy trawnik przed domem zardzewiałą, ręczną kosiarką. Potem ujrzał swoją matkę, wystawiającą głowę z okna i wołającą głośnym, przepalonym od papierosów głosem: „Carminie, czas na obiad!”, a w kolejnej chwili widział już rodziców na oddziale chorób nowotworowych w szpitalu Sloan-Kettering na Manhattanie. W trzy tygodnie po tym, jak u matki stwierdzono raka płuc, u ojca rozpoznano raka wątroby. Przeżył matkę o dwa i pół miesiąca. Joey wysypał prochy ojca na tor Akwedukt. Towarzyszył mu wtedy Billy. Po tej tragedii życie Joey'ego stało się bardzo trudne. W wieku piętnastu lat musiał opuścić swoją dzielnicę i przyjaciół, by zamieszkać z ciotką w Mill Basin.

Czarny chłopak, dziesięciolatek, z podjazdu przy swoim domu przyglądał się

Joey'emu. Nie wiadomo, ile czasu tam stał, ale chyba dosyć długo. Joey zmieszał się, jakby został złapany na gorącym uczynku. Udał się dalej pod dom Billy'ego. Był taki sam, jak rodzinny dom Joey'ego, tyle że został pomalowany na brązowy kolor. Joey pokonał pięć schodków i nacisnął dzwonek. Odwrócił się i zauważył, że czarny chłopiec wyszedł na chodnik i nadal się mu przypatrywał. Billy nie otwierał. Joey przypomniał sobie jego wcześniejszą prośbę. Właśnie schodził, kiedy drzwi się otworzyły. Billy wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Postarzał się chyba o dziesięć lat, stracił większość włosów i przybrał na wadze. Brodę miał długą i brudną, można było znaleźć w niej resztki jedzenia. Nie do wiary, że to on, zblazowany brunet o kręconych włosach, siedział kiedyś w samochodzie przed liceum Midwood otoczony wianuszkami dziewcząt. Teraz stał nagi, owinięty w pasie ręcznikiem i chociaż słońce schowało się za chmurami, on marszczył brwi, jakby promienie wpadały mu prosto w oczy.

– Cześć, Joey – przywitał się, potem jego uwagę zwrócił mały czarny chłopak. – Na co się, kurwa, tak gapisz?! – wrzasnął. – Wynoś się z mojego terenu, zanim nie sięgnę po strzelbę. Myślisz, że żartuję?

Dzieciak odczekał kilka sekund, po czym nie zmieniając wyrazu twarzy, zniknął w swoim domu.

Kędy Joey wszedł do środka, Billy powiedział:

– Cholerne czarnuchy doprowadzają mnie do szału. Są jak karaluchy. Widzisz jednego, a potem bum, masz ich miliony. Co ci się, kurwa, stało?

Joey z początku nie rozumiał, o czym Billy mówi, ale przypomniał sobie o szwach i siniakach na twarzy. Pewnie dlatego czarny chłopak tak na niego zerkał.

– Właśnie o tym chcę z tobą pogadać – zaczął Joey. – Możemy usiąść?

Billy zaprowadził Joey'ego do kuchni. Wyjął całe jedzenie, jakie miał – dwulitrową butelkę pepsi i opakowanie starych chipsów Cheetos. W zlewku leżała sterta naczyń, w rogu walały się śmieci, a całe pomieszczenie cuchnęło skwaśniałym mlekiem. Joey opowiedział, jak zaczął ciągle przegrywać, ale prawie udało mu się na Meadowlands, jednak teraz wykopał pod sobą dołek. Potem przeszedł do sprawy zwolnienia go z pracy oraz długów, z powodu których musiał zwrócić się do lichwiarza z Portoryko, i pobiciu przez osiłki Carlosa. Wydawało się, że Billy w ogóle nie słucha Joey'ego, chociaż co chwila wykrzykiwał: „noo”, „coś ty” oraz „chyba żartujesz”. Rozglądał się po kuchni, a czasami opierał czoło o dłonie i wpatrywał się w stół. Joey nie wiedział, czy zachowuje się tak z powodu kaca, czy też ma to jakiś związek z jego wypadkiem samochodowym. Kiedy Joey skończył swoją opowieść, okazało się, że Billy jednak uważał, bo powiedział:

– Chłopie, zawsze możesz na mnie liczyć. Ale jestem całkiem splukany. Musiałem oddać auto do naprawy, a same światła będą mnie kosztowały lekko jakieś dwieście dolców, a nie mam nawet tyle. A Dominie, szef ze sklepu z rowerami, przebąkuje coś, że nie będzie już mnie potrzebował w następnym miesiącu. Zapomnij więc o dziesięciu tysiącach, czy o jakiegokolwiek innej sumie, której potrzebujesz.

– Wiem, że nie masz tylu pieniędzy – odparł Joey. – I wcale nie chcę ich od ciebie... – Joey przerwał, zastanawiając się, jak ująć to, co zamierza powiedzieć. – Mój pomysł może ci się wydać szalony, ale wiesz przecież, że nie jestem wariatem, no nie? Normalny ze mnie facet i nie gadam od rzeczy.

– Noo – przytaknął Billy, odwracając znowu wzrok.

Joey zaczekał, aż tamten spojrzy na niego, i wtedy oświadczył:

– Chcę kogoś porwać.

Billy popatrzył nieprzytomnym wzrokiem, więc Joey nie był pewien, czy go w ogóle usłyszał. Już chciał powtórzyć swoje słowa, kiedy odezwał się Billy.

– Ty żartujesz, tak?

– Spójrz na tę twarz – odrzekł Joey z powagą. – Czy wyglądam na kogoś, kto teraz żartuje?

– Popierdoliło cię, jak słowo daję.

– Mówię poważnie – nie zrażał się Joey. – Gdybym miał jakieś inne wyjście, to zapewniam cię, skorzystałbym z niego. Ale przemyślałem już wszystkie możliwości, nawet obrabowanie mojego byłego szefa. Niestety, to jedyny sposób na zdobycie forsy. Wiem, nie jest to najzwyczajniejsza rzecz na świecie, ale przynajmniej dzięki temu nie rozwalą mi głowy na ulicy.

– I co, chcesz porwać kogoś z ulicy i zażądać miliona dolarów?

– Nie, to nie jest ktoś obcy. Raczej ktoś, kogo znam, dziewczynka. I nie wiem jeszcze, jak to zrobić ani też ile pieniędzy zażądać. Dopiero dziś rano wpadłem na ten pomysł.

Billy oparł łokcie na stole i zaczął drapać się po łysinie.

– Słuchaj, nieźle się zalałem ostatniej nocy, więc doprawdy nie mam sił na te bzdury.

– Jestem tu tylko z jednego powodu. Potrzebuję cię – powiedział Joey. – Do kogo innego w końcu mógłbym się zwrócić? Ta dziewczynka, którą chcę porwać, to córka koleżanki Maureen. Ma około dziesięciu lat. Zna mnie, dlatego nie mogę zrobić tego sam. Ktoś musi mi pomóc ją złapać, a potem będzie potrzebne miejsce, gdzie można ją przetrzymać, dzień, góra dwa. Cholera, może nawet krócej. Mówię ci, jej rodzice są w niej okropnie zakochani. Zapłacą za nią każdą sumę.

Billy potrząsał wolno głową i uśmiechał się tak, jakby było tu coś do śmiechu. Podeszedł do zlewu, przełożył brudne talerze z wierzchołka sterty na blat, po czym odkręcił wodę i opłukał sobie twarz. Wyprostował się i wytarł dokładnie brudną ścierką kuchenną.

– Kiedy do mnie zadzwoniłeś, domyśliłem się, że chodzi o hazard – powiedział. – Sądziłem, że chcesz jechać do Atlantic City, zagrać w blackjacka i pociupciać, jak za dawnych, dobrych czasów. Ale ty się zjawiasz z pokiereszowaną gębą, opowiadasz jakieś niestworzone historie i na koniec walisz o tym idiotycznym porwaniu. Chyba wrócę do łóżka.

– Ale potrzebujesz pieniędzy, mam rację?

Billy patrzył na Joey'ego z na wpół otwartymi ustami. Jeszcze nigdy, zanim nie uległ wypadkowi, nie miał tak tępego i bezmyślnego wyrazu twarzy, pomyślał sobie Joey.

– No i? – zapytał Billy.

– No i – podchwycił Joey – może to Opatrzność, że zadzwoniłem do ciebie dziś rano. Rozumie się, ty też coś na tym zarobisz. Ten facet, ojciec dziewczynki, jest cholernie nadziany. Robi w reklamie, mieszka na Upper East Side w eleganckim apartamencie pilnowanym przez portiera. Przypuszczam, że ma odłożone na koncie co najmniej kilkaset tysięcy, więc czemu by nie zażądać tylko pięćdziesięciu? Czyli wypada po dwadzieścia pięć na głowę i nawet nie kiwniesz palcem. Potrzywasz tylko dziewczynkę w piwnicy przez dzień, najwyżej dwa.

Billy nadal siedział z otwartymi ustami, a wzrok ułożył mu się w zeza, jakby spoglądał na czubek swojego nosa. Po chwili któraś klepka chyba mu zaskoczyła, bo oczy wróciły na swoje miejsce i Billy wyglądał prawie normalnie.

– Opowiedz mi wszystko od początku. Co to za dziewczynka?

David nigdy nie okrążył rezerwuaru im. Jackie Onassis więcej niż dwa razy, ale dzisiaj postanowił przebiec jeszcze trzecią rundkę, żeby spalić w sobie nadmiar stresu. Na żwirowej ścieżce przyspieszył, z furią wymachując rękoma, aż pięści sięgały mu do skroni. Kluczył między pozostałymi biegającymi, czasami wpadał na ludzi i słyszał wtedy: „uważaj” lub „głupek”. Czuł się lekko, wręcz euforycznie. Odpiął zamek wiatrówki, a zimne powietrze chłodziło mu spoconą klatkę piersiową.

Skupił się na latarni, stojącej jakieś sto metrów przed nim. Blżej, około pięćdziesięciu metrów, biegł bardzo wolnym tempem krępy mężczyzna, ubrany w puchową, zimową kurtkę. David powiedział sobie, że jeśli uda mu się go przegonić przed latarnią, to Amy Lee zostawi go na zawsze w spokoju. Oczywiście, był pewny, że bez najmniejszego wysiłku zdoła pokonać grubasa, i o to chodziło.

Przyspieszył i z każdym krokiem zdawał się zbliżać do przeciwnika. Już po kilkunastu sekundach dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów, a „linia mety” znajdowała się jeszcze pięćdziesiąt metrów dalej. Nagle tamten, jakby domyślił się, że bierze udział w wyścigu, zaczął biec coraz szybciej. David też zaczął przyspieszać, o mały włos nie przewrócił starszej kobiety, która spacerowała w przeciwnym kierunku. Ale tamten był dużo lepszy i pokonał Davida przy latarni o kilka dobrych kroków.

David przyjął to jak wiadomość od samego diabła. Zwolnił, nagle wyczerpany i przerażony widmem rychłej śmierci. Już widział, jak sanitariusze z pogotowia kładą go na noszach, a tłum gapiów wszystkiemu się przygląda. Przystanął i próbował złapać oddech, opierając się dłońmi o ogrodzenie dzielące ścieżkę od rezerwuaru.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej David doświadczył kolejnego „zagrożenia Amy”. Sobotę od rana spędził w pracy, aby nadrobić zaległości. W pustym biurze panował przyjemny spokój i nic go nie rozpraszało. Wrócił do domu około trzeciej po południu. Od wejścia poczuł smród dymu papierosowego. Opary zaprowadziły go do sypialni, gdzie Leslie, obok której leżał talerz pełen niedopałków, siedziała po turecku na łóżku. W palcach trzymała na wpół wypalonego papierosa.

– Co się stało? – zapytał David.

W tym momencie przypomniał sobie, że teść przeszedł w zeszłym roku operację wszczepienia by-passów. Może zmarł?

- Wszystko w porządku – odparła Leslie, wyczuwając zaniepokojenie w głosie męża.
- Po prostu miałam ochotę zapalić sobie. Czy coś w tym złego?
- Przecież ty nie palisz – stwierdził David.
- Leslie wyłączyła pilotem telewizor, a następnie zgasła niedopałek na talerzu.
- Muszę z tobą porozmawiać o czymś, co się dzisiaj wydarzyło.
- Teraz David zastanawiał się, czy palenie Leslie nie jest związane z Amy Lee. Postanowił jednak zachować zimną krew i nie dać po sobie nic poznać.
- Otworzę okno – zaproponował. – Wywietrzę.
- Nie słyszałeś, co powiedziałam? – zniecierpliwiła się Leslie. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać i jest to dla mnie bardzo ważne.
- No, to mów – odparł David, otwierając okno, przez które zaraz wdarł się hałas samochodów i syren. – Nikt ci przecież nie przeszkadza.
- Czy coś jest nie tak?
- Nie tak? – zdziwił się David. – Dlaczego coś miałoby być nie tak?
- Wydajesz się zdenerwowany.
- To ten dym z papierosów – tłumaczył David, starając się, by jego głos nie brzmiał zbyt poważnie. – Wiesz, jaki jestem uczulony. Nie rozumiem, dlaczego zaczęłaś palić. Chcesz umrzeć na raka?
- Czy coś się zdarzyło w pracy?
- Nie. – Prawie to krzyknął. Za mocno pociągnął sznurek rolety, która wyskoczyła z uchwytów. Milczał przez chwilę, próbując się opanować. – To ten dym – powiedział zdecydowanie. – Nienawidzę dymu.
- Pamiętasz, jak ci opowiadałam o tamtej Chince w sklepie Macy’ego?
- Odwrócony wciąż do okna, David zamknął oczy.
- O Chince?
- No, pamiętasz... Tej, która zwierzała mi się ze swoich problemów z chłopakiem.
- David aż skulił się ze strachu.
- Ach, *tej*.
- Nie uwierzysz, ale dzisiaj wpadłam na nią w sklepie Gristede’s.
- Naprawdę?
- Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Z początku nie zastanawiałam się nad tym, ale potem pomyślałam sobie: „W Nowym Jorku? Jakie są na to szanse?” To dało mi do myślenia, szczególnie po tym, kiedy wyznała mi, że zajmuje się parapsychologią i wie o nas wszystko.
- O nas?

– Znała moje imię, chociaż jestem niemal pewna, że jej go nie podałam. Znała też twoje imię. Wyobraź sobie, podobno zdradziła jej to moja aura. Potem opowiadała o tym, ile problemów i napięć przeżywam w swoim życiu i jak ty mnie ranisz. Ukrywasz podobno przede mną jakiś sekret, więc powinnam się z tobą skonfrontować.

David próbował umieścić roletę z powrotem na miejscu, ale znowu ją szarpnął i spadła z hukiem na podłogę.

– Cholera jasna. Nienawidzę tych rzeczy.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– Tak – odparł, wciąż stojąc zwrócony w stronę okna.

– Więc co o tym wszystkim sądzisz? Nie uważasz, że to wszystko jest jakieś dziwne?

– Nie *aż* tak dziwne.

– Jak to? Przecież ta kobieta może być nieźle stuknięta. Bałam się, że zacznie śledzić mnie do domu.

– Wątpię, by to zrobiła.

– Doprawdy? A skąd taka pewność?

– Bo, jak sama mówiłaś, jest prawdopodobnie szalona, to znaczy, wygląda na wariatkę, która zaczepia wszystkich ludzi w supermarketach i sklepach.

– Ale znała nasze imiona. I wyglądało na to, że wie o nas wszystko. Dziwi mnie twój spokój.

David w końcu naprawił roletę. Odwrócił się w stronę Leslie.

– No, nie powinna już spadać. Wiesz co, musimy wymienić te rolety. Jak długo już je tu mamy?

– Wciąż widzę jej oczy – ciągnęła Leslie. – Miała taki nieprzenikniony wzrok. Nawet nie mrugnęła.

– Zapomnij o niej – uspokajał ją David. – Już jej nie ma.

– A to, co wygadywała?

– Oj, wiesz sama dobrze, jak to jest. Wymysły wariatki. Na pewno wiele informacji po prostu zgadła. W końcu David to nie jakieś egzotyczne imię. Gdybyś jej nie przytaknęła, to wymieniałaby inne imiona, na przykład „Bob”, „Jim” albo „Harry” i tak dalej, aż by trafiła na właściwe. A już z pewnością nie jest to powód, usprawiedliwiający nabawienie się przez ciebie raka. I bardzo cię proszę, zrób to dla mnie, jeśli chcesz palić, to tylko na tarasie.

David opuścił sypialnię. Z korytarza oznajmił jeszcze, że schodzi do skrzynki odebrać pocztę. Czekając na windę, oparł się o ścianę, próbując się opanować. Spociał się tak obficie, że czuł zapach własnego potu. I tak wybrnął z tej sytuacji całkiem nieźle. Ale jeśli Leslie

tylko udawała, że nic nie wie o jego romansie, i chciała zmusić go do przyznania się?

Na dole portier powiedział coś do Davida, który był tak pogrążony w swoich myślach, że poprosił go o powtórzenie.

– Jest tu u nas list dla pańskiej żony.

– List?

Portier, młody, czarny chłopak, który pracował tu tylko w weekendy, trzymał gładką, białą kopertę. Czarnym pisakiem widniało wypisane imię LESLIE.

– Kto go podrzucił?

– Jakaś kobieta.

– Kiedy?

– No, pół godziny temu.

– Jak wyglądała?

– Taka szczupła Chinka.

David schował się na końcu korytarza, z dala od wind, i otworzył kopertę. W środku znajdowała się zwykła kartka wyrwana niedbale z notesu. Przeczytał notatkę kilka razy, mimo że jej treść nie była wcale skomplikowana.

NIEŻLE PIEPRZYŁAM SIĘ Z TWOIM MĘŻEM
POZDRAWIAM, TWOJA ULUBIONA PANI PSYCHOTRONIK

David stał tak w kącie, próbując opanować kolejny atak paniki. Nie rozumiał, co złego uczynił, by zasłużyć sobie na takie tortury. Nie, nie ma sensu brnąć w to dalej. W końcu Leslie się dowie, więc lepiej, by wyszło to bezpośrednio od niego. Podarł kartkę na drobne kawałeczki i wcisnął je do tylnej kieszeni. Wyzna Leslie całą prawdę. To, co się potem wydarzy, i tak będzie lepsze od tego, co się dzieje w tej chwili.

Kiedy wszedł do mieszkania, Leslie nalewała sobie dietetyczną lemoniadę.

– Muszę z tobą porozmawiać. O bardzo ważnej sprawie – oznajmił.

– O czym?

Gdzieś między głową a ustami odwaga opuściła Davida. Przypomniawszy sobie, jaki był załamany, kiedy mając dwanaście lat, dowiedział się o rozwodzie rodziców. Na dziesięcioletnią Jessicę wpłynęło to jeszcze gorzej. Szaleństwem by było niszczyć jej szczęście.

– Kocham cię – powiedział poważnie.

Leslie z początku wydawała się zaskoczona, po chwili uśmiechnęła się.

– Ja też cię kocham...

David, Leslie i Jessica planowali już wcześniej zostać cały wieczór w domu i obejrzieć film na wideo. Zazwyczaj David szedł sam do wypożyczalni na Drugiej Alei, ale dzisiaj nalegał, by wybrała się cała rodzina. Co prawda nie wiedział, co zrobi, jeśli Amy podejdzie do nich na ulicy, ale obawiał się, że gdy tylko opuści mieszkanie, Amy natychmiast tam się zjawi.

Kiedy wrócili, w domu dzwonił telefon. David rzucił się odebrać, ale ktoś już odłożył słuchawkę. Pomyślawszy chwilę, David ruszył do gabinetu i na automatycznej sekretarce zobaczył na wyświetlaczu trzy wiadomości. Powiedział Leslie, że musi wykonać ważny telefon do klienta. Odegrał wszystko przy ściszonej głośności. Pierwsza wiadomość brzmiała: „Cześć, David. Zadzwoń do mnie.” Na drugiej już bardziej seksowny głos mówił: „Cześć, David. Leżę na łóżku i myślę o tobie. Tęsknię za tobą. Zadzwoń.” Na trzeciej Amy śpiewała: *I just called to say I love you...*, a potem: „Proszę, David, zadzwoń do mnie.”

Ciężko dysząc, David połączył się z biurem numerów i zapytał o telefon Amy. Zastrzeżony. Zmartwił się, ale po chwili zaczął szybko działać. Skorzystał z usługi, dzięki której mógł wybrać ostatnio dzwoniący do niego numer. Amy odebrała po trzecim sygnale. Szeptem zaczął jej wyjaśniać, że bardzo mu na niej zależy, ale nie powinni budować życia razem, niszcząc jego rodzinę. Zamierza rzucić Leslie, ale nie może zrobić tego nagle. Prosił, by Amy dała mu spokój przez kolejny tydzień. Odparła, że czeka już wystarczająco długo i ma dość jego kłamstw. Jeśli David nie wyzna od razu Leslie, że kocha inną kobietę, wówczas Amy sama się do niej wybierze i wszystko wyjawia. David usłyszał pukanie do drzwi gabinetu. Jessica pytała, kiedy skończy rozmawiać. Obiecał przyjść za minutę. I znowu przyciszonym głosem błagał Amy o danie mu czasu do poniedziałku wieczorem. Zapewnił ją o swoim gorącym uczuciu i zaznaczył, że jeśli ona też go kocha, to powinna mu dać chwilę na oddech. To chyba do niej przemówiło. Po długim milczeniu obiecała nie niepokoić go do poniedziałku, ale dłużej już czekać nie będzie. Następnie powiedziała, że bardzo za nim tęskni i życzyła mu dobrej nocy.

David widział z całego filmu – ostatniej komedii Disneya – może jedną lub dwie sceny. Podczas gdy Jessica i Leslie oglądały z przejęciem, zajadając mrożony jogurt, on obmyślał, co zrobi po poniedziałku. Zdołał jedynie zyskać trochę na czasie – raptem dwa dni – ale problem bynajmniej nie został rozwiązany. Jeśli już, to sprawy mają się jeszcze gorzej. Przeklinał sam siebie za opowiadanie Amy o swoim „gorącym uczuciu” do niej. A jeśli nagrywała rozmowę i odtworzy ją wraz z poprzednią? Spojrzał na Jessicę, siedzącą po turecku przed telewizorem i uświadomił sobie, jak wiele ma do stracenia.

W połowie filmu Leslie włączyła pauzę i powiedziała, że musi iść do łazienki.

- Mama jest chora – stwierdziła po chwili Jessica.
- Chora? – powtórzył David, myślami błądząc gdzie indziej.
- Wymiotuje od tygodnia. Niby wirus żołądkowy, ale wcale w to nie wierzę.
- Dlaczego?
- Bo dolega jej co innego.

Leslie wróciła po kilku minutach. David zapytał, czy wszystko w porządku.

- Oczywiście – odparła. – Dlaczego miałyby być inaczej?

Teraz David był przekonany – Leslie o wszystkim już wie. Nawet jeśli nie świadomie, to podpowiadała jej to podświadomość. Stąd jej kłopoty z żołądkiem.

Kiedy Leslie ubierała się w koszulę nocną, zauważył, że uda jej wyszczuplały, a brzuch stał się bardziej płaski. Schudła jakieś pięć kilo. Może więc ten wirus żołądkowy nie jest aż taki zły...?

- Och, co ty robisz?

Ale David nie przerywał całowania jej po szyi i szczypania zębami.

Już po wszystkim, kiedy leżeli obok siebie w ciemności, Leslie zapytała go, o czym tak myśli.

A więc to pewne – Leslie wie.

David postanowił, że Amy nie zepsuje mu niedzieli. Wrócił z biegania po południu i zastał Leslie zajętą szykowaniem jedzenia. Chciała zostać w domu i ugotować odświętny obiad. David zabrał Jessicę do muzeum przyrodniczego. Wyrosła już z obsesji dinozaurów i zafascynowała ją wystawa dotycząca ekosystemu. Wiedziała na temat globalnego ocieplenia chyba więcej niż niejeden meteorolog. Jessica wymarzyła sobie zawód „pani od pogody” na Kanale Dwa.

David był wyjątkowo dumny z córki. Fakt, zawsze pragnął syna i nie ukrywał rozczarowania, kiedy badanie USG wykazało, że będą mieli dziewczynkę, jednak pokochał Jessicę do tego stopnia, iż nie chciał już więcej dzieci. Leslie zgodziła się z nim i krótko po narodzinach córeczki poddała się zabiegowi podwiązania jajowodów.

Jessica oprowadzała tatę po muzeum jak po własnym pałacu. Następnie na Alei Kolumba zjedli pizzę, a resztę popołudnia spędzili w Planetarium Haydena. Do domu wrócili około piątej. Ten dzień spędzili razem tak miło, że David zapomniał o poniedziałku i w ogóle o istnieniu Amy Lee.

W domu Leslie pomagała Jessice w odrabianiu lekcji, a David próbował dokończyć

zadanie, nad którym pracował od jakiegoś czasu. Pewien włoski wytwórca biżuterii, który wcześniej reklamował się wyłącznie w prasie, teraz chciał mieć kampanię reklamową w telewizji. David przygotowywał dla niego ofertę w oparciu o zebrane przez siebie dane demograficzne oraz sugerowany budżet. Projekt miał szansę stać się wielomilionowym kontraktem, jednak David z trudem się nad nim skupiał. Nie mógł znaleźć sobie miejsca na obrotowym krześle i co chwila cofał tekst, aby przeczytać ponownie to, co napisał.

Kiedy wszedł do sypialni, Leslie jeszcze nie spała i przeglądała magazyn *Allure*. Powiedziała, że nie czuje się najlepiej, więc raczej nie będzie się kochać, co Davidowi było na rękę. Nie mógł zasnąć, więc wstał i włączył telewizor w pokoju gościnnym. Wreszcie reklama nowego przyrządu do ćwiczeń brzucha go uspiła. Miał wrażenie, że spał zaledwie kilka minut, ale kiedy się obudził, przez rolety wpadały już jasne promienie słońca. Czuł się jak w dniu swojej egzekucji. Z osłabienia nie mógł się nawet ruszyć, a mimo to serce waliło mu jak po wypiciu kilku filiżanek kawy.

Poza tym w domu panowała typowa w poniedziałkowy rano krzątanina. Leslie wyprawiała Jessicę do szkoły, a na Davida czekał już dzbanek z kawą. Ubrana do wyjścia, w futro z norek, Leslie weszła jeszcze do kuchni i powiedziała:

– Spadnie dzisiaj sporo śniegu.

– Ile?

– Trzydzieści centymetrów, tak mówią. Zależy od sztormu na wybrzeżu.

– Na pewno panikują. Ci w pogodzie zawsze wygadują bzdury.

Głowa Davida pracowała jak automat, kiedy prowadził tę banalną rozmowę na temat zapowiadanej burzy śnieżnej. Poczł się całkiem zbędny. Inny ktoś czy nawet robot z powodzeniem zająłby tu i teraz jego miejsce i wypełnił rolę męża oraz ojca.

Za to Jessica miała świetny nastrój, podniecona nadchodzącą śnieżycą.

– Widziałam zdjęcia satelitarne w telewizji. Burza dotrze do wybrzeża. To będzie największa nawałnica w historii Nowego Jorku!

– Tak sądzisz? – zapytał David z udawanym zainteresowaniem.

– Tak – odparła Jessica z przekonaniem. – Powinam pracować w telewizji przy prognozie pogody.

– Którego dnia będziesz, kochanie – zapewnił ją David.

Kiedy Jessica wychodziła do szkoły, Davida ogarnęło nagłe uczucie straty, jakby miał widzieć ją po raz ostatni. Całując ją w czubek głowy i przytulając na pożegnanie, starał się zapamiętać swoją córkę, bo nigdy nie będzie już taka sama. Następnie cmoknął Leslie na pożegnanie, błagając ją w duchu, by mu kiedyś wybaczyła.

Jak zwykle David udał się do pracy taksówką. Kiedy wysiadał przed swoim biurem, pojawiły się już pierwsze płatki śniegu. Spoglądając w górę, modlił się o cud dla siebie.

Spodziewał się czekającej na niego Amy. O dziwo, nie zastał jej, ale to żaden powód do radości. Znając ją, z pewnością odwleka swe pojawienie się, by go maksymalnie zestresować. Próbował pracować nad swoją prezentacją, ale niespokojne myśli nie pozwalały mu się skupić. Zrobił sobie przerwę i wmasował w głowę kolejną dawkę środka na porost włosów, chociaż kuracja nie przyniosła widocznego rezultatu. Gen łysienia przeszedł z matki, a dwóch wujków z jej strony było łysych jak kolano, podobnie jak jego dziadek. David wyobraził sobie siebie bez włosów i samotnego, mieszkającego w podłej ruderze. Ciekawe, czy Jessica będzie chciała spędzać z nim przynajmniej weekendy.

W czasie porannego spotkania zespołu David nadal rozmyślał o niepewnej przyszłości. Kilka osób zapytało go, czy czuje się dobrze. Odpowiedział coś wymijająco. Domyślał się, że jego zachowanie budzi ogólne zdziwienie, ale nic go to nie obchodziło.

Okolo południa do biura wszedł Eric ze swoimi rewelacjami.

– Nawałnica? – zapytał David. – Jaka nawałnica?

Obrócił się na krzesło i odsłonił spuszczone żaluzje. Na zewnątrz panowała absolutna biel, ledwie mógł dostrzec Drugą Aleję.

– Mówią, że to jeszcze nie ta właściwa burza – powiedział Eric. – Tak naprawdę zacznie się dziś po południu albo wieczorem.

– Moja córka jest geniuszem – stwierdził David.

– Twoja córka?

– Przewidziała taką ogromną nawałnicę.

– Cały weekend wszystkie prognozy pogody ostrzegały przed tą burzą – rzekł Eric.

– Chcesz powiedzieć, że moja córka nie jest genialna?

– No, ja...

– Nawet jej nie poznałeś – rzucił ze złością. – To najzdolniejsza uczennica w szkole. Jest też pewnie mądrzejsza od połowy ludzi w tej agencji.

– Tak, tak, oczywiście – szybko zgodził się Eric. – No cóż, miło się z tobą gadało.

– Poczekaj, przepraszam cię – David próbował zatrzymać kolegę. – Nie odchodź.

Eric stanął przy drzwiach i się odwrócił.

– Jestem chyba dzisiaj trochę nieprzyjemny, co? – przyznał się David.

– Trochę? – odpowiedział Eric. – Ludzie martwią się o ciebie, bracie. Niech no zgadnę. Czyżby to miało związek z Amy Lee?

– Zamknij może te drzwi na klucz...

Eric przekręcił zamek w drzwiach. David kazał mu usiąść.

– Prześladowuje mnie i Leslie jak jasna cholera.

– Leslie wie?

– Chyba coś przeczuwa. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy będzie wiedziała na pewno.

David opowiedział Ericowi o wszystkim, co się wydarzyło w weekend, i o ultimatum Amy. Kilka razy Eric się wtrącił, ale większość czasu siedział cicho i od czasu do czasu kręcił głową. Kiedy David skończył, Eric stwierdził:

– To jakieś wariactwo, stary. Musisz coś z tym zrobić.

– Ale co?

– Też ją nastrasza. Powiedz, że pokażesz zdjęcia i liściki, które pisała, a wtedy zostanie wyrzucona z pracy.

– To ją jeszcze bardziej rozwścieczy. Poza tym zignoruje moje groźby, bo doskonale wie, że za nic na świecie nie chcę, by Leslie dowiedziała się o naszym romansie.

– A gdybyś to ty nagrał swoją kasetę... jak Amy cię szantażuje. Możesz odtworzyć ją i wtedy Leslie cię zrozumie.

– Ale co ma zrozumieć? W jaki sposób mam miło poinformować żonę o swoich zdradach? Co, mam powiedzieć: „Ależ ona próbowała mnie szantażować, więc co, wybaczysz mi teraz, kochanie?” No, to na pewno pójdzie mi gładko...

– Więc co zamierzasz?

– A niech robi, co się jej żywnie podoba. Chce wysyłać Leslie liściki, dzwonić do niej, śledzić ją w sklepach, proszę bardzo. Ale więcej już nie zniosę jej wygłupów.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z atmosfery w domu, jaka wówczas zapanuje?

– Zasluguję na to – odparł David. – Znalazłem się w tym położeniu z własnej winy.

– Wiesz co, to bez sensu – zaprotestował Eric. – Nie masz wpływu na ludzi. Skąd mogłeś wiedzieć, że jest taka szalona?

– Mogłem to skończyć wcześniej, zanim wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

– Łatwo mówić to teraz.

– Nie – David potrząsnął przecząco głową. – Sam dopuściłem do tej sytuacji. Nie mówiłem ci o tym wtedy, ale opowiadałem jej rzeczy, które mogła opacznie zrozumieć.

– Jakie rzeczy?

– Wiele. Co za różnica? Chodzi o to, że muszę teraz wziąć na siebie odpowiedzialność. Byłem kiepskim mężem i kiepskim ojcem, pora za to zapłacić.

– Cóż, jeśli potrzebujesz wsparcia dziś wieczorem, to mogę przyjść albo spotkamy się we czwórkę na kolacji. Zadzwoń do Debbie i dowiem się, co dzisiaj robi...

– Dziękuję ci – przerwał mu David. – Ale dam sobie radę.

Co za brednie, pomyślał po wyjściu Erica. Zdecydowanie nie da sobie sam rady dziś wieczorem, kiedy Leslie o wszystkim się dowie. Przed oczami przebiegła mu cała scena – Leslie krzyczy i przeklina, a Jessica stoi i patrzy. Wyrzucony z domu, nie miałby dokąd pójść. Musiałby pewnie przenieść się do matki i ojczyma na Long Island, do swojego starego pokoju ze ścianami oblepionymi dziecinnymi naklejkami oraz plakatami idoli z lat szczenięcych.

Przez całe popołudnie David nie odbierał telefonu, który około trzeciej zaczął co chwila dzwonić. Domyślał się, że to Amy, by dowiedzieć się, czy już powiedział o nich Leslie. Ale jeśli chce z nim rozmawiać, niech przyjdzie tu osobiście. Nawet nie odegrał wiadomości na sekretarce, bo sama myśl o usłyszeniu jej głosu przyprawiała go o mdłości.

Za dziesięć piąta. Jeśli Amy chciała zjawić się w jego biurze, to co ją tak długo wstrzymuje? Padał coraz gęstszy śnieg. Może postanowiła nie przychodzić dziś do pracy? A może nagle jej się odmieniło – obudziła się i sama doszła do wniosku, że zaczyna wariować...

Większość pracowników wyszła wcześniej z powodu nawałnicy. Zakładając zimowy płaszcz i rękawiczki, David uświadomił sobie, jak niezwykle panuje cisza. Przeważnie słyszał telefony, rozmowy ludzi, hałas aut i syren na zewnątrz. A teraz nie dochodził tu prawie żaden dźwięk.

Kiedy otworzył drzwi biura, ukazała się Amy ubrana w czarny wełniany płaszcz i dopasowany do niego kapelusz. Zapytała:

– Jesteś już gotów spędzić ze mną resztę życia?

11

Leslie nie wierzyła własnym oczom – waży tylko pięćdziesiąt pięć kilo. Jeśli waga się nie zepsuła, to oznacza, że w ciągu dwóch dni straciła półtora kilo. Tymczasem w jej mniemaniu przybrała ze trzy. Przyglądając się sobie w lustrze, widziała ocierające się o siebie uda i fałdy na pupie. A przecież patrzy w lustro „wyszczuplające”, więc w rzeczywistości jest jeszcze grubsza i odpychająca.

Czuła, jak krakersy, które chwilę wcześniej połknęła, cofają się jej do przełyku. Pobiegnęła do łazienki. Klęczała nad muszlą, kiedy do drzwi zapukała Jessica, mówiąc: „Mamo, spóźnię się do szkoły”.

Leslie przełamała się i wstrzymała zwracanie. Nie było to łatwe. Zamknęła oczy i ścisnęła usta, starając się powstrzymać odruch wymiotny. Krakersy powróciły do żołądka, ale Leslie wcale się z tego powodu nie ucieszyła. Pewnie przytyje od nich kilogram, a waga *musi* wskazywać co najmniej trzy kilogramy mniej. W takim razie zrezygnuje z lunchu, a na obiad zje sałatę bez sosu.

Potem, kiedy obmacywała swoje biodra i pas, przypomniała sobie doktora Sloana, psychiatrę, do którego skierowali ją rodzice, gdy miała szesnaście lat. Powiedział jej, że obsesje związane z jedzeniem i wagą stanowią często odbicie innych problemów w domu. Połączył jej nastoletnią anoreksję z neurozą matki, która przeżyła Holocaust. Leslie nie bardzo wierzyła wtedy w jego słowa, ale w tej chwili zastanawiała się, czy jej kłopoty nie mają jakiegoś związku z Davidem.

Seks ostatniej nocy bardziej kojarzył się jej z gwałtem niż przyjemnością. Oczywiście, obwiniała za to samą siebie. Jest oziębła, neurotyczna, może nawet ma skryte skłonności lesbijskie. Ale teraz dość już tego, postanowiła. To David ostatnio zachowuje się dziwnie, błądzi gdzieś myślami i nie okazał jej zrozumienia ani wsparcia, kiedy opowiadała mu o prześladowanej ją kobiecie. Leslie tak zezłościły te myśli, że z hukiem zamknęła klapę, a spłuczki o mało nie zepsuła, tak mocno ją szarpnęła.

Patrząc na spływającą wodę, zastanawiała się, czy David może mieć romans. To wyjaśniałoby jego późne powroty z biura, niechęć do seksu, ciągłe zamyślenie. Jednak z drugiej strony, tak kiepsko kłamie, że Leslie wcześniej czy później by go wybadła.

Kiedy odprowadzała Jessicę do szkoły, zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu.

– Zaczyna się nawałnica – zauważyła Jessica. – A po południu już tu nadciągnie.

Leslie słuchała w roztargnieniu, pochłonięta myślą, że ta Chinka ją śledzi.

– Chodź szybciej, kochanie – ponagliła córkę. – Nie chcesz przecież się spóźnić.

Po drodze Leslie zapaliła też papierosa.

To ona, ta blondyna z papierosem – zwrócił się Joey do Billy'ego. – Dziewczynka ma na imię Jessica.

Siedzieli w lesabre Billy'ego, jadąc wolno Wschodnią Siedemdziesiątą Siódmą. Joey zsunął się z siedzenia, spoglądając ukradkiem zza deski rozdzielczej.

– Niezła – skomentował Billy.

– Uwierz mi, nie jest w twoim typie – powiedział Joey. – To taka bogata paniusia z Upper East Side. Nawet nie pracuje. Chodzi tylko na zakupy i cały dzień siedzi na tyłku. Poza tym, co ważniejsze, musisz wykombinować, jak wciągnąć tę małą do samochodu. Zrób to szybko, ale na spokojnie. Dobrze, że dzisiaj pada śnieg, więc może wypuszczą dzieciaki wcześniej ze szkoły. Jeśli nie uda ci się dzisiaj, nie przejmuj się, zawsze jest jutro. Nie rób tylko głupstw i nie daj się złapać. Słuchasz mnie?

Billy gapił się przez szybę.

– Taka bogata paniusia z Upper East Side – powtórzył.

– Ty, przekazuję ci instrukcje. Wysłi się i skoncentruj, bo nie możemy niczego spieprzyć. Skupiasz się? Mów, gdzie zaparkujesz?

– Przed szkołą.

– Nie, już ci tłumaczyłem, masz stać z tyłu, przy tamtym hydrancie. Jeśli gliny każą ci odjechać, objeżdż przecznicę, wróć i znajdź miejsce gdzieś w pobliżu. Kiedy zobaczysz, że mała wychodzi, podejdź do niej od strony podjazdu i pamiętaj, żebyś miał przygotowaną kominiarkę. Powiesz, że mama kazała ci ją odebrać, a ty pracujesz w serwisie samochodowym. Ta dziewczynka jest bystra, więc prawdopodobnie ci nie uwierzy od razu, dlatego musisz być bardzo przekonujący. Zaczynj wymieniać imiona. Matka ma na imię Leslie, pamiętaj, a ojciec David. Leslie i David Sussmanowie...

– Ma ładny tyłeczek.

Leslie zegnała się z córką przed szkołą. Joey nie wiedział, czy Billy patrzy na Leslie, czy na Jessicę.

– Przestań błaznować – zdenerwował się Joey. – Nie możesz tego spieprzyć, więc lepiej postaraj się, żeby wszystko grało. Musisz jej wyjaśnić, dlaczego mama kazała ją odebrać. Tata miał wypadek i jest w szpitalu.

– Nie pieprz mi tu, co mam robić.

Billy przypominał pacjenta zakładu psychiatrycznego, podobnego do tych wszystkich

psycholi, których Joey widywał na torach wyścigowych i na OTB.

– Dobra, dobra, tylko spokojnie.

– No, to skończ już – warknął Billy. – Po prostu skończ. Nie traktuj mnie jak jakiegoś cholernego dwulatka!

Billy, ciężko dysząc, oparł czoło o kierownicę. Joey pozwolił mu odpocząć parę sekund, potem powiedział:

– Czego tak, kurwa, wrzeszczysz? Chcesz, żeby ludzie zaczęli się gapić i zobaczyli cię w takim stanie? Wtedy, jak tylko usłyszą o porwaniu małej dziewczynki, powiedzą: „Pamiętam, widziałem jednego faceta koło szkoły w błękitnym lesabre.” Masz szczęście, że nikt jeszcze nie spisał twojego numeru rejestracyjnego z tablicy.

Billy wciąż opierał czoło o kierownicę.

– Wybacz, stary – odparł. – W porządku już? Chyba mi, do cholery, wybaczysz...

– Może powinniśmy jechać do domu? – stwierdził Joey. – I poczekać do jutra.

– Nie pierdol – rzucił Billy, znów pełen energii. – Wstałem dziś o szóstej, żeby cię zabrać. Nie zamierzam wstawać jutro o szóstej. Ani myślę, kurwa. Robimy to dzisiaj albo w ogóle.

Patrząc w przekrwione oczy Billy’ego, na napięte żyły na jego skroniach, Joey zaczął wątpić, czy ten pomysł z porwaniem jest aż tak dobry.

Leslie otworzyła drzwi mieszkania i usłyszała dzwoniący telefon. Była pewna, że to Amy, której udało się jakimś cudem zdobyć numer telefonu i od niedawna zameczała Leslie kolejnymi niesamowitymi przepowiedniami. Leslie już chciała pozwolić włączyć się automatycznej sekretarce, ale ostatecznie zdecydowała, że nie pozwoli pierwszej lepszej obcej kobiecie wtrącać się w jej życie, więc po trzecim sygnale podniosła słuchawkę.

– Halo, Leslie?

To była Maureen. Leslie odetchnęła z ulgą i powiedziała:

– Właśnie weszłam.

– I tak nie mogę długo rozmawiać, jestem w pracy, ale posłuchaj. Skorzystałam z twojej rady.

Leslie nie miała pojęcia, o czym Maureen mówi.

– Rady?

– Pamiętasz, tamtego wieczoru radziłaś mi, żebym uśmiechnęła się do jakiegoś przystojniaczka. No, więc zrobiłam to. Na pogotowiu w szpitalu św. Wincentego. Joey został

napadnięty...

– Napadnięty?

– Nic takiego. To się stało akurat po powrocie od was. Wynosił śmieci i jakiś bezdomny go zaatakował.

– O mój Boże.

– Trzeba było założyć mu szwy, ale już czuje się dobrze. W każdym razie, siedzę w poczekalni, czekam na Joey’ego i wtedy widzę tego faceta naprzeciw mnie. Wysoki blondyn, bardzo przystojny. Już chciałam go zignorować, ale przypomniałam sobie twoje słowa i stwierdziłam: „Czemu nie?” Więc uśmiechnęłam się. Z początku wydał się nieco zaskoczony i poczułam się jak idiotka. Ale on po chwili też się uśmiechnął. A potem, nie uwierzysz, co się stało. Wstał i usiadł tuż obok mnie. Zanim się zorientowałam, prowadziliśmy rozmowę. A był taki przystojny, mówię ci. Blond włosy i oczy jak Paul Newman. Powiedział mi, że czeka na brata, który dostał ataku astmy, a potem zapytał, na kogo ja czekam. Znasz mnie, nigdy nie kłamię, ale tym razem nawet się nie zająknęłam. Na szczęście nie miałam obrączki, więc odparłam, że na wujka Joey’ego – Maureen roześmiała się. – No, więc tak sobie rozmawiamy. Opowiedział mi wszystko o sobie. Pracuje w dziale sprzedaży, w firmie produkującej dywany. Wtedy wyszedł jego brat i już mają wychodzić, kiedy ten facet, ma na imię Pete, pyta mnie, czy nie zjem z nim lunchu w poniedziałek. Nie wierzyłam własnym uszom. Mówiłam sobie: „Czy zawsze jest tak łatwo? Dlaczego nie uśmiechałam się do fantastycznych facetów, kiedy byłam wolna?” No, w każdym razie mam dzisiaj randkę po południu. Jak sądzisz? Oszalałam czy nie?

– Słucham? – zapytała Leslie, myślami zupełnie nieobecna.

– No, umawiając się z tym gościem – ciągnęła Maureen. – Głupio robię czy nie? To znaczy, wiem, że to szalone, ale czy powinnam zobaczyć, jak to jest?

– Pewnie – odparła Leslie, czując nagłe wyczerpanie. – Zaslugujesz na szczęście.

– Muszę ci coś wyznać – ciągnęła Maureen. – Jestem taka tym podniecona, że nie spałam od dwóch dni i nawet nie zauważam Joey’ego. To takie okropne, a równocześnie takie wspaniałe uczucie.

– Bardzo się cieszę twoją radością – odparła Leslie. – Ale dopiero co weszłam...

– Och, ja też muszę już kończyć, nadchodzi szef. Chciałam ci tylko podziękować. Miałaś absolutnie rację co do wszystkiego. Gdybym była mądrzejsza, już dawno bym cię posłuchała.

Dwadzieścia minut później, po zjedzeniu dwóch tostów i czterech łyżeczek serka farmerskiego na śniadanie, Leslie ciągle coś gryzła. Nie miała pojęcia, co. W końcu

zrozumiała: wiąże się to z telefonem od Maureen. Odmiana w jej beznadziejnym życiu niby cieszyła Leslie, ale niekoniecznie pragnęła aż takiego szczęścia, bo zawsze mogła liczyć na wieczne kłopoty przyjaciółki. Nawet jeśli w życiu Leslie działo się fatalnie, to Maureen i tak zawsze wciąż była o krok dalej. A teraz nagle ich stosunki nabrały innego wymiaru i Leslie nie była pewna, czy jest to powód do świętowania.

Kolejne godziny spędziła, leżąc na kanapie i oglądając seriale. Co chwila przerywano je relacjami na temat burzy śnieżnej. W jednym z seriali jej ulubiona postać właśnie przechodziła operację transplantacji serca i Leslie tak się zaangażowała w treść, że nie wyglądała w ogóle przez okno. Kiedy film się skończył, spiker wszedł na antenę i poinformował o wprowadzeniu w Nowym Jorku stanu pogotowia. Leslie spojrzała na szalejącą biel na zewnątrz i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Jessica może wcześniej wyjść dzisiaj ze szkoły.

Zazwyczaj lekcje kończyła o trzeciej, a teraz dochodziła druga. Leslie, tknięta przecuciem, zadzwoniła do szkoły. Sekretarka potwierdziła jej domysły.

– Jak to? Dlaczego nikt mnie nie poinformował?

Kobieta wyjaśniła ze zdziwieniem, że dzwonili do wszystkich rodziców i ich zawiadamiali. Leslie przypomniała sobie, że oglądając telewizję, pozwoliła włączyć się automatycznej sekretarce.

– Więc gdzie jest teraz moja córka?

– Powinna być w szkole i czekać na panią. Dzieci zostały wypuszczone jakąś godzinę temu.

W tym momencie Leslie zaczęła się strasznie denerwować. Niepodobne było do Jessiki, by się wlokła spacerkiem do domu.

Leslie biegła do szkoły tak szybko, jak tylko pozwalał jej na to śliski, pokryty śniegiem chodnik. Nie przebrała butów ani nie założyła rękawiczek. Po dziesięciu minutach prawie nie czuła palców u rąk i nóg. Jessiki nie było przed szkołą ani przy wyjściu, więc Leslie wpadła do środka, by jej poszukać. Panowała cisza i pustka. Leslie skierowała się do gabinetu dyrektora, gdzie z ulgą zobaczyła panią Johnson, młodą czarną kobietę, z którą zaprzyjaźniła się po kilku zebraniach z rodzicami.

– Owszem, widziałam Jessicę, jakieś czterdzieści pięć minut temu. Powiedziała, że może bez problemu wracać sama. A co? Nie wróciła?

– Nie, i szczerze mówiąc, zaczynam się martwić.

– Och, bez obawy. Dzieci tak się cieszyły, że zostały zwolnione. Na pewno bawi się śnieżkami albo jest w drodze powrotnej...

Leslie, ślizgając się i potykając, wróciła. Kiedy szła Drugą Aleją, coraz gęstszy śnieg padał jej prosto w oczy. Wydawało się jej, że bnie w tym śniegu i zimnie cały dzień. Portier nie widział Jessiki. Leslie starała się zachować spokój. Wmawiała sobie, że pani Johnson miała rację – Jessica po prostu dobrze się bawi. Jednak nie mogła pozbyć się przecucia, że stało się coś strasznego. Przypomniała sobie wbity w siebie beznamiętny wzrok Amy, kiedy spotkała ją w supermarkecie.

Musi wziąć się w garść, bo zaczyna za dużo myśleć. To, że jakaś kobieta ją prześladowuje, nie oznacza zaraz, że porwała jej córkę. Leslie poszła z powrotem do szkoły, pewna czekającej na nią Jessiki. Ale nie było jej i, co gorsza, zastała drzwi szkoły zamknięte na klucz. Czym prędzej udała się do budki telefonicznej i zadzwoniła do Davida. Włączyła się automatyczna sekretarka, więc zostawiła mu wiadomość, prosząc o telefon. W domu portier znowu powiedział, że nie widział Jessiki. Było już dziesięć po czwartej. Żadnych wiadomości na sekretarce, a kiedy Leslie zadzwoniła do Davida, znów odezwała się maszyna. Leslie była tak oszołomiona, że nawet nie wpadła na myśl, by wybrać inny numer w dziale Davida i poprosić go do telefonu.

Przeszła do szkoły i z powrotem jeszcze raz. Musi być na to jakieś rozsądne wytłumaczenie – Jessica jest u koleżanki i ogląda telewizję, na pewno nic się nie stało.

Leslie obdzwoniła więc wszystkie koleżanki, ale żadna nic nie wiedziała. Dwie godziny później, kiedy zrobiło się ciemno, a nawałnica osiągnęła swój szczyt, Leslie powiadomiła policję.

O czym tak myślisz?

David patrzył przez okno na szalejącą śnieżycę, przesłaniającą budynki na Piątej Alei.

– O niczym – rzucił.

– Nie musisz się mnie wstydzić.

A więc siedzi w taksówce obok Amy Lee. W biurze powiedział jej, że jego małżeństwo się rozpadło i jest gotów spędzić z nią resztę życia. Uświadomił sobie, jakim jest mięczakiem i idiotą, ale stchórzył, kiedy wspomniał obejmującą go na pożegnanie Jessicę. Nie wyobrażał sobie siebie w roli weekendowego tatusia, a już w ogóle sytuacji, kiedy Jessica nie chciałaby go więcej widzieć.

W czasie jazdy Amy kilkakrotnie ujmowała dłoń Davida. Za każdym razem pozwalał jej trzymać ją przez chwilę, po czym uwalniał się z uścisku. W pewnym momencie Amy położyła też rękę na lewym udzie Davida. Miał wtedy wrażenie, że za nogę chwycił go ostry skurcz.

Jedynym sposobem zakończenia tej paranoi będzie zaoferowanie Amy pieniędzy, wyliczył David. Na koncie w Citibanku, do którego Leslie nie miała dostępu, odłożył dwanaście tysięcy dolarów. Zacznie od pięciu tysięcy, potem zaproponuje osiem, dziesięć i w ostateczności dwanaście. Wyższa suma oznaczałaby wyciągnięcie pieniędzy ze wspólnego konta, a wtedy David musiałby grubo tłumaczyć się Leslie.

Ze względu na śnieżycę taksówka nie mogła skręcić w Morton Street. David i Amy wysiedli na Siódmej Południowej Alei. Ruchliwe zazwyczaj skrzyżowanie teraz było puste i dziwnie spokojne. W przyćmionym świetle latarni śnieg wydawał się przybierać pomarańczową barwę. Wchodząc na chodnik, Amy poślizgnęła się i chwyciła ramię Davida. Kiedy szli oblodzonym chodnikiem, wciąż na nim wisiała, a płatki wpadały im do oczu. Dom Amy mieścił się w połowie ulicy.

Miała obszerne mieszkanie z jedną sypialnią. David wyliczył, że musi kosztować ją tysiąc sześćset dolarów miesięcznie. Było surowo urządzone prostymi sosnowymi meblami, kupionymi najprawdopodobniej w Ikei w New Jersey. Amy przeprosiła i zniknęła w sypialni, a David usiadł przy stole kuchennym i wpatrywał się w oprawioną reprodukcję przedstawiającą lilie Moneta. Obrazek nasunął mu wspomnienie miodowego miesiąca, który spędził z Leslie w Paryżu, kiedy udali się w trzygodzinną podróż pociągiem, aby zwiedzić ogrody Moneta w Giverny. Przypomniał sobie, jak stali tam u stóp mostu, odmalowanego na obrazie, a David przytulał Leslie do siebie, opierając policzek o jej ramię.

– Zdejmij płaszcz – usłyszał głos Amy. – Zostań chwilę.

Przebrała się w czarne legginsy i obszerną koszulkę. Miała bose stopy. David poczuł, że spryskała się jeszcze mocniej tymi drażniaco ostrymi perfumami, których zawsze używała. Zapach przypomniawszy Davidowi czasy, kiedy czekał na Leslie, aż skończy zakupy w dziale kosmetyków w sklepie Bloomingdale's. Amy podeszła od tyłu i zsunęła mu płaszcz.

– Może filiżankę gorącej herbaty?

David zaprzeczył ruchem głowy.

– Kawę? Kakao? Zrobię ci pyszne, gorące kakao. Rozgrzeje cię.

Podczas gdy Amy wstawiała wodę do zagotowania, David wpatrywał się w reprodukcję Moneta.

– Tak przy okazji – odezwała się Amy. – Opróżniłam dla ciebie dwie szuflady. Nie wiem, kiedy chcesz przenieść swoje rzeczy, ale mam zapasowy klucz, dam ci go jutro rano. Aha, możesz też zająć całą szafę w holu. Myślę, że i tak zaczniemy wkrótce szukać mieszkania z dwiema, trzema sypialniami. Nie wiem jak ty, ale ja wolałabym mieszkać w Village, a nie na Upper East Side. Jak na mój gust jest tam zbyt tłoczno. Zresztą zobaczymy, ile uda ci się zyskać po rozwodzie i wtedy zdecydujemy, na co nas stać. Dla mnie ważniejsze jest obszerne mieszkanie, a nie modna dzielnica. Liczy się przede wszystkim przestrzeń. Cóż, co prawda nie miałam rodzeństwa, ale gdybym miała, to na pewno nie chciałabym razem z nim spać, toteż nasze dzieci powinny mieć oddzielne pokoje. Możemy wziąć pod uwagę dom, ale nie na przedmieściach, tylko na wsi. To zależy też od tego, jaką znajdziesz pracę dla siebie i szkołę dla córki – to znaczy, jeśli wygrasz walkę o opiekę nad nią. Dobrze się czujesz?

David wciąż wpatrywał się w obrazek.

– Ile chcesz?

– Chcę? – zdziwiła się Amy. – O czym ty mówisz?

– No, dalej, jesteś przecież inteligentną kobietą. Wiesz dobrze, na jakim poziomie rozmawiamy, przecież nie tak zaczyna się związek dwojga ludzi. Więc pytam cię jeszcze raz: ile mam ci dać, byś zostawiła mnie w spokoju raz na zawsze?

Amy patrzyła oniemiała na Davida z na wpół otwartymi ustami.

– To jakiś żart, tak? Ty nie mówiłeś poważnie tego, co *chyba* usłyszałam.

– Pięć tysięcy dolarów?

Amy zaśmiała się sarkastycznie.

– Myślisz, że chcę twoich pieniędzy? Nie do wiary. Po tym, jak spędziliśmy tyle czasu razem, uważam, że zasługuję na *nieco* więcej szacunku.

– Pieprzyliśmy się kilka razy, to wszystko. Mogłem dostać to samo od jakiejś dziwki

na telefon i gdybym był mądrzejszy, zrobiłbym tak. Osiem tysięcy dolarów jutro rano w kopercie i jesteście kwita.

Zagotowała się woda i rozległ się przenikliwy, drażniący uszy świst gwizdka, ale Amy nie ruszyła się. Dopiero po dłuższej chwili – jakby się ocknęła – wyłączyła gaz.

– Mam pomysł – powiedziała. – Udamy, że to w ogóle nie miało miejsca. Jeszcze raz wyjdę z sypialni i zaczniemy wszystko od początku.

– Dziesięć tysięcy. To moja ostateczna propozycja.

Teraz Amy znów przybrała ten swój pusty wyraz twarzy.

– Chyba naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jaka ze mnie kobieta – odpowiedziała. – Jestem dobra, uczciwa i wiem, na co zasługuję. Powiem ci jedno, jestem dużo lepsza, niż ta twoja żalosna, stara żona. Jak ja będę z tobą, to nie będę siedziała w domu w niedzielny poranek, podczas gdy ty i córka idziecie do muzeum. W każdej minucie dnia będę najlepszą żoną i matką na świecie.

– Skąd wiesz, że byliście w muzeum?

– No, co? – zachnęła się Amy. – Mam chyba prawo spędzać czas z moją przyszłą rodziną, prawda? I powiem ci jedno, twoja córka wcale nie jest szczęśliwym dzieckiem. Rozmawiałam z nią w damskiej toalecie i zdaje się, że nie przepada za swoją mamusią.

– A jak to się stało, że cię tam nie widziałem? – zapytał David.

– Nawet patrzyłeś na mnie – odparła Amy. – Ale w blond peruce i okularach przeciwsłonecznych wyglądam zupełnie inaczej.

David zastanawiał się, ile razy Amy śledziła jego rodzinę. Wstał i zaczął zakładać płaszcz.

– Dobra. Dwanaście tysięcy, tyle mogę dać i koniec. Bierz albo rób, co chcesz.

– Siadaj natychmiast – rozkazała Amy.

– Idę do domu, do mojej rodziny – odrzekł. – Na twoim miejscu wziąłbym pieniądze i wydał je na dobrego psychiatrę.

Kiedy David zdejmował łańcuch z drzwi, Amy rzuciła krótko:

– Stój.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że się odwrócił. Trzymała pistolet wycelowany prosto w jego twarz.

– Czyś ty postradała zmysły?!

Na stole leżała otwarta torebka Amy. David wiedział już, skąd wzięła pistolet.

– Co ty wyprawiasz z tym pistoletem?

– Natychmiast siadaj z powrotem na tym krześle – zażądała. – I zdejmij płaszcz.

– I co dalej, no? – mówił David, nie spuszczać oka z pistoletu. – Celujesz prosto w moją twarz i myślisz, że będziemy żyli razem długo i szczęśliwie?

– Siadaj – zniecierpliwiała się. Prawa ręka, w której trzymała pistolet, zaczęła jej drżeć, więc lewą dłonią chwyciła nadgarstek. – Siadaj tu.

– Spójrz na siebie – ciągnął David. – Oszalałaś.

– Jeśli nie usiądziesz, do cholery, to...

– To co? Zastrzelisz mnie? – Davida zaskoczył jego spokój. – I co ci to da? Nie będziesz mogła wyjść za mnie, jeśli umrę.

– Zabiję nas dwoje.

– Uspokój się, dobrze?

– Ostrzegam cię...

– Słuchaj, odłóż ten pistolet.

– Nie ruszaj się.

– Oddaj mi go.

Zbliżając się do Amy, nie spuszczał oka z jej palca.

– Mówiłam ci, nie ruszaj się!

David rzucił się do przodu. Jedną ręką chwycił dłoń Amy, w której trzymała pistolet, a drugą jej go wyrwał. Broń spadła na podłogę. David popchnął Amy do tyłu – zawadziła o nogę stołu i upadła. Widział jej oczy, patrzące na niego w przerażeniu, i usta otwierające się do krzyku. Głową uderzyła o kant blatu.

Osunęła się na podłogę i leżała bez ruchu na boku, a krew ciekła jej z głowy. Jednak David szalał dalej. Działał pod wpływem impulsu, świadom jedynie swojej wściekłości. Chwycił pierwszą rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę – ciężką patelnię, leżącą na kuchence – i uderzył nią z całej siły w twarz Amy. Bił ją przynajmniej pięć czy sześć razy, zanim zrozumiał, co wyczynia. Krew leciała jej teraz ciurkiem z nosa i ust.

Nie mógł złapać oddechu. Puls walił mu tak szybko, że wydawało mu się, iż za chwilę dostanie ataku serca lub wylewu. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie uczynił. Nigdy wcześniej nie uderzył nikogo ani się nie bił. Zaczął płakać – łzy spływały mu po policzkach. Zacisnął mocno oczy w nadziei, że to wszystko to tylko makabryczny sen. Potem otworzył powieki i ujrzał wykrzywione na podłodze ciało Amy. Krew lała się jeszcze obficie.

David zrobił krok w stronę telefonu, po czym zamarł. Przez głowę przelatywały mu myśli.

Karetką równa się policja, równa się dożywocie, czyli Leslie dowiaduje się o romansie, czyli rozwód, czyli nigdy nie zobaczą już Jessiki.

Schylił się, kładąc dłonie na kolanach, i wziął powoli głęboki oddech, by się uspokoić. Następnie chwycił ścierkę kuchenną i zaczął wszystko ścierać. Całe szczęście, nie wychodził z kuchni. Wytrzeł dokładnie stół kuchenny i krzesło, na którym siedział, oraz pistolet, który następnie położył na podłodze. Potem wyczyścił patelnię i też zostawił ją na podłodze. Nie dotykał raczej niczego w pokoju, ale na wszelki wypadek przetarł klamkę i drzwi oraz wszystkie krzesła i lodówkę. Potem powtórzył te czynności jeszcze drugi i trzeci raz, starając się nie patrzeć na Amy. Kiedy stwierdził, że już skończył, zauważył krew na prawym rękawie swojej koszuli. Oplukał go pod bieżącą wodą, zmywając ślady na tyle, na ile się dało. W żadnym innym miejscu na ubraniu nie dostrzegł już krwi.

Z korytarza dobiegał jakiś hałas. Był pewien, że ludzie usłyszeli, jak Amy upada, i biegli zobaczyć, czy nic się jej nie stało. Okazało się jednak, że był to śmiech kobiety i mężczyzny, rozmawiających o nawałnicy. Głosy ucichły i David słyszał tylko kroki, oddalające się po schodach.

Był zlany potem. Przez przypadek zobaczył oczy Amy i omal nie zwymiotował. Nasłuchiwał uważnie, upewniając się, czy nikt nie nadchodzi. Następnie, używając ściereki kuchennej, powolutku otworzył drzwi mieszkania i wyjrzał na korytarz, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma. Przejście wydawało się puste, więc rzucił ścierkę na blat stołu i pozwolił, by drzwi się za nim zatrzasnęły.

Nie pamiętał, jak opuścił budynek. Nagle brnął w śniegu po Morton Street. Żaden człowiek chyba nie przechodził obok domu, więc wyszedł niezauważony. Boże, raczej nikt nie powinien słyszeć walki, modlił się w duchu, choć to mało prawdopodobne. Pocieszał się faktem, że Amy prawie w ogóle nie krzyczała.

Śnieg padał coraz mocniej, zmniejszając przez to widoczność. Wszelkie ślady butów zostaną wkrótce pokryte białym puchem.

Szedł przez miasto, starając się koncentrować na padających płatkach, tak by nie myśleć o niczym innym. Jednak nie mógł odgonić od siebie strachu. Po co wziął do ręki tę patelnię? Teraz już nie wykręci się wypadkiem czy samoobroną.

Przy Astor Place David wsiadł do metra. Siedząc w prawie pustym wagonie, wciąż widział bezwładne ciało Amy i kałużę krwi. Jednak nie martwiło go, że Amy nie żyje, a raczej, że może nie umarła.

13

Śnieg nadal jeszcze lekko padał, kiedy Billy Bomba wyjeżdżał z tunelu Brooklyn Battery. Zbliżywszy się do okienka kasowego, ostrzegł dziewczynkę, którą przywiązał do tylnego siedzenia, by trzymała swoją głupią buzię na kłódkę.

– Nie chcę cię skrzywdzić ani nic w tym rodzaju – wyjaśnił. – Ale będę musiał, jeśli coś spieprzysz.

Mała nie odezwała się ani słowem – bo niby jak, z ustami zakneblowanymi skarpetką. Billy słyszał, jak cicho płacze od momentu, kiedy ją porwał.

– Zamknij się, do kurwy nędzy! – wrzasnął.

Walnął otwartą dłonią w deskę rozdzielczą, po czym podkręcił radio. Celine Dion śpiewała „The Wanderer” i Billy zaczął śpiewać razem z nią.

„Now I’m the type of guy, who’ll never settle down...”²

Czarna kobieta, pracująca w okienku, wydawała się tak znudzona pracą, że nawet nie spojrzała na Billy’ego, a tym bardziej na tylne siedzenie.

– Hej, dziewczucho – wrzasnął Billy przez ramię, kiedy skręcał swoim autem w Belt Parkway. – Rób, co ci każę, a wszystko będzie dobrze!

Skończyła się piosenka „The Wanderer” i teraz leciała jakaś kliwa ballada Elvisa. Wtedy Billy odniósł wrażenie, że o czymś zapomniał. Nie znosił tego uczucia. Od czasu wypadku często mu się to zdarzało. Było to tak, jakby nie był w stanie rozpoznać własnej twarzy w lustrze.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – krzyczał i znowu rąbnął dłonią w tablicę rozdzielczą. Samochód wpadł w poślizg na oblodzonym fragmencie i o mały włos nie spowodował kolizji z ciężarówką jadącą prawym pasem. Ciężarówka minęła samochód Billy’ego, który pokazał kierowcy środkowy palec i wrzasnął: „Pieprz się, pedale!”

Próbował się uspokoić, biorąc głęboki oddech. Wsadził dziewczynkę do samochodu, jak kazał Joey. No, może niedokładnie, ale co miał począć? Nie chciała wsiąść, a on nie miał ochoty wracać znów na Manhattan i siedzieć cały dzień jak dureń. To wszystko wina tej cholernej bystrej dziewczuchy. Gadała: „Jeśli mój tata miał wypadek, to mama powiedziała by mi, że ktoś mnie odbierze.” Wtedy pojął, jaki głupi jest ich plan. Z jakiej racji dziecko miałooby zaufać obcemu facetowi? A ta mała jest mądra, chodzi do prywatnej szkoły i w ogóle. Była jak te wszystkie w – no, jaki jest tytuł tego filmu, co leciał na Kanale Dziewiątym? – aha, „Mary Poppins”, tyle że nie mówiła z tym sztywnym, brytyjskim

akcentem.

Równie głupio było wysiadać z auta tuż przed szkołą, łapać dziewczynkę i odjeżdżać. Trzeba będzie nakłamać Joey'emu, jeśli chodzi o tę część planu. Ale przynajmniej udało się. Zrobił to tak szybko, że na pewno nikt go nie zauważył. No, trudno, przecież bez sensu jest wracać jutro pod szkołę, bo co wtedy? Miałby jej dać cukierka, żeby wsiadła? Ta mała cwana wygadałaby wszystko mamusi i tatusiowi, a wtedy Billy miałby sporo szczęścia, gdyby nie dopadły go gliny.

Jadąc pokrytą śniegiem Ocean Parkway, mijając domy, w których mieszkali starzy Żydzi, Billy poczuł się dużo lepiej. To też czasami mu się zdarzało – w jednej sekundzie pewność, że o czymś zapomniał, a już w drugiej jego umysł normalnie funkcjonował. Jedyne problem tkwił w tym, że Billy nigdy nie mógł zdecydować, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku, czy też po prostu zapomniał, że o czymś zapomniał.

Uwielbiał Brooklyn. Fakt, czasami miał dość tych cholernych czarnuchów w swojej dzielnicy i zastanawiał się nad znalezieniem mieszkania w Bay Ridge lub Sheepshead Bay. Jednak nigdy nie mógł zrozumieć takich facetów jak Joey, którzy przenosili się na Manhattan. Stali się cholernymi snobami i chyba nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Joey zaczął się wywyższać, nie przyjeżdżał już do Brooklynu na karty ani na panienki z Coney Island. Na samą myśl o tych ciemnych lalach z wydatnymi ustami i dużymi tyłkami Billy'emu stawał członek.

Po dotarciu do domu Billy wyłączył silnik oraz radio i kazał dziewczynce siedzieć cicho. Zanim ją weźmie i zanieśie do domu, chciał upewnić się, że ten mały czarnuch go nie szpieguje. Śnieg zaczynał teraz padać coraz mocniej i pewnie chłopak jest na zewnątrz, lepiąc bałwana ze swoimi kumplami.

Odczekawszy przed samochodem około minuty, Billy stwierdził, że już wystarczy. Podniósł Jessicę z tylnego siedzenia i pogroził:

– Pilnij się teraz, żebym nie musiał ci zrobić krzywdy. – I ją wyniósł.

Wciąż miała wokół głowy owiniętą czarną taśmę, która zasłaniała jej oczy. Drugi kawałek taśmy przytrzymał skarpetkę w ustach. Billy szedł szybko, nie zapiął nawet swojej wojskowej zimowej kurtki w kolorze khaki. Wniósł dziewczynkę do środka bocznymi drzwiami. Wciąż płakała.

– No, już, zamknij się, do cholery – powiedział, schodząc z nią po schodach do

² Jestem chłopakiem, który nigdy się nie ustępuje.

ciemnej piwnicy. Na dole włączył światło. Panował tu straszny bałagan. Puszki po farbach, zardzewiałe narzędzia ogrodowe, kilka starych rowerów i inne śmieci leżały rozrzucone po całym pomieszczeniu. Było tu tak samo zimno i wilgotno jak na zewnątrz.

Rozłożył fotel, strzepnął z niego kurz i pajęczynę, po czym posadził na nim swoją zakładniczkę.

– Radzę ci, bądź grzeczna i nie sprawiaj mi żadnych kłopotów, inaczej nie będzie ci tu dobrze. Przykro mi, ale muszę zostawić ci tę skarpetkę w ustach i związane ręce oraz nogi, ale mogę zdjąć ci taśmę z ust, jeśli chcesz. Chcesz?

Dziewczynka kiwnęła głową.

Billy odkleił taśmę z ust dziewczynki, wrywając przy tym kilka włosów. Wydała z siebie przytłumiony jęk.

– Zamknij się, kurwa, albo znów zakleję ci buzię.

Nie widział oczu małej, ale podobały mu się jej usta. Zdecydowanie słodka z niej laleczka. Przypominała mu dziewczęta, które podszcypywał w trzeciej i czwartej klasie. Ładna, gładka twarz, wolna jeszcze od trądziku, jaki miały dziewczyny, które pieprzył. Zęby były bielutkie, bo nigdy nie paliła papierosów, a jej oddech nie śmierdział pizzą z czosnkiem. Wąskie, różowe wargi wyglądały szczególnie ponętnie, obejmując skarpetkę. Zastanawiał się, czy chodzi już z chłopakiem. Ma jakieś jedenaście lat, a w dzielnicy, w której dorastał, kręciło się sporo jedenastoletnich dziwek. Jednak w niej nie było nic z dziwki. To raczej grzeczna, schludna panienska, podlizująca się każdemu nauczycielowi po lekcji. Billy na pewno nie spodobałby się jej w siódmej klasie.

Głaszcząc delikatnie wierzchem dłoni jej policzek, Billy zapytał: – Mówił ci ktoś, że jesteś śliczniutka?

Spod taśmy po policzkach dziewczynki spływały łzy.

– Czego, do cholery, płaczesz? To był komplement. Poczekaj, aż dorośniesz, zaczniesz tyć i tracić urodę. Jeszcze będziesz chciała, by taki miły facet jak ja mówił ci, że jesteś śliczniutka. Masz chłopaka?

Wciąż płakała.

– Odpowiedz. Masz chłopaka?

W końcu dziewczynka wolno pokręciła przecząco głową.

– W twoim wieku miałem tysiące lasek. Wiem, trudno to sobie teraz wyobrazić, kiedy jestem łysy i tak dalej, ale wtedy byłem całkiem przystojny. Prawdziwy macho, wiesz, o czym mówię? Jak ten gość z telewizji, jak on się nazywa? Cholera, nienawidzę, kiedy tak zapominam. No, nic. Więc byłem jak on, ten facet z programu, każda chciała ze mną chodzić.

Miałem czarne, zaczesane gładko do tyłu włosy, nakładałem dużo brylantyny i ubierałem się naprawdę czadowo. W gimnazjum nosiłem czarną, skórzaną kurtkę. Miałem też kolczyk – ale nie w prawym uchu, jak jakiś pieprzony pedał – tylko w lewym. Mały, srebrny kolczyk, za którym wszystkie babki szalały... *Chachi*. Tak miał na imię ten gość z serialu. Ciągłe nie pamiętam jego prawdziwego imienia. Brzmi jakoś tak po włosku. No, już przestań płakać!

Billy ujął dziewczynkę pod brodę i delikatnie uniósł jej głowę.

– No, ty, nie bój się mnie. Przecież cię nie ugryzę. Robię to, bo jestem winien kumpłowi przysługę. Dostaniemy tylko trochę kasy od mamusi i tatusia i wtedy puszcze cię wolno. Słuchaj, mam pomysł. Chcesz, żebym wyjął ci skarpetkę z ust? Zrobię to, tylko obiecaj mi, że nie będziesz krzyczeć. Jeśli zaczniesz wrzeszczeć, włożę ci ją z powrotem i więcej jej nie wyjmę. Obiecujesz nie krzyczeć?

Skinęła głowę. Billy wyjął skarpetkę i dziewczynka zaczęła kaszleć. Billy trzymał teraz swoją rękę na jej udzie.

– Co ci jest, jesteś chora, czy co? Powiem ci coś. Mam tu grzejnik elektryczny. Znajdę go, wyczyszczę i postawię ci na noc. Wziąłbym cię na górę ze sobą, ale... – o mały włos nie zdradził Joey'ego – ale ten mój kumpel, z którym pracuję, kazał mi trzymać cię tu cały czas na dole, w razie gdyby wpadła policja albo co. Wiesz, masz ładne ząbki. Uśmiechnij się i pokaż... – prawie powiedział swoje imię – i pokaż mi, jak wyglądają.

Billy podniósł kciukiem górną wargę dziewczynki.

– Ładne. Założę się, że nie masz żadnych dziur.

– Chce mi się pić.

– Pozwoliłem ci mówić? Słuchaj mnie, rozumiesz, albo strasznie się zdenerwuję. Przyniosę ci wody, przyniosę ci lemoniady, przyniosę ci, co tylko zechcesz, ale najpierw zagramy w grę. Lubisz gry? Nie odpowiadaj. Od teraz tylko ja gadam.

Billy wsadził kciuk w jej usta.

– Podoba ci się to uczucie, co? Jak lizak. No, to udawaj. Udawaj, że mój kciuk to smaczny, owocowy lizak.

Billy zaczął czuć się jak zawsze, kiedy myślał o czarnych panienkach z Coney Island. Potem poczuł ból. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że pochodzi z prawego kciuka i że to mała go gryzie.

– Cholera! – wrzasnął, próbując oswobodzić palec, ale ona wbiła się mocno zębami i nie puszczała.

Billy podniósł ją z krzesła za włosy i w końcu się uwolnił.

– Ty mała zdziro!

Wymierzył jej policzek. Ból w palcu był nie do zniesienia, a krew kapała na podłogę. Wcisnął jej z powrotem skarpetę i poszedł na górę. Puścił zimną wodę na ranę. Pokazały się ślady zębów tuż nad wystającą kością. Minęło sporo czasu, zanim krwawienie ustąpiło. I był wściekły na siebie za uderzenie tej małej. Od teraz będzie dla niej miły, postara się, by znów go polubiła.

Kiedy ponownie zszedł na dół, dziewczynka znowu płakała.

Billy zaproponował:

– Porozmawiajmy o obiedzie. Lubisz spaghetti?

14

Kiedy David ujrzał siedzącego na kanapie policjanta oraz Leslie, płaczącą i wycierającą nos w stertę chustek na krześle naprzeciw niego, był już pewien, że Amy żyje, a on spędzi resztę życia w więzieniu. Doznał dziwnie klaustrofobicznego uczucia – jakby zamknięto go w windzie na dwadzieścia cztery godziny.

Leslie spojrzała na niego i zaczęła jeszcze głośniejszochać, a on tylko czekał na założenie kajdanków.

Policjant, mający gęste wąsy i mówiący silnym akcentem z Bronxu, poinformował Davida: – Chyba powinienem krótko przedstawić panu sytuację, panie Sussman.

David postanowił opanować się na tyle, na ile jest w stanie. Nie będzie reagował, dopóki funkcjonariusz nie zda mu pełnej relacji. Potem odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji bez swojego adwokata. Schował prawą rękę do kieszeni. Miał nadzieję, że niczego nie widać na rękawie.

– Sytuację? – powtórzył. – Jaką sytuację?

– Zdaje się, że dziś po południu wprowadzono pańską córkę.

David poczuł ulgę. Dopiero kiedy Leslie na niego spojrzała i zobaczył jej zaczerwienioną twarz oraz rozmazany tusz pod oczami, zrozumiał, co się stało.

– Uprowadzono ją? Co pan mi tu wygaduje?

Policjant spokojnym, monotonnym tonem wyjaśnił, że dzieci zostały wcześniej zwolnione z lekcji z powodu nawałnicy. Leslie poszła odebrać córkę, ale nie zastała jej w szkole. W trakcie tego opowiadania Leslie płakała, momentami w ogóle się nie kontrolując. David podszedł i otoczył ją ramieniem.

– Musi być na to jakieś rozsądne wytłumaczenie – stwierdził. W głowie miał już zamęt z powodu nowego obrotu spraw. Jak to się mogło stać, myślał gorączkowo. – Na pewno jest u koleżanki. Dzwoniłaś do jej koleżanek?

– Badamy już wszelkie możliwe poszlaki i niezależnie od nawałnicy policja robi wszystko, by znaleźć pańską córkę – wtrącił śledczy. – Postanowiłem zostać z pańską żoną i poczekać na pana.

Leslie, po raz pierwszy od chwili powrotu Davida do domu, zapytała łamiącym się głosem: – Gdzie byłeś?

– Jak to? – odparł David. – W pracy.

– Dzwoniłam do ciebie cały dzień, odkąd... – Próbowала powstrzymać łzy. – Gdzieś ty był?

David przypomniał sobie, jak włączył automatyczną sekretarkę, sądząc, że to dzwoni Amy.

– Miałem spotkania. Nie odbierałem telefonów.

– Dałem już pańskiej żonie numer, czynny całą dobę, pod który może pan dzwonić po dalsze wieści – wyjaśnił policjant. – Oczywiście odezwiemy się, jak tylko dowiemy się czegoś nowego.

– A co z tą kobietą, o której mówiłam? – zapytała Leslie.

– Detektywi to sprawdzą. Ale szczerze mówiąc, jeśli, jak pani mówi, ma na imię Amy i jest Azjatką, w wieku dwudziestu pięciu lat, to muszę przyznać, będziemy mieli sporo roboty z jej znalezieniem. Gdyby wiedziała pani, gdzie mieszka lub pracuje, to co innego.

– Ale ona jest w to zamieszana, jestem tego pewna.

– Obiecuję pani, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Jednak dopóki nie dostaniecie państwo telefonu z żądaniem okupu i dopóki nie miną dwadzieścia cztery godziny od zaginięcia córki, to nie możemy mieć nawet pewności, czy została porwana.

– Znajdźcie ją! – szlochała Leslie. – Nie obchodzi mnie, co musicie robić. Po prostu znajdźcie moje dziecko. Znajdźcie ją!

Po wyjściu policjanta Leslie w końcu się uspokoiła. Zapytała Davida, czy jeszcze kiedyś zobaczą Jessicę.

– Nie dramatyzuj – odpowiedział. Sam wcześniej już płakał, a teraz łzy spływały mu jeszcze szybciej. – Musi być na to jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Możesz już przestać z tym cholernym optymizmem? Nie ma jej. Ktoś porwał nam naszą córeczkę.

– Tego jeszcze nie wiemy.

– No to gdzie jest?

– U koleżanki. Może zapomniała ci powiedzieć...

– Nieprawda. Modłę się do Boga, by była jeszcze żywa.

– Siedemdziesiąta Siódma jest bardzo ruchliwa o drugiej po południu. Jestem pewien, że wtedy nikt jej nie porwał, a poza tym Jessica jest wystarczająco inteligentna, by nie oddalać się z nieznajomymi.

– To powinnam tam być. To wszystko moja wina.

– To niczyja wina.

– Siedziałam tu i oglądałam te idiotyczne seriale... A ta kobieta? A kasetę? Pamiętasz, jak nam ją dostarczono? Zapomniałam o niej powiedzieć policji, ale jak sądzisz, czy może mieć jakiś związek?

– A jaki miałyby mieć związek?

– Nie mam pojęcia, tylko się zastanawiam, może jest na niej jakaś wiadomość, coś, co zostało wymazane lub czego nie słyszeliśmy. Może powinniśmy dać ją policji.

– Oczywiście, musimy zrobić, co się da, ale nie sądzę, by akurat kasetą na coś się zdała. Zaszło mi w ustach. Muszę się czegoś napić.

Davidowi potrzebna była tylko wymówka, by uwolnić się od Leslie. Od kiedy wymówiła imię Amy, męczył go koszmarny ból głowy. Spojrzawszy też na patelnię w kuchni, nie mógł złapać oddechu.

– David...

Głos Leslie go przestraszył. Szklanka, którą wyjął z szafki, wypadła mu z ręki i rozbiła się na podłodze.

– Co się dzieje? – zapytała Leslie.

– Nic – wykrztusił David. – Cholera, gdzie jest szczotka?

– Daj spokój.

Wyjął ze schowka na korytarzu zmiotkę. Puls mu walił, w gardle mu zaszło, a głowa wciąż niemiłosiernie go bolała.

Zamiatął w kuchni, a Leslie stała i płakała.

– I co my teraz zrobimy? – rozpacziała.

– A co możemy zrobić? – odparł David. – Musimy czekać.

– Dzwoniłam do wszystkich jej koleżanek, może powinnam spróbować jeszcze raz. Może o którejś zapomniałam?

– Na pewno nie zapomniałaś.

– Skąd wiesz? To znaczy, chyba masz rację, ale może ktoś...

– Mówiłem ci, nie zapomniałaś.

– Co z tobą? Dlaczego na mnie krzyczysz?

– Bo nie słuchasz. Muszę ci wszystko powtarzać.

– Jeśli w duchu jesteś na mnie zły, jeśli uważasz, że powinnam była ją odebrać, to lepiej po prostu to powiedz.

– Nie jestem zły na ciebie – odpowiedział David. – A właściwie to dlaczego tylko z powodu nawałnicy dzieciaki zostały zwolnione wcześniej ze szkoły?

– Jak śmiesz być taki cyniczny!

– Nie jestem.

– Ty draniu! – krzyknęła. – Nie chcę cię oglądać!

Wypadła z pokoju gościnnego i trzasnęła za sobą drzwiami sypialni. Po kilku

sekundach milczenia Davida ogarnęły wyrzuty sumienia. Przecież to nie Leslie, ale on jest wszystkiemu winien.

David domyślał się, że za tym porwaniem stoi Amy Lee. Jeśli ta wariatka śledziła jego rodzinę, to równie dobrze była zdolna do uprowadzenia ich dziecka. W tym momencie naszła go myśl, która spowodowała ostre klucie w samym środku klatki piersiowej – a jeśli Jessica jest teraz w mieszkaniu Amy? Wyobraził ją sobie związaną w sypialni, podczas gdy on tłukł Amy ile wlezie w kuchni. Nawet się ucieszył, że ją zabił; suka dostała to, na co zasłużyła. Już widział siebie, jak wraca do mieszkania Amy, wyłamuje drzwi i ratuje swoją córeczkę. Idiotyczny pomysł. Zostałby aresztowany, a po zeznaniach Jessiki skazano by go na dożywocie. Musi więc się modlić, by Jessiki nie było w tym mieszkaniu.

Ale co, jeśli Amy nie umarła? Raczej mało prawdopodobne, by przeżyła, jednak nie ma stuprocentowej pewności. Może wstała i z zakrwawioną twarzą powlokła się do telefonu i zadzwoniła po karetkę? Brr. Z drugiej strony, jeśli to prawda, to dlaczego jeszcze go nie aresztowano? Może Amy cierpi na amnezję albo znowu straciła przytomność lub – co bardziej prawdopodobne – celowo nie powiedziała policji całej prawdy, by tylko przedłużyć tortury Davida?

Pod drzwiami sypialni błagał Leslie o otwarcie drzwi.

– No, dalej, Lez. To nie czas na kłótnie. Na Boga!

Po kilku minutach się poddał. Poczekał, aż oddech mu się unormuje, i wrócił do kuchni, by dokończyć zmiatanie potłuczonego szkła.

W telewizji Clint Eastwood świdrował zimnym spojrzeniem jednego ze złych ludzi. David żałował, że nie jest taki opanowany. Próbował mrużyć oczy i napinać mięśnie twarzy, ale to nie przyniosło mu żadnej ulgi.

Pewien guru – dawny klient – podał mu kiedyś mantrę. Chociaż nie medytował już od lat, teraz próbował robić wdech i wydech, skupiając uwagę na swoim wnętrzu. Ćwiczenia zdawały się działać do momentu, kiedy Clint nie zaczął zabijać wszystkich złoczyńców w barze. Strzelanina przypominała Davidowi raczej petardy. Przed oczami stanął mu obraz Amy leżącej na podłodze w kuchni. Wyłączył głos w telewizorze i starał się złapać oddech. Leslie wyszła z sypialni z nowymi śladami rozmazanego tuszu na policzkach.

– Jak możesz w takiej chwili oglądać telewizję?

– Włączyłem wiadomości – wyjaśnił David. – Sądziłem, że będą mówili o Jessice.

– I mówili?

David pokręcił tylko głową. Leslie usiadła obok niego na kanapie i objęła go mocno. Pomyślał sobie, że to takie wspaniałe uczucie, kiedy Leslie nie oczekuje żadnych przeprosin. Ich małżeństwo jest chyba najbardziej udane na świecie. W tej chwili kochał Leslie tak mocno, że nie mógł zrozumieć, co go podkusiło, by wdawać się w romans z kobietą pokroju Amy Lee. Modlił się, by Amy nie żyła, Jessica nie była w jej mieszkaniu i nikt nie widział, jak opuszcza miejsce zbrodni. Może reszta jakoś się ułoży i znajdzie się rozwiązanie dla tego niewyobrażalnego koszmaru.

Oboje z Leslie siedzieli bez słowa. Milczenie zdawało się trwać godzinami, ale minęło zaledwie kilka minut. W końcu pierwsza odezwała się Leslie:

– Zadzwońmy już może na policję.

– Po co? Gdyby coś wiedzieli, powiadomiliby nas, nie sądzisz?

– Nigdy nie wiadomo.

Leslie zadzwoniła pod całodobowy numer. Po kilkuminutowym oczekiwaniu dowiedziała się, że nie pojawiły się żadne nowe informacje w ich sprawie. Zrezygnowana, usiadła z powrotem obok Davida. W milczeniu bezmyślnie oglądali ściszony film z Eastwoodem, kiedy nagle Leslie odsunęła się od Davida, otworzyła szeroko oczy i wykrzyknęła:

– Wiem już!

David podskoczył, jakby przywiązany do krzesła elektrycznego otrzymał właśnie pierwszy impuls. Zakręciło mu się w głowie, a mięśnie wokół ust zastygły. Leslie mówiła szybko i David dopiero pod koniec zrozumiał jej wywód.

– ...i to się teraz dzieje, nie rozumiesz? Jej przepowiednie się sprawdzają. Powiedziała mi o napięciu i strasznych przeżyciach, które mnie czekają, i to jest to. Co gorszego może cię spotkać od zniknięcia córki? Ale nie zdradziła, że to ona będzie przyczyną tragedii. A to dowodzi tylko jednego – jest w to zamieszana!

David poczuł ulgę. Leslie nie kojarzy jednak tego z jego romansem. Tylko jak długo to potrwa?

– Ee, to tylko ogromny zbieg okoliczności – powątpiewał David. – Dlaczego jakaś kobieta miałaby mieć taką obsesję na twoim punkcie, że porywałaby twoją córkę?

Głos mu się łamał, bo nie ochłonął jeszcze z szoku. Leslie objęła go ponownie i zapewniła:

– Mówię ci, ona jest w to zamieszana.

W Central Parku leżało ponad trzydzieści centymetrów śniegu, ale Joey'ego nic to nie obchodziło. Czekał na wiadomości telewizyjne, ciekaw, czy powiedzą coś na temat porwania na Upper East Side, ale wszystkie stacje podawały wyłącznie informacje o nawałnicy, jakby to była jakaś cholerna Apokalipsa.

Cały wczorajszy wieczór i noc Joey też oglądał wiadomości. Co pół godziny dzwonił do Billy'ego, ale nie zdołał się z nim skontaktować. Najpierw nikt nie odbierał telefonu, a potem całą noc linia była zajęta. Rano to samo. Miał ochotę zabić Billy'ego. Wcześniej powtarzał mu chyba ze trzy razy: ma zadzwonić, niezależnie od wszystkiego, jak tylko wróci do domu. Joey spodziewał się, że Billy o tym zapomni, bo wzrokiem błądził ciągle gdzieś w przestworzach. Wielokrotnie musiał wołać „Hej, Billy”, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Oby nic się nie stało, drżał Joey. Zeszłej nocy prawie w ogóle nie spał. Przeszkadzały mu szwy na twarzy, a do tego obawiał się, że w każdej chwili może wpaść tu policja. Billy to przecież taki idiota, jeszcze sam da się zaarrestować. Joey wyobrażał sobie, jak ten kretyn opowiada o wszystkim na posterunku policji. „To nie ja, panie władzo, to ten mój kumpel, Joey DePino. To jego pomysł. Chcecie adres i telefon?” Cóż, mógł winić tylko siebie za uzależnienie swojego życia od takiego pokręconego wariata.

W wiadomościach tępawy, chudy spiker właśnie pytał ludzi o śnieg leżący na ulicach śródmieścia: „Co pan sądzi o śniegu? A pan? Co pan sądzi o śniegu?”

– Pieprzone ciotki – powiedział głośno Joey i zmienił kanał.

Jednak inne stacje też relacjonowały tylko nawałnicę. Joey zastanawiał się, czy Billy ma już dziewczynkę, a policja po prostu nie ujawnia faktu jej porwania. Może przeprowadzają ciche śledztwo, kierując się poszlakami. A może Billy wcale jej nie porwał. Joey odrzucał tę ewentualność. Musi oddać Carlosowi pieniądze za cztery dni i jeśli ich nie zdobędzie, to tym razem nie skończy się na kilku szwach. Znowu Joey'emu stanął przed oczami napis „KONTROLA”. Cholera, tak łatwo mógł uniknąć tych wszystkich kłopotów.

Sama myśl o hazardzie go podnieciła. Pragnął znaleźć się z powrotem na wyścigach, jeść tłuste zarcie i wdychać dym papierosowy. Brakowało mu dotyku *Racing Form* lub innego programu w dłoniach oraz podekscytowania, jakie mu towarzyszyło, kiedy wchodził na tor wieczorami. Niezależnie od tego, co się wydarzyło dzień wcześniej i ile stracił pieniędzy, to zawsze mógł zacząć od nowa i zawsze były kolejne zawody. Za miesiąc

zaczynają się playoffy NCAA³, a niedługo rozpocznie się sezon rozgrywek baseballowych, potem hokej i playoffy w koszykówce. Życie wydawało mu się nudną stratą czasu, jeśli nie mógł czegoś obstawić.

Do pokoju weszła Maureen. Ubrana była do pracy, odstrzelona tak samo jak wczorajszego dnia. Miała na sobie krótką spódniczkę, której Joey wcześniej nie widział, i chyba kilogram makijażu na twarzy. Myśląc, jak nieźle wygląda z tą zmianą, zapytał:

- Czegoś tak się wystroiła?
- Bo mi się podoba – odparła.

Joey nie miał pojęcia, co się dzieje w głowie tej kobiety, i nie zamierzał tracić czasu na rozgrywanie tej kwestii.

Maureen sprawdzała makijaż w lusterku puderniczki, nucąc jakąś piosenkę.

- Co jesteś taka wesoła?
- To z powodu śniegu. Sprawia, że wszystko wygląda tak odświeżenie.

Joey pokręcił tylko głową.

- Może powinnaś najpierw zadzwonić do pracy. Biura mogą być dzisiaj zamknięte.
- Wątpię. A nawet jeśli, to fajnie będzie przejść się po tym puchu.
- To chociaż zostaw mi dwadzieścia dolarów.
- A po co ci pieniądze?

– Mówię tylko o dwudziestu dolcach – zezłościł się Joey. – Muszę chyba jeść, no nie?

Maureen położyła dwadzieścia dolarów na stole. Zamknęła puderniczkę i wrzuciła ją do torebki.

Joey'ego zdziwił radosny nastrój Maureen. Mógł ją o to zapytać, bardziej się tym zainteresować, ale z drugiej strony miło było widzieć ją szczęśliwą, kiedy nie czepiała się o pieniądze i szukanie pracy. Zadając pytania, zepsułby radosną atmosferę.

Wybrał numer Billy'ego. Po trzecim sygnale odebrał telefon.

- Gdzieś ty, do cholery, był?
- Kiedy?
- Wczoraj, dzisiaj...
- W domu.
- Nieprawda, dzwoniłem do ciebie.
- Przysięgam.
- Nie kazałem ci zadzwonić, jak tylko wrócisz?

³ NCAA – Międzyuczelniane rozgrywki koszykówki w USA.

– Kurwa – zaklął Billy. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Masz dziewczynkę?

– Tak, mam – odparł Billy.

– Na pewno? – Nagle Joey poczuł mdłości. – Gdzie jest? Nikt cię nie widział?

– Nie, nie sądzę.

– Co to ma znaczyć „nie sądzę”?

– Nikt, kurwa, mnie nie widział.

– Cholera. Nic jej nie jest? Karmisz ją? Gdzie ją trzymasz, w piwnicy?

– Tak, ale tam jest ziąb. Nie pomyśleliśmy o tym. Dobrze, że miałem gdzieś grzejnik elektryczny.

– Rób, co uważasz, ale nie prowadź jej czasem na górę.

– No co ty, myślisz, że jestem głupi?

– Ale wszystko poszło dobrze wczoraj? Wsiadła od razu do samochodu?

– Nie do końca.

– Jak to?

– Nie chciała wsiąść. Musiałem ją wsadzić. Ale już tu jest i to się liczy, nie?

– Chryste, Billy. Nikt cię nie widział? Jesteś pewien, że nikt cię nie widział?

– Na sto procent. Ty, a może byś mi pogratulował, co? Robię, co do mnie należy, mam tego cholernego dzieciaka, a jakie otrzymuję podziękowanie?

– To jeszcze nie koniec – zgasił Billy’ego Joey. – Porwanie to dopiero początek. Ale nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon. Musimy spotkać się dziś po południu, o czwartej w McDonalddie przy stacji, Nostrand Avenue. Zapisaleś?

– Co?

– To, co ci powiedziałem.

– Nostrand Avenue.

– O której?

– Przestań mnie przepytawać.

– No, to powiedz.

Po chwili milczenia Billy powiedział:

– O szóstej.

– Nie, o czwartej. O czwartej, ty idioto. Mam ci to przeliterować?

– Nie nazywaj mnie idiotą.

– Zapisz.

– Już zapisałem.

– Słuchaj, to poważna sprawa, Billy. Nie możemy tego spieprzyć. Znaczy się, mamy dzieciaka, ale to nie koniec. A teraz skup się, najmocniej, jak potrafisz.

– No, już.

– I pamiętaj, cokolwiek zrobię, nie wspominaj mojego imienia. Znowu zapadło milczenie i Joey wyczuł, że coś jest nie tak.

– No co? Chyba nie powiedziałeś czegoś głupiego, co?

– Nie – odparł Billy.

– To o co chodzi?

– O nic.

– Czuję, że zrobiłeś coś nie tak. Mów.

– Nic złego nie zrobiłem. Nie wymieniłem twojego imienia czy coś takiego. Mówiłem tylko, że pomagam kumplowi.

– A po cholere to gadałeś?

– No, tak jakoś...

– Jakby słowa same wyrwały ci się z ust?

– To nic takiego. Jezu. Przecież nie wie, kim są moi kumple.

– A jeśli złapie cię policja? Albo będą gadać z dziewczynką? Pierwsze, co zrobią, to sprawdzą wszystkich twoich kumpli. Jeśli na mnie trafią, to wypytają najwyżej Maureen i tyle.

– Ale ty nie myśl sobie, że jak policja mnie złapie, to nic o tobie nie powiem. Będzie tak, jak wtedy w sklepie z farbami – wpada jeden, wpadają wszyscy. Co ty sobie myślisz? Nie mam zamiaru nadstawiać za ciebie głowy. Jeszcze czego! Powiem im, że to twój pomysł, bo to w końcu *jest* twój pomysł.

– Dobra, dobra – uspokoił go Joey, wiedząc, że Billy jest zdolny do każdego głupstwa.

– Nieważne. Nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. Już nic więcej nie gadaj, dobra?

– Pewnie. Przecież nie chcę iść z tobą do paki.

David zszedł kupić kawę. W holu zobaczył tłum reporterów. Gdyby nie zareagował, pewnie minąłby ich niezauważony. Jednak zatrzymując się i patrząc na nich, zachował się tak, jakby ogłosił wszem i wobec, że nazywa się David Sussman.

Próbował uciec z powrotem do windy, ale drzwi już się zamknęły. Odwrócił się i ujrzał gąszcz mikrofonów i kamer wycelowanych prosto w jego twarz.

– Przepraszam, pan Sussman?

- Czy możemy z panem chwilę porozmawiać?
- Czy chciałby pan wygłosić apel do porywaczy pańskiej córki?

Posypała się lawina pytań, z których David nic nie rozumiał. Portier i jeden z dozorców budynku próbowali powstrzymać reporterów, ale było ich z piętnastu, zadających pytania jeden przez drugiego. W końcu winda się otworzyła. David precyzyjnie się przez tłum i po kilku próbach zamknięcia drzwi został wreszcie sam.

W kuchni Leslie rozmawiała przez telefon. Słyszając jej histeryczny płacz, domyślił się, że zadzwoniła do matki. Pobiegł do łazienki – ze zdenerwowania dostał biegunki – po czym wziął prysznic i się ogolił. Mimo przeżywanej tragedii, nie omieszkął zauważyć, że się postarzał. Worki pod oczami mu się powiększyły i sięgały nosa, a na czole pojawiły się nowe zmarszczki.

Kiedy wyszedł z łazienki, Leslie nadal rozmawiała przez telefon. Włączył telewizor w pokoju gościnnym na Kanał Siódmy. Pokazywano zdjęcie Jessiki ze szkoły, z zeszłego roku. Było to powiększenie fotografii stojącej u nich na stoliku nocnym w sypialni. Jessica uśmiechała się szeroko, a światło żarówki odbijało się w jej orzechowych oczach, dając efekt palących się ogników. Jak to się stało, że media tak szybko zdobyły to zdjęcie?

Leslie stanęła w pokoju gościnnym. Ze spuchniętych oczu zdawały się płynąć krwawe łzy.

- Widziałaś zdjęcie Jessiki w telewizji? – zapytał David.
- Pokazywano je już wcześniej. Moi rodzice przyjeżdżają do Nowego Jorku.
- Jesteś pewna, że to dobry pomysł?
- A dlaczego nie? To znaczy, nie chcesz ich tutaj.
- Nie, wcale nie o to mi chodzi – zaprzeczył David niezbyt przekonująco. Nie znosił teściów, o czym Leslie dobrze wiedziała. – Ale tata ma problemy z sercem, a mama zawsze wpada w taką histerię...

– A co miałam im powiedzieć? Chcą tu być i szczerze mówiąc, mają do tego prawo.

– Jak chcesz – David wzruszył ramionami.

– A gdzie ta kawa?

– Tam, na dole, panuje straszny kocioł. Nie dałem rady wyjść z domu.

Patrząc w telewizor – w tej chwili informowano o śniegu – Leslie zapytała:

- Jakież nowe wiadomości?
- Gdyby były, to policja chyba by do nas zadzwoniła, nie uważasz?
- Nie wiadomo. W dzisiejszych czasach rodzina zawsze dowiaduje się na końcu.

W duchu David przyznał Leslie rację. Potem spekulował, czy policja znalazła już ciało

Amy lub ją samą żywą i przeprowadza śledztwo bez podawania go do publicznej wiadomości.

Leslie znowu coś mówiła.

– Co? – zapytał David.

– Czy ty mnie słuchasz? Pytam się, co mamy robić, siedzieć tu w domu, jak więźniowie?

– No, to zejdź na dół i spróbuj – burknął David.

– Chcę kawy albo tu padnę.

– Zjedz coś lepiej. Leslie zapaliła papierosa.

– Co ty robisz?

– Nie widzisz?

– Owszem. Próbujesz się zabić.

Leslie zaciągnęła się głęboko.

– To pomaga mi się zrelaksować.

– Zrelaksujesz się w trumnie.

Leslie zaciągnęła się jeszcze raz i zgasiła papierosa w ceramicznej miseczce stojącej na stoliku.

Usiadła obok Davida i powiedziała:

– Jak myślisz, czy jeszcze ją zobaczymy?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem.

– A jeśli już jej nie ma? Myślałam o tym, zanim zadzwoniłam do mamy. Nie powinnam robić tamtej operacji...

– Przestaniesz?

– Tak, wiem, brzmi to okropnie. Naturalnie, niczego tak nie pragnę jak powrotu Jessiki. Oddałabym za nią życie. Ale jeśli nie wróci, to koniec. Nigdy nie będziemy mieli dzieci i wnuków. Na zawsze już zostaniemy sami.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– A jeśli nie można już nic zmienić? Co, jeśli jestem za stara? Wiele kobiet...

– Powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać.

To był chyba najwspanialszy dzień w życiu Maureen DePino. Rano tak się denerwowała przed randką z Pete'em, że nie mogła w ogóle pracować. Około dziesiątej zadzwoniła do Leslie, sądząc, że to pomoże jej zejść na ziemię, ale Leslie nie miała chyba ochoty na pogaduszki. „Dopiero co weszłam”, powiedziała. Tak niegrzeczna odpowiedź jakoś do niej nie pasowała. Maureen obawiała się, że podczas ich ostatniej wizyty Joey obraził czymś Davida.

Jechała w dół windą na parter, gdzie miała spotkać się z Pete'em. Ostatnie kilka dni to był chyba jakiś sen. Przecież w życiu Maureen DePino jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic dobrego. Niemożliwe, by tak wspaniały, inteligentny mężczyzna jak Pete zainteresował się właśnie nią. Coś z nim nie tak – jest pewnie jakimś dupkiem, który tylko *pozuje* na miłego faceta. Chociaż nie, przecież tak uroczo z nią wtedy rozmawiał. Jeśli więc to nie sen, to w takim razie stała się ofiarą głupiego żartu uknutego przez niewidzialnego wroga. Nie ma mowy, by Pete pojawił się dziś na randce...

Maureen była o tym tak przekonana, że kiedy zobaczyła go stojącego przy kontuarze i trzymającego w ręce jedną czerwoną różę, zaparło jej dech w piersiach. Wyglądał nawet lepiej niż poprzednio – jeśli to w ogóle możliwe. Tam, w szpitalu, większość czasu siedział, a kiedy wstał, była tak zajęta własnymi myślami, że nie przyjrzała mu się uważnie. Pete mierzył ponad metr osiemdziesiąt i miał szerokie, silne ramiona. Wystawał mu brzuszek (Joey nie miał grama tłuszczu), ale tę niewielką nadwagę nosił z gracją. Ciemnoblond włosy zaczesał do tyłu, odsłaniając ogorzałą twarz i jasnoniebieskie oczy, tak jak zapamiętała je Maureen. Gdyby zobaczyła go na ulicy, stwierdziłaby, że jest byłym piłkarzem.

– To dla ciebie.

Maureen stała oszołomiona i dopiero po kilku sekundach dotarły do niej jego słowa. Podziękowała mu niezręcznie. Wyszli na ulicę. Śnieg zaczynał padać coraz mocniej i Pete mówił coś na temat nawałnicy, ale ona prawie nie słuchała. Myślała tylko o jednym – jak wygląda, czy makijaż się nie rozmazał i co powie, kiedy nastąpi milczenie. Wcześniej, jeszcze w biurze, ułożyła sobie w głowie listę tematów, ale teraz wszystko jej uleciało.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– Mówię, że wyglądasz dzisiaj wyjątkowo pięknie.

Maureen aż się zaczerwieniła. Nie była przyzwyczajona do komplementów. Przeraziła się, że Pete zauważy jej rumieniec i zacznie się śmiać. Na szczęście przeszedł do opowieści o czymś, co się zdarzyło w jego pracy. Mogłaby teraz wybuchnąć bomba na środku Wschodniej

Czterdziestej Dziewiątej, a Maureen i tak nie zwróciłyby na to uwagi. Nie istniał dla niej czas. Wydawało się jej, że od momentu, kiedy rzucił to zdanie na temat jej wyglądu, a chwilą, kiedy stanęli przed lodowiskiem przy Rockefeller Center, minęło zaledwie kilkanaście sekund. A faktycznie pokonali w śniegu prawie kilometr.

Udali się do pobliskiej kafejki. Maureen zamówiła dla siebie kanapkę, choć nie była w stanie przełknąć ani kawałka.

Stopniowo zaczęła się rozluźniać i uczestniczyć w rozmowie, nie troszcząc się już o swój wygląd i tematy, jakie może poruszyć. W towarzystwie Pete'a czuła się tak swobodnie, jak jeszcze przy żadnym mężczyźnie. Jakby jadła lunch z dobrym przyjacielem. Co prawda niewiele ich łączyło – Pete pochodził z New Jersey i zrobił magisterkę z biznesu na uniwersytecie Rutgers – ale, jak się okazało, mieli to samo poczucie humoru. Kilka razy Pete tak roześmiał Maureen, że nie mogła złapać oddechu. W ogóle przestała się przejmować wyglądem czy brzmieniem swojego głosu. Z Joey'em nigdy tak dobrze się nie bawiła.

Pete był mężczyzną jej marzeń. Oprócz wspaniałego wyglądu i osobowości, miał też pewność siebie, której brakowało Joey'emu. Trochę przypominał jej Davida, chociaż fizycznie znacznie się różnili. Podobnie jak David, Pete to ktoś, kto zawsze, niezależnie od okoliczności, wspiera swoją żonę i rodzinę, jest zdecydowany i silny. Ze słów Pete'a wynikało też, że dobrze zarabia. Mówił o dwurodzinnym apartamencie, jaki ma w Hoboken, weekendach na wybrzeżu w New Jersey, pracy doradcy finansowego i planach odejścia na emeryturę już w wieku pięćdziesięciu lat.

Za lunch zapłacił złotą kartą. Potem zeszli na dół i przyglądali się łyżwiarzom. Padało już naprawdę mocno, a podmuchy wiatru na Rockefeller Plaza zamiatały śnieg. Jeździło tylko kilka osób. Maureen i Pete obserwowali ich, rozmawiali i śmiali się lub milczeli, rozkoszując się zimową scenerią. Maureen żałowała, że na placu nie stoi już choinka. Zawsze marzyła, by znaleźć się z ukochanym mężczyzną pod gigantycznym drzewkiem. Każdego roku prosiła Joey'ego, by z nią poszedł, a on zawsze odpowiadał: „A co mi po oglądaniu głupiej choinki?“, więc szła sama albo w ogóle.

Pete trzymał ją za rękę. Wydało się to Maureen całkiem naturalne. Chociaż oboje mieli rękawiczki, to czuła przenikające ją ciepło jego dłoni. Spojrzała na zegarek – dochodziła prawie trzynasta trzydzieści. Szef zabije ją za takie spóźnienie. Jednak pragnęła być z Pete'em jak najdłużej. Mimo wszystko nie mogła jednak odegnąć od siebie myśli o Joey'u. Nie chciała już spędzić kolejnego wieczoru na kłótni i powstrzymywaniu go od hazardu. Chce być szczęśliwą żoną, mieć dzieci i takiego dla nich ojca jak Pete.

– Co się stało?

Maureen wciąż patrzyła na łyżwiarzy, obserwując kobietę i mężczyznę trzymających się za ręce.

– Nic – odparła. – To... nieważne.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawisz – powiedział Pete. – Bo ja świetnie.

– Chyba żartujesz? To najcudowniejsze chwile w moim życiu. Aż za cudowne.

– A cóż to ma znaczyć?

– Po prostu... nieważne – jąkała się Maureen. – Nie powinnam nic mówić.

Wysunęła rękę z dłoni Pete'a.

– Co się stało?

– Nic – odparła Maureen.

– No, powiedz – naciskał. – Niech zgadnę. Masz chłopaka.

– To mało. Powinnam uprzedzić cię jeszcze w szpitalu. To nie jakiś tam chłopak. Nie miałam obrączki, ale... nie chciałam kłamać. To znaczy, nie spodziewałam się, że taki facet jak ty mógłby kiedykolwiek... ale wcale nie jestem szczęśliwa, czy coś takiego. Między nami jest naprawdę beznadziejnie. On jest uzależniony od hazardu i nawet nie chce się do tego przyznać. Cały czas tylko się kłócimy. Chciałam już coś z tym zrobić – może nawet go zostawić, nie wiem – i wtedy zjawileś się ty. Przepraszam cię. Sama w to nie wierzę.

Pete przytulił Maureen i zaczął ją całować, a jego język wyczyniał cuda. Ogarnęła ją fala podniecenia. Nikt jeszcze nie całował jej tak namiętnie. Joey miesiącami nawet nie musnął jej w policzek.

Pete odprowadził ją do biura i umówił się z nią na drinka następnego dnia po pracy, po czym złożył na jej ustach długi pocałunek na pożegnanie. Przez cały dzień Maureen na okrągło o nim myślała. Jeden z prawników w kancelarii kazał jej przestać „śnić na jawie” i wziąć się do roboty. Normalnie coś takiego by ją poruszyło, ale dzisiaj praca była dla niej najmniej ważna. I co z tego, że jakiś brzydki, obślizgły prawnik źle ją potraktował? Jest żalonym i nudnym frustratem, który zamęcza innych swoim zgorzknieniem. Życie jest zbyt krótkie, by przejmować się takimi ludźmi.

Pragnęła podzielić się z kimś wrażeniami ze swojej randki. Pomyślała o Leslie, ale nie była ostatnio zbyt rozmowna. Właściwie od dłuższego czasu nie jest sobą. Tamtego wieczoru, na kolacji, wydawała się bardziej wyciszona i nie wyglądała zdrowo. Jeszcze nigdy nie była tak chuda, chyba tylko w wieku szesnastu lat, kiedy cierpiała na anoreksję. Maureen postanowiła zapytać o to Leslie przy następnym spotkaniu, ale bardzo ostrożnie. Jest zamknięta w sobie i nie lubi opowiadać o swoich problemach.

Maureen zazwyczaj szła pieszo z pracy do domu, ale z powodu śniegu postanowiła

wsiąść w autobus, odjeżdżający z Pięćdziesiątej Siódmej. Patrząc przez okno na szalejącą nawałnicę, czuła się, jakby budziła się ze snu. Chyba oszalała, umawiając się na jutro. Pete może być najmiłszym i najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ale to nie zmienia faktu, że ona wciąż pozostaje mężatką i katoliczką. Rozwód to wystarczająco poważne przewinienie, a co dopiero spotkanie się z innym mężczyzną, kiedy pozostaje przecież w związku małżeńskim. Choć Maureen nie czuła wyrzutów sumienia z powodu całowania się z Pete'em, to i tak dopuściła się grzechu. Postanowiła iść w tym tygodniu do kościoła i się wyspowiadać.

Wróciła do domu i zobaczyła Joey'ego rozwalonego w samych slipach na kanapie. Lewą nogę oparł o prawe kolano i dłubał w paznokciach u stopy.

– Kupiłeś jedzenie?

– Nie.

– No, nieźle.

Do diabła z Joey'em DePino, pomyślała. Dość już zmarnowała sobie życia, próbując go zmienić, obwiniając stale siebie i czując się nieszczęśliwą. Zresztą, tak jak mówiła Leslie, skąd wiadomo, co Joey robi, przebywając poza domem? A jeśli te wieczory, kiedy sądziła, że jest na wyścigach, tak naprawdę spędzał z inną kobietą?

Rano następnego dnia Maureen nuciła swoją ulubioną piosenkę – „I think I love you”⁴ Davida Cassidy – sprawdzając makijaż w lusterku puderniczki, kiedy odezwał się Joey:

– Coś taka wesola?

– To ten śnieg. Wszystko wygląda tak odświeżenie.

Joey pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem.

Nowy Jork po przejściu nawałnicy stał się najpiękniejszym miastem na świecie. Śnieg prószył delikatnie, a nieliczne samochody sunęły wolno po pustych ulicach. Oczywiście, nie będzie to trwało wiecznie. Biały puch wkrótce zrobi się brunatny, potem szary i czarny, ale przynajmniej przez tę krótką chwilkę Maureen miała wrażenie, że spaceruje w niebie.

Tym razem, kiedy spotkała się z Pete'em w holu swojego biura w porze lunchu, on trzymał dla niej bukiet co najmniej dwunastu czerwonych, różowych i żółtych róż. Pocałowała go namiętnie, nie zważając, czy zobaczy ją ktoś z pracy lub znajomy Joey'ego.

Na ulicy panowała już bura plucha, jednak Maureen poza Pete'em nie widziała świata. W zasadzie nie to było ważne, ale po piętnastu minutach, kiedy doszli już do Trzydziestej Czwartej, zapytała:

⁴ Chyba Kocham cię.

– No, to gdzie jest ta restauracja, do której idziemy?

– Zobaczysz.

Przeszli kolejne przecznice. Normalnie Maureen już by się zmęczyła i dyszała po takim spacerze, ale nie teraz. Przy Wschodniej Dwudziestej Dziewiątej zatrzymali się przed hotelem Deauville.

– To nie jest restauracja.

Uśmiechając się i patrząc na nią z rozbawieniem tymi oczami Paula Newmana, Pete powiedział:

– Pomyślałem sobie, że obiad zamówimy do pokoju.

Wahała się tylko przez moment. Wspomnienie Joey'ego dłubiącego przy paznokciach u nóg pomogło jej podjąć decyzję.

Pete zarezerwował cichy pokój na tyłach hotelu na całe popołudnie. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, przycisnął Maureen do ściany. Całował ją namiętnie. Jedną dłonią wodził po jej włosach; drugą wsunął pod jej sukienkę. Wyszeptał:

– Powiedz mi, kiedy mam przestać.

Nie powiedziała ani słowa.

Jessica Sussman wiedziała, jak wygląda nagi mężczyzna. Kiedyś weszła przypadkowo do sypialni rodziców i zobaczyła rozbierającego się ojca oraz jego penis – uważała, że to takie śmieszne słowo – który skojarzył się jej z małym różowym grzybkiem rosnącym na kawałku brązowej trawy. W szkole Jessica i jej przyjaciółki cały czas dyskutowały o członkach i seksie. Karen, siostra jej koleżanki Rachel, która chodziła do ósmej klasy, zrobiła to już z Dannym Lipmanem.

Jessice zdrętwiały skrępowane ręce i nogi, a taśma wokół jej oczu była tak mocno ściśnięta, że nawet nie mogła płakać. W ustach jej zaschło, a gardło bolało, jak kiedyś przy zapaleniu migdałków. Gdy ten mężczyzna wyjął jej skarpetkę, by ją nakarmić, ledwo mogła mówić. Poprosiła go o poluzowanie taśmy na oczach. Zgodził się, pod warunkiem, że będzie grzeczna. Kiedy to zrobił, na nowo się rozplakała. Kazał jej przestać i postraszył, że znowu ściśnie jej taśmę i więcej jej nie ulegnie.

Jessica nie przypuszczała, że będzie w stanie usnąć, ale mimo wszystko spała. Śniła się jej największa nawałnica w historii Nowego Jorku, sięgająca drapaczy chmur. Kiedy się obudziła, tamten znów siedział obok niej; zapach spaghetti w jego oddechu napawał ją obrzydzeniem. Pragnęła śnić dalej, ale już nie mogła zasnąć, więc zacisnęła powieki i wyobraziła sobie, że znajduje się w Central Parku i bawi się na śniegu z tatusiem.

Mężczyzna zapytał ją, czy chce dokładkę. Nie zносиła spaghetti, a on karmił ją tylko tym – makaron i pepsi. Mimo to jadła, bo nie chciała zagłodzić się na śmierć. W końcu tatuś i policja go złapią i ukarzą – rodzice przecież ją zapewniali, że nie dopuszczą, by coś złego ją spotkało.

Kwadrans przed czwartą Elaine i Alan Schlossbergowie zjawili się w mieszkaniu Sussmanów. David spał akurat przed telewizorem. Obudził go senny koszmar, będący kombinacją wszystkiego, co się wydarzyło w ciągu ostatniej doby, oraz przenikliwy głos matki Leslie w pokoju gościnnym.

Kiedy David wszedł, Elaine obejmowała Leslie, a Alan siedział na kanapie i otwierał walizkę. Elaine była kręłą, niską kobietą o farbowanych na blond włosach. Alan przewyższał ją nieznacznie, był łysy i wyjątkowo chudy. David uważał swojego teścia za najnudniejszego człowieka na świecie i nigdy nie potrafił nawiązać z nim kontaktu.

– David, jak się masz? – wykrzyknęła Elaine. Podeszła do niego i wycalowała,

zostawiając, jak zwykle, ślad szminki na policzku. – To takie straszne. Jakiś horror.

Alan wstał na chwilę, by podać Davidowi rękę, po czym wrócił do przewracania zawartości walizki. Co chwila wypluwał też śluz na chusteczkę.

Leslie opowiadała rodzicom, że sprawa nic się nie posuwa do przodu, i w końcu się rozplakała. Matka zaczęła ją pocieszać.

– Leslie, jak ty wyglądasz?! – zatroskała się przy okazji, ściskając ramiona i żebra Leslie. – Giniesz w oczach.

– Wcale nie – odparła Leslie.

– Alan, spójrz na nią – Elaine zwróciła się do męża. Czekala, aż Leslie spojrzy jej w oczy. – Ile ważysz?

– Tyle, co zawsze.

– Tyle, co zawsze, akurat. Słyszysz, Alan, jak próbuje to ukryć? Nosi luźne rzeczy, jak wtedy, kiedy miała szesnaście lat. I popatrz na te cienie pod oczami. Znow ma anoreksję.

– Masz anoreksję? – zapytał Alan, nie podnosząc wzroku znad gazety.

– Nie – zaprzeczyła Leslie.

Elaine spojrzała teraz na Davida. – A co z tobą, nic nie widzisz? Może ma z niej zostać szkielet?

– Uważam, że wygląda dobrze – odparł David.

– Dobrze! – oburzyła się Elaine. – Na jakiej planecie ty żyjesz?! Słyszałeś, Alan? Ona jest chora. Jeśli tak dalej pójdzie, skończy w szpitalu.

– Nie jestem małą dziewczynką.

– Co to ma znaczyć? Dla mnie jesteś.

– Jestem dorosłą kobietą i proszę, nie rozmawiajmy już o tym.

– Musisz jeść – rozkazała Elaine. – Ugotuję coś. Chcesz może tost francuski z serem *brie*?

– Nie jestem głodna.

– No, oczywiście.

– Tato, powiedz jej...

– To wszystko twoja wina – Elaine zwróciła się do Davida. – Może gdybyś od czasu do czasu uprawiał seks ze swoją żoną, to zauważyłbyś, jak wygląda.

– Mamo!

– No, co? Składaliście przysięgę małżeńską i mówiliście „póki śmierć nas nie rozłączy”. A to oznaczało „i uprawiać seks, póki śmierć nas nie rozłączy”.

– Mamo, możesz już przestać? Zaraz was stąd wyrzucę. Że też poruszasz ten temat w

takiej chwili!

Nastąpiło krótkie, niezręczne milczenie. Elaine objęła Leslie ramieniem, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Przepraszam, kotku – powiedziała. – Tak się zmartwiłam Jessicą, że nie mogłam przestać myśleć i o tobie. No, chodź, przygotowuję ci coś. Musisz nabrać sił.

Elaine przygotowała francuskie tosty. Przy stole panował ponury nastrój. Leslie i jej matka szlochały, co chwila zapadało długie milczenie. Alan w tym czasie siedział skupiony na swoim jedzeniu. David obserwował, jak kroi wszystko na równe, dwucentymetrowe kwadraciki i zjada kolejno jeden po drugim. Davidowi zdawało się, że przeżuając – z rozmysłem, zamykając oczy – liczy każdy kęs. Sam zaczął automatycznie liczyć i wyszło mu, że Alan gryzł każdy kawałek dwadzieścia sześć razy, zanim przełknął.

Elaine i Leslie sprzątnęły potem talerze, a panowie zostali przy stole. David, pogrążony w myślach, prawie w ogóle nie słuchał, jak teść nawija bez przerwy o nowym basenie budowanym w ich kondominium.

Rozległ się dzwonek do drzwi. David rzucił się, by je otworzyć. To portier informował, że detektyw idzie na górę.

– Po co?

– Chce z panem porozmawiać.

– No, o czym, jak sądzisz? – spytała Leslie, wybiegając z kuchni i wpadając w histerię.

– Myślisz, że to już? Chcą powiedzieć nam...

– Nie mam pojęcia – wykrzyknął David, nie mogąc znowu złapać oddechu. Idą go zaaresztować, to pewne, myślał gorączkowo.

– Módlmy się, by Bóg miał dziś Jessicę w swojej opiece – wygłosiła Elaine.

Wszyscy wyszli detektywowi na spotkanie. Czekanie zdawało się wiecznością, wreszcie rozległo się „brzdęk” i drzwi windy się rozsunęły. Wszedł młody, hiszpańskiego pochodzenia mężczyzna z małym wąsikiem. Wyglądał na trzydzieści parę lat. Pod długim, niebieskim płaszczem miał koszulę, krawat i marynarkę. Pokazał swoją odznakę i przedstawił się jako detektyw Dominguez.

– Co się stało? – pytała Leslie. – Czy moja córka żyje?

– Wejdźmy może do środka i porozmawiajmy – zaproponował Dominguez.

– Proszę powiedzieć mi teraz. Muszę to wiedzieć.

– Czy pani Sussman?

– Tak, to pani Sussman – wtrąciła się Elaine. – Na Boga, niech pan mówi.

– I, jak mniemam, to pan jest David Sussman.

– Tak – odparł David, starając się powstrzymać drżenie. – O co chodzi?

– Pan mi to wyjaśni – odrzekł Dominguez, przyglądając się uważnie Davidowi. Oczy detektywa świdrowały go i przypominały otwory w lufie strzelby, wycelowanej wprost w niego. Potem Dominguez zwrócił się do Leslie: – Przykro mi, nie wiemy nic o pani córce, pani Sussman. Szczerze mówiąc, o niczym nie wiedziałem, zanim tu nie przyszedłem i nie zobaczyłem tych wszystkich reporterów oraz policjantów z posterunku...

– Jak to? – zdziwiła się Elaine.

– Jestem tu w sprawie zabójstwa. Zamordowana to Amy Lee.

Amy Lee? Kto to jest Amy Lee?

– To ona! Ta sama kobieta, prawda?

– Jaka kobieta?

– Amy Lee. Ta, co nie żyje.

– Ale kto to?

– Ta pani pracowała z panem Sussmanem.

– Pracowała? To znaczy, ty z nią *pracowałeś!*

Stopniowo wszystkie głosy zlały się w głowie Davida w jeden wielki harmider.

Leslie płakała. Twarz wykrzywiła się jej w brzydkim grymasie.

– Znałeś ją, tak? To dlatego mnie śledziła. A może coś jeszcze gorszego? Miałeś z nią romans? Czy o to chodzi? Ty sukinsynie! Ty draniu! Wiedziałeś o wszystkim, tak? Tak?!

Kłamanie nie miało już sensu. David powoli skinął głową.

Leslie wybiegła z krzykiem do sypialni. David ruszył za nią, ale Dominguez powstrzymał go ręką.

– Nie tak szybko, proszę pana. Chcę zadać kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Na początek, gdzie był pan wczoraj między piątą piętnaście a siódmą?

– O co, do diabła, panu chodzi?

– Zadałem proste pytanie.

– Byłem w pracy... To znaczy, w drodze z pracy do domu.

– Jest pan pewien?

– A gdzie indziej miałbym się znajdować?

– Może był pan w mieszkaniu ofiary i bił ją patelnią. Ze skutkiem śmiertelnym.

– O Boże! – wykrzyknęła przerażona Elaine. – On ma chyba atak serca!

Alan Schlossberg wyciągniętą ręką trzymał się ściany. Nogi miał jak z waty, a oczy szklily się mu niezdrowo. Elaine rzuciła się na pomoc, a potem zaczęła wrzeszczeć coś o jego „tabletkach na serce” i o „winie Davida”.

David i detektyw Dominguez pomogli Alanowi usadowić się na kanapie. Elaine szukała leków w walizce. Kiedy już było pewne, że Alan doszedł do siebie i nie umrze, Elaine, siedząc obok niego, robiła mu wyrzuty: – Widzisz, jaki głuptas z ciebie. Mówiłam ci, nie zapominaj o tabletkach, a ty zobacz, co sam wyprawiasz. Powinłam cię tak zostawić, byś tu umarł.

– Może przyjdzie pan innym razem – zaproponował David.

– Nie – odparł Dominguez. Trzymał w ręku mały notes. – Pana ostatniego widziano z Amy Lee.

– Doprawdy? – wątpił David.

– Wczoraj wieczorem wyszedł pan z nią z pracy krótko po piątej.

– I co z tego? Nie zabiłem jej, jeśli to pan chce wiedzieć.

– Nie wydał się pan zbyt zaskoczony, kiedy powiedziałem, że została zamordowana.

– Czy ma pan pojęcie, przez co przechodzę w czasie ostatniej doby? Zaginęła moja córka! Nic innego mnie nie obchodzi.

– Proszę go aresztować – zażądała Elaine z kanapy. – Proszę zabrać tego drania.

– Czym wrócił pan do domu wczoraj wieczorem? – wypytywał dalej Dominguez.

David czuł, jak spod pach spływa mu pot.

– A dlaczego pan mnie o to pyta? – odparł. – Prawie jej nie znałem.

– Ale właśnie się pan przyznał, że miał z nią romans.

– Mówię przecież, że nie znałem jej *dobrze*.

– Nie to słyszałem – zauważył Dominguez. – Rozmawiałem z kilkoma osobami z pańskiego biura. Opowiadali mi, że „coś tam” pana łączyło z panią Lee. Z tego, co zrozumiałem, trochę to trwało, ale ostatnio obydwójce mieliście problemy. Eric Henrickson powiedział, że bardzo się pan tym przejmował. Miał pan już dość Amy Lee i jej gadania. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej córki, panie Sussman, ale mam wystarczająco poważne dowody, by pana aresztować w tej chwili. Więc odpowie pan na moje pytania tutaj czy woli pan na komisariacie?

David wziął głęboki oddech i powiedział:

– Wróciłem wczoraj do domu autobusem.

– Zawsze wraca pan autobusem?

– Czasami.

– Dlaczego nie taksówką?

– Z powodu nawałnicy. Czy szukał pan kiedyś taksówki w śródmieściu w czasie burzy?

– Jak długo pan jechał?

– Nie liczyłem.

– Mniej więcej.

– Nie wiem. Czterdzieści pięć minut, godzinę.

– Dlaczego tak długo?

– Czekałem trochę na autobus.

– Więc według tego, co sam pan mi potwierdził wcześniej, wyszedł pan z biura o piątej i jechał tą samą windą co Amy Lee, a potem ona poszła do domu, a pan czekał na autobus?

– Nie wiem dokładnie, o której wyszedłem, ale chyba się zgadza.

– To znaczy, że wrócił pan do domu najpóźniej o szóstej. Zgadza się?

– Nie – zaprzeczył David. – W domu byłem później, około siódmej.

– To gdzie się pan znajdował między szóstą a siódmą?

– W autobusie. Jechałem chyba dłużej, niż mi się zdawało... Ach, tak, poszedłem jeszcze do supermarketu. A raczej *szedłem* do supermarketu przy Lexington, ale śnieg padał tak obficie, że wróciłem do domu.

Dominguez przybrał cyniczny wyraz twarzy.

– Ciało Amy znaleziono około szóstej czterdzieści pięć wieczorem, to tak dla pana wiadomości. Sąsiadka usłyszała krzyk kobiety, a potem, jak to opisała, „donośny odgłos tłuczenia” około piątej czterdzieści pięć i zadzwoniła na policję. To daje panu... przepraszam, to daje zabójcy wystarczająco czasu, by opuścić mieszkanie i dojechać na przedmieścia sporo przed siódmą, nawet jeśli pan, przepraszam, zabójca, jechał metrem.

– Mówiłem już, wczoraj wróciłem prosto do domu.

– A czy mogę porozmawiać z pańską żoną?

– Nie. Co pan sobie wyobraża, kim pan jest? Nie życzę sobie, by niepokoił pan nas tymi duperelami w takim momencie. Nic nie zrobiłem, więc niewiele panu pomogę.

– A mogę rozejrzeć się po mieszkaniu?

– A może się pan stąd wynieść?

– Na pana miejscu nie rozmawiałbym w ten sposób.

– Jeśli chce pan mnie zamknąć, proszę bardzo – odparł David. – Ale nic nie zrobiłem i najwyraźniej nie ma pan na to żadnych dowodów, bo inaczej dawno by mnie pan aresztował. Więc jeśli skończył już pan marnować mój czas i dręczyć moją rodzinę w tak trudnym dla nas momencie, to będę wdzięczny, jeśli pan stąd wyjdzie.

Dominguez uśmiechnął się aż nazbyt uprzejmie i schował notes do kieszeni.

– Chce pan grać ostro, to i my zagramy z panem ostro – ostrzegł. – Wrócę tu, z nakazem rewizji, i w końcu załatwię pana. Do tego czasu radzę zastanowić się, czy nie lepiej przyznać się do winy. Dostanie pan wtedy niższy wyrok.

Leslie zamknęła się w sypialni. Elaine stała pod drzwiami i prosiła, by wyszła. Alan leżał na kanapie, wracając do siebie po bliskim zawale serca.

David siedział przy Alanie. Dyszał, jakby biegł w maratonie. Oprócz uczucia kompletnego wyczerpania od płaczu i bezsenności, dochodził jeszcze ból gardła spowodowany krzykiem na Domingueza.

Zdawał sobie sprawę, że detektyw bynajmniej z nim nie skończył. Zada kolejne pytania, na które będzie jeszcze trudniej odpowiedzieć ze spokojem. Wkrótce znajdą się świadkowie, jak na przykład taksówkarz, który podwiózł ich na Morton Street. Nie musiał ich nawet pamiętać, ale wystarczyło, by przypomniał sobie, że wsiadły i wysiadły dwie osoby. Oczywiście będą też namacalne dowody. Dominguez już wiedział, jakim narzędziem Amy została zabita. Czyli na patelni znaleziono ślady krwi. David musi w takim razie dokładnie obejrzeć swoje ubranie i buty. Ale przecież na miejscu zbrodni mógł zostawić włos, odciski palców lub coś w tym rodzaju. Tego, niestety, nie jest w stanie sprawdzić.

Wszedł do kuchni. Nachylił się nad zlewem i opłukał twarz zimną wodą. Kiedy wycierał się kuchennym ręcznikiem, weszła Elaine i oznajmiła:

– Nie wyjdzie. Jeśli zrobi coś szalonego, na przykład spróbuje wyskoczyć przez okno, to ty będziesz za to odpowiedzialny. Zabiłeś ją, tak jak zabiłeś tamtą kobietę.

– Nikogo nie zabiłem.

– To nie moja sprawa i nic mnie to nie obchodzi. Ale córka tak, więc żądam, abyś trzymał się od niej z daleka.

David usłyszał zgrzyt zamka w sypialni. Popędził przez korytarz i wsunął nogę za próg. Wcisnął się na siłę, zamknął drzwi i przekręcił znowu klucz w zamku.

– Nie zbliżaj się do mnie – ostrzegła Leslie.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – bronił się David. – To się zdarzyło tylko kilka razy. Popełniłem ogromny błąd, rozumiesz?

– Zabiłeś ją?

– Chryste... nie.

David miał nadzieję, że nie zdradza go górna warga.

– Nie zniosę cię już więcej... nie mogę patrzeć na twoją ohydną, kłamliwą twarz.

Leslie chciała już wyjść z pokoju, ale mijając Davida, zatrzymała się, słysząc jego słowa:

– Sądzę, że to ona porwała Jessicę.

– Jesteś tego pewien?

– Znałaś ją. Była niezrównowazona, kompletna wariatka. Cały tydzień mnie

nachodziła i robiła wszystko, żebym cię zostawił.

– Ale już nie żyje. Jak mogła porwać Jessicę, jeśli nie żyje?

– No, ukryła ją przedtem w swoim mieszkaniu.

– Mamy to zasugerować policji?

– Na pewno już przeszukali jej dom.

– Nie wiadomo.

– Dobrze, powiem im. Ale może Jessica jest przetrzymywana gdzie indziej. A co, jakby Amy z kimś współpracowała... z jakimś przyjacielem?

– Z kim?

– Nie mam pojęcia.

– I teraz mi to mówisz?! Wiedziałaś wczoraj, że ta kobieta mogła ją porwać, prawda?

Prawda?!

– Nie, nie przyszło mi to wtedy do głowy.

– A to takie ważne. Czas grał tu rolę. Mogliśmy...

– Przysięgam, Lez, nie wiedziałem. Mówię szczerze, nie wiedziałem.

Leslie zaczęła płakać. David chciał ją przytulić, ale go odepchnęła.

– A kasetą? – zapytała Leslie. – Myślisz, że to ona mi ją przysłała?

– Możliwe.

– Przysłała mi ją, żeby mnie wystraszyć i poniżyć. Jeden Bóg wie, co siedziało w jej głowie.

– Ale teraz już nie żyje. Dlaczego nie żyje? Kto ją zabił?

– Może jej przyjaciel. Pokłócili się o okup lub coś innego. On zabił Amy i zabrał Jessicę w inne miejsce.

Davidowi historyjka wydała się przekonująca. Postanowił wykorzystać ją w trakcie kolejnego przesłuchania przez policję.

– Jeśli zabił Amy, to jest też zdolny zabić Jessicę.

– Nie wiadomo, czy to mężczyzna – odparł David. – Poza tym nie sądzę, by posunął się tak daleko.

– Nie ma takiej pewności. Ta cała Amy była wariatką, więc jej przyjaciel raczej też. Jeżeli Jessica została zamordowana, to wyłącznie przez ciebie. Gdybyś powiedział policji o Amy, podał jej adres, to może znaleźliby Jessicę już wczoraj. Ale teraz jest za późno. Teraz już pewnie nie żyje.

– Przestań, Lez, nie wiesz...

Leslie zaczęła walić Davida pięściami po klatce.

– Nie chcę tego słuchać! Nie chcę tego, cholera, słuchać! Znajdź ją! Znajdź tego przyjaciela! Znajdź Jessicę! I wynoś się z mojego zasranego życia!

19

Joey siedział w McDonalddie na skrzyżowaniu Nostrand Avenue oraz Flatbush i jadł drugiego już Big Maca. Billy spóźniał się pół godziny i Joey wątpił, czy w ogóle się zjawi.

Przy sąsiednim stoliku grupa nastolatków, prawdopodobnie uczniowie liceum Midwood, rozmawiali i śmiali się głośno, robiąc mnóstwo hałasu. Większość z nich była czarna. Joey odniósł wrażenie, że z jakiegoś powodu stał się obiektem ich żartów. Powinien może się przesiąść, ale wtedy okazałby im swoją słabość. Skupił się więc na swoim hamburgerze, tłumacząc sobie, że w obecnych warunkach bójka z bandą szczeniaków jest absolutnie niewskazana.

– Spóźniłem się.

Billy stał przy stoliku Joey’ego i uśmiechał się szeroko.

– Gdzieś ty, do cholery, się podziewał?

– Musiałem porządnie ją tam związać, zanim wyszedłem. Nie chcesz chyba, żeby zwała albo dobrała się do telefonu, nie?

– Dobra, siadaj już – rozkazał Joey. – Mamy mnóstwo roboty.

– Chcesz siedzieć tutaj? – zapytał Billy. – Możemy usiądziemy tam, z tyłu, z dala od tych małych z dżungli.

Billy powiedział to na cały głos. Jeden z nastolatków, ten duży z dreadami, chyba go usłyszał.

– Chcesz, żeby nas zabili? – wyszeptał Joey.

– Co?

– To nie Canarsie czy Howard Beach⁵ – upomniał Billy’ego Joey. – Tu nas się nie boją.

Billy spojrział na Joey’ego jak na wariata i usiadł.

– Nie poznaję cię, DePino – stwierdził. – Życie w mieście zrobiło z ciebie prawdziwą lalę.

W gąszczu zaniedbanej brody uśmiech Billy’ego wyglądał jeszcze bardziej kretyńsko.

– Z czego tak się cieszysz? – burknął Joey.

– Piękny dzień dzisiaj – powiedział. – Śnieg i takie tam. Przypomina mi to moje dzieciństwo. Pamiętasz, jak budowaliśmy fortyfikacje na Albany Avenue i walczyliśmy z dziećmi z Czterdziestej Drugiej na sople lodu, rozwalając im głowy? To były czasy, ech...

– Jesteś gotów zadzwonić? – zapytał Joey z przygnębieniem.

Billy już nie uważał, patrzył tylko w stronę nastolatków.

– Cholera, Billy, nie pora teraz na to...

– Słucham cię, słucham przecież.

– Musimy to przećwiczyć – ciągnął Joey. – Powiesz coś nie tak albo nie zachowasz powagi i spieprzysz całą sprawę.

– Dzwonię i żądam pieniędzy.

– To nie takie proste. Musisz powiedzieć... skupiasz się?... Powiesz tak: „Jeśli chcecie zobaczyć swoją córkę żywą, przynieście trzydzieści tysięcy...”

– Tylko tyle? Myślałem, że zażądamy pięćdziesiąt.

– Przemyślałem to, pięćdziesiąt to za dużo. Nie zdobędą takiej forsy w tak krótkim czasie. No, słuchasz mnie? Mówisz tak: „Jeśli chcecie zobaczyć córkę żywą, przynieście trzydzieści tysięcy w nie oznakowanych banknotach o niskich nominałach na parking przy Kings Plaza na Brooklynie, na najwyższy poziom, róg południowo-wschodni, jutro o ósmej wieczorem. A potem dodasz: „Jeśli pieniądze będą znakowane albo zjawią się gliny, dziewczynka zarobi kulkę w łeb.” Tylko tyle, mówisz tylko tyle i odkładasz słuchawkę. Zapamiętasz?

– Kurwa, tak.

– Napisałem ci to, tak na wszelki wypadek. Przeczytaj, naucz się na pamięć i potem powtórz mi to dziesięć razy. I pod żadnym pozorem nie pozwól, powtarzam, nie pozwól im przerywać. Po prostu przeczytaj i odłóż słuchawkę...

– Przyszło mi coś na myśl – wtrącił Billy. – Co, jeśli, jak to pokazują na filmach, gliny podłączą ich telefon do swojej Unii?

– Jak to, co? Przyjadą do budki na Brooklynie. Poza tym na filmach namierzają cię po dwudziestu sekundach. A ty do tego czasu odłożysz słuchawkę...

– A jeśli filmy to głównie prawda? – wahał się Billy. – Może w rzeczywistości policja namierza telefon od razu?

– Skup się na swojej robocie – odparł Joey. – Nie chcemy żadnych komplikacji. Dziewczynka ma do nich wrócić za dwa dni i koniec.

Billy znów przybrał debilny wyraz twarzy.

– Czego się uśmiechasz?

– Nie uśmiecham się.

– A jak dziewczynka?

⁵ Canarsie i Howard Beach – dzielnice znane z konfliktów między białą a czarną ludnością.

– Dziewczynka? Och, dobrze.

– Lepiej dobrze się nią zajmij – ostrzegł Joey. – Karmisz ją? Ma tam ciepło?

– Daję jej dużo spaghetti.

– Dobrze – powiedział Joey. – Bo zdecydowanie nie chcemy, by coś się jej przytrafiło.

Pamiętaj, to jest córka przyjaciółki mojej żony. Musi wrócić cała i zdrowa.

– Dobra, dbam o nią – powiedział Billy, znów się uśmiechając. Joey przypomniał sobie, jak komentował ładny tyłeczek Jessiki, a potem, jak leżał na tamtej upośledzonej dziewczynie, i jego białe pośladki, kiedy ją posuwał.

– I masz jej nie dotykać – upomniał go Joey.

– Dotykać? – powtórzył Billy. – O czym ty mówisz?

– Nawet ty nie jesteś chyba na tyle głupi, by robić coś takiego, ale radzę ci, nawet o tym nie myśl. Przysięgam na Boga, jeśli dowiem się, że coś się jej stało, to przyjdę do twojego domu i odetnę ci jaja.

– Niezłe – zaśmiał się Billy. – Powinieneś występować w filmach.

– Nie żartuję.

– Ja też. Jesteś lepszy od tego pieprzonego Ala Pacino. Naprawdę boję się ciebie jak cholera.

– Muszę jechać do miasta, zanim Maureen wróci do domu. Przeczytasz mi ten tekst czy nie?

– Tak sobie myślę – odparł Billy. – Kiedy spotkam się z ojcem tej małej przy Kings Plaza, to powinienem coś mieć ze sobą.

– Coś?

– No, wiesz, coś. Pręt albo... pistolet.

– Nie, nie potrzebujesz – orzekł krótko Joey.

– Dlaczego nie? A jeśli jej tatuś okaże się szcwanym lisem i powie, że nie da mi pieniędzy? To jest całkiem możliwe, wiesz. Musi widzieć, że sprawa jest poważna.

– A skąd weźmiesz broń?

– Mam starego colta 45 w szafie, naboje do niego i w ogóle wszystko.

– Żadnych naboji – zdecydował Joey. – Wystarczy sam pistolet. No, to możemy już ćwiczyć?

Billy uśmiechał się idiotycznie.

– Powtórz to może jeszcze najpierw.

– Co powtórzyć?

– No, ten kawałek z Alem Pacino. Jak mi odetniesz jaja.

Leslie i jej rodzice siedzieli przy stole w jadalni, wycierali nosy w papierowe ręczniki i czekali na informacje od policji. David brał prysznic. Kiedy zadzwonił telefon, Leslie rzuciła się go odebrać.

– Halo?

– Pani Sussman?

Ostry, męski głos po drugiej stronie zdradzał twardy, nowojorski akcent, więc Leslie założyła, że dzwoni policjant.

– Tak – odparła, szykując się na najgorsze. Elaine i Alan stali przy niej, nasłuchując.

– Jeśli chcecie zobaczyć córkę żywą, przynieście trzydzieści tysięcy w nie oznakowanych banknotach o niskich nominałach na parking przy Kings Plaza na Brooklynie, na najwyższy poziom...

– Kto mówi?

– Nieważne. Słuchać.

– Ale kto mówi?

– I co? I co? – dopytywała się Elaine.

– Hej, kto tam jest z tobą? – wykrzyknął głos. – Lepiej, żeby to nie były gliny.

– Chcę wiedzieć, kto mówi – upierała się Leslie.

– Powiedziałem, nieważne. Masz mnie słuchać. Jeśli chcecie zobaczyć córkę żywą, przynieście trzydzieści tysięcy w nie oznakowanych banknotach o niskich nominałach na parking przy King Plaza na Brooklynie, na najwyższy poziom... – głos recytował jak trzecioklasista, czytający tekst z kartki.

– Gdzie to jest?

– Co?

– Mówiłeś parking przy Kings Plaza. Co to jest, to Kings Plaza?

– Centrum handlowe. A ty zamknij się.

– Co?

– Nie mówiłem do ciebie.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie jest centrum handlowe na Brooklynie?

– Na Flatbush Avenue, zjazd z Belt Parkway.

David wyszedł z łazienki, owinięty w ręcznik.

– Z kim ona rozmawia?

Elaine i Alan machnęli rękoma, dając Davidowi do zrozumienia, by milczał.

– Słuchaj, ilu tam jest ludzi? – zniecierpliwiał się głos.

– Tylko moja rodzina. Chcę wiedzieć, co z moją córką. Czy nic jej nie jest?

– Lepiej, żeby nie było cholernych glin.

– Nie ma tu policji. Gdzie jest moja córka?

– Nic jej nie jest.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Nie ma jej tu.

– To gdzie jest?

– Mogę skończyć? Cholera, zgubiłem się. A, tak, przynieście trzydzieści tysięcy w nie oznakowanych banknotach o niskich nominałach na parking przy Kings Plaza na Brooklynie, najwyższy poziom...

– Skąd mam wziąć trzydzieści tysięcy w gotówce?

– Kto to? – był to głos Davida. Podniósł słuchawkę w sypialni.

– Kto to? – odpowiedział głos.

– David Sussman, a ty?

– Niech cię, kurwa, nie obchodzi, kto. No. A teraz daj mi skończyć. Trzydzieści tysięcy w nie oznakowanych banknotach o niskich nominałach na parking przy Kings Plaza na Brooklynie, najwyższy poziom, róg południowo-wschodni, jutro o ósmej wieczorem. Jeśli pieniądze będą oznakowane albo zjawią się gliny, to dziewczynka zarobi kulkę w łeb.

– Wiem, kim jesteś – powiedział David.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza – ale mężczyzna się nie rozłączył.

– Bzdura – odezwał się w końcu.

– Wcale nie, widziałem cię – mówił David. – Wiem, kim jesteś. I jeśli nie oddasz mi natychmiast córki, powiem policji...

– Gówno prawda – przerwał mu głos. – Gówno prawda. Gówno, kurwa, prawda.

– Ani się waż skrzywdzić moją córkę.

Nastąpiło kliknięcie.

– Halo? – powiedział David.

– Halo! – wrzasnęła Leslie.

Leslie wylała już tyle łez, że aż kręciło się jej w głowie. To tak, jakby ktoś ją bił, bardzo mocno, aż do utraty przytomności. David coś mówił:

– ...to zbyt ryzykowne. Nie wiemy, do czego facet jest zdolny.

– Ale policja wie, co robić w takich sytuacjach – twierdziła Elaine. – Są profesjonalistami.

– Żadnej policji – odparł David. – Mówimy tu o mojej córce.

– Jest też moją wnuczką.
– A chcesz iść na jej pogrzeb?
– Przestańcie – wykrzyknęła Leslie, zatykając uszy. – Przestańcie. Wszyscy doprowadzacie mnie do szału!

David odczekał kilka sekund, po czym powiedział:

– Racja. Nie panikujmy od razu.
– Chcę tylko wiedzieć, kim jest ten facet – powiedział Alan.
– Jakiś maniak. Bo kto – stwierdziła Elaine.
– Albo przyjaciel Amy – powiedział David.
– Amy? – powtórzyła Elaine.
– Tej kobiety, którą zamordowano.
– A po co przyjaciel tej kobiety porywałby małą Jessicę?
– To długa historia – David spojrzał na Leslie. – Nie warto teraz jej opowiadać. Najważniejsze, by zdobyć pieniądze i odzyskać Jessicę.

– Jeszcze jedna osoba jest w to zamieszana – zauważyła Leslie.
– Skąd wiesz? – zapytał David.
– Zwracał się do kogoś, kiedy z nim rozmawiałam. Mówił: „A ty zamknij się”, ale nie do mnie. Ktoś mu towarzyszył.

– Jeśli jest drugi porywacz, to wzywanie policji staje się tym bardziej niebezpieczne – zmartwił się David. – Tamten będzie trzymał Jessicę, żeby upewnić się, czy nie zjawily się gliny.

– Musimy zapłacić te pieniądze, nie mamy wyjścia – postanowiła Leslie. – Należy skończyć z tym koszmarem.

– Mam na koncie w Citibanku dwanaście tysięcy – powiedział David.
– Od kiedy?
– Odkładałem na czarną godzinę.
– A skąd weźmiemy resztę pieniędzy?
– Sprzedaj trochę akcji.
– Można to szybko załatwić?
– Zrobimy, co w naszej mocy.
– Ale nadal uważam, że należy o wszystkim powiadomić policję.
– Żadnej policji – powtórzył David. – Chcę to sam załatwić.

Kiedy Maureen dowiedziała się od Leslie o porwaniu Jessiki, potraktowała to jako znak od Boga. Leslie radziła Maureen znaleźć sobie kogoś, a ponieważ Maureen zrobiła coś jeszcze gorszego, to Bóg pokarał za to Leslie.

A kiedy przyjaciółka opowiedziała o innych strasznych rzeczach w jej życiu, Maureen tylko utwierdziła się w swoim przekonaniu. Postanowiła, że nieważne, jak wspaniałym facetem jest Pete i jak świetny jest w łóżku – jednego popołudnia miała trzy orgazmy; więcej niż w całym okresie małżeństwa z Joey'em – to już więcej się z nim nie zobaczy. Joey jest wciąż jej mężem i jeśli dalej będzie go zdradzać, Bóg każe im wszystkim za to zapłacić.

Maureen odłożyła słuchawkę i poszła do salonu, by opowiedzieć o wszystkim Joey'emu. Siedział na brzegu kanapy i oglądał mecz koszykówki.

– Właśnie dostałam okropną wiadomość – powiedziała i rozplakała się.

– Dalej, Ewing, ty niezdaro!

– Słyszałeś, co mówiłam? Dzwoniła Leslie... Jessica została porwana.

Joey wciąż patrzył w telewizor, ale Maureen wiedziała, że słucha.

– Tak? – rzucił.

– Rozmawiasz ze mną?

– Oglądam teraz mecz.

– A ja powiedziałam, że Jessica została porwana. Ich córeczka, Jessica.

– Jak to, porwana?

– Tylko tyle się dowiedziałam. To się stało przed jej szkołą.

– Znaleźli ją?

– Jeszcze nie. Leslie była strasznie zdenerwowana. Nie mówiła mi wiele.

– Jezu – skwitował Joey.

– Przyjechała już policja... podobno mówiono o tym w wiadomościach. Nie mogę w to uwierzyć.

– Znajdą ją – uspokajał Joey.

– Skąd wiesz?

– Bo policja jest dobra w szukaniu dzieci – wyjaśnił Joey, patrząc w telewizor. – Wiesz, jak to jest. Zawsze podają, że zaginęło dziecko, a potem je odnajdują.

– Obyś miał rację – rzekła Maureen. – Strasznie współczuję Leslie. Ostatnio przechodziła przez bardzo trudny okres. Powiedziała mi jeszcze o czymś... odkryła coś okropnego o Davidzie. Zdradzał ją.

– O tym akurat wiedziałem – odparł Joey.

– Od kiedy?

– David opowiedział mi wszystko, kiedy u nich byliśmy.

– To dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Bo zaraz byś to wypaplała Leslie.

– Straszne, prawda? – Maureen wróciła do tematu. – Zawsze uważałam Davida za wiernego męża. Ale to nie wszystko. Posłuchaj tego: Ta kobieta została zamordowana.

Teraz Joey odwrócił wzrok od telewizora.

– Co to znaczy, zamordowana?

– No, tak mi mówiła Leslie. Ktoś włamał się do jej mieszkania, czy coś w tym rodzaju, i zabił ją. Policja przesłuchiwała Davida. Wyobrażasz sobie ten koszmar? W dzień, w którym dowiedział się o porwaniu córki?

– A mnie się zdawało, że tylko ja mam pecha.

– A co David ci mówił dokładnie tamtego wieczoru?

– Że kręci z jakąś chińską laleczką w biurze.

– A co ty na to?

– No, że to źle tak oszukiwać. Mógł pomyśleć o żonie i dziecku. Maureen wbiła wzrok w ziemię.

– Rzucaj! Rzucaj! – wrzasnął Joey.

– Joey.

– Co?

– Muszę ci coś wyznać.

– Nie teraz, leci czwarta kwarta.

– To ważne.

– Nie może poczekać?

– Chcę, żebyś wiedział, ile dla mnie znaczysz... Co prawda ostatnio ciągle się kłóciliśmy i w ogóle... Jednak nadal cię kocham.

Joey spojrzał na Maureen. – Dobrze się czujesz?

– A ty mnie też kochasz?

– Możesz już przestać tak się zachowywać i to tylko dlatego, że Leslie i David przeżywają dramat?

– Powinniśmy pójść do nich jutro.

– A po jaką cholere?

– Wesprzeć ich.

- Dalej, Starks! Nie jest to dobry pomysł, tak uważam.
 - Dlaczego?
 - Dlatego.
 - Dlaczego nie?
 - Bo nie należymy do ich rodziny.
 - Leslie jest prawie taką moją rodziną, a przynajmniej kimś najbliższym. Trzeba tam iść i chęć, żebyśmy poszli tam razem.
- Joey ziewnął, gapiąc się w telewizor.
- Jak chcesz – odparł.

Joey nie mógł odmówić – byłoby mocno podejrzane, gdyby się za bardzo wykręcał, a nie chciał dawać Maureen za dużo do myślenia, bo ostatnio jakoś tak dziwnie się zachowuje, jest super miła i w ogóle. Joey przypuszczał, że to z powodu jej współczucia dla Leslie, ale coś jednak się musi kryć za tą zmiennością jej nastrojów. Jak już wszystko się skończy – odbierze okup i spłaci Carlosa, Franka i wszystkich pozostałych – odłoży trochę kasy dla Maureen na psychiatrę. Dostanie jakieś tabletki czy co innego.

Kiedy stanęli przed domem Sussmanów, Joey'ego zaskoczyła ilość reporterów i kamer. I to z powodu tylko jednego porwania. Na pewno przyczyniła się do tego też sprawa z tą Chinką.

W mieszkaniu Sussmanów panował iście grobowy nastrój. Z Florydy przybyli rodzice Leslie – Maureen nic nie wspomniała na ten temat – którzy siedzieli z Leslie na kanapie, płakali i trzymali się za ręce. Maureen usiadła tam zaraz z nimi, ocierając łzy, jakby wprowadzono jej własną córkę. Po wypowiedzeniu banalnej formułki: „Tak mi przykro z powodu waszej córeczki”, Joey zajął miejsce na krześle w rogu pokoju. Zastanawiał się, gdzie w tej chwili jest David. O to samo zresztą Maureen zapytała Leslie.

Cichym głosem, niemal szeptem, Leslie odparła:

- Poszedł do banku po pieniądze na okup.
- Pieniądze na okup? – powtórzyła Maureen. – Nic mi nie wspominałaś o okupie.

Leslie opowiedziała o telefonie z żądaniem pieniędzy, co specjalnie nie zainteresowało Joey'ego do momentu, kiedy zaznaczyła, że „postąpią, jak im ten facet kazał” i „nie powiadomią policji”. Cóż, przynajmniej jedna rzecz się powiodła – pomyślał Joey – może ten cały bałagan jednak zakończy się szczęśliwie.

Po kilku minutach zjawił się David. Był nieogolony i zmęczony, miał worki pod

oczami i wyglądał tak, jakby przed chwilą stoczył dwunastorundową walkę bokerską. Od ostatniego spotkania postarzał się o dziesięć lat. Jednak Joey'ego najbardziej interesowała walizka, którą trzymał. Czyli poszedł jednak do banku i wypłacił przynajmniej część kasy.

Maureen mówiła Davidowi same frazesy, które Joey mógł powtarzać równo z nią – jest im strasznie przykro” i „takie to straszne”. Następnie David podszedł i usiadł obok Joey'ego. No, będzie tak, jak tamtego wieczoru.

– Coś niesamowitego, brachu – zaczął David. – Budzę się rano i pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to: „Nie do wiary, że siedzę w takim gównie.”

I znowu wyjeżdża z tym „brachu” i „gównem”, pomyślał Joey.

– Dać ci radę? – rzucił głośno. – Rób, co ci każe. Zanieś mu forszę i czym prędzej uciekaj.

– A wiesz ty co? – odparł David. – Dowiem się, kim są ci skurwiele, i przysięgam na Boga, dopadnę ich i zabiję. Nie wiem jak, ale przysięgam, że to zrobię.

Joey zauważył u Davida coś, co przypominało mu Billy'ego. Maureen opowiadała Joey'emu, że zdaniem policji ta Chinka została zabita patelnią. David w mieszkaniu tej kobiety i bijący ją jak szaleniec – o dziwo, Joey'emu nietrudno było to sobie teraz wyobrazić.

– Gadasz jak ten, jak mu tam, Charles Bronson – skomentował Joey.

– Clint Eastwood – poprawił go David całkiem serio. – Zrozumiałbyś, gdybyś miał córkę. Nic gorszego nie może się już przytrafić człowiekowi.

– Nie odgrywaj tu bohatera – stwierdził Joey. – Zrób, co ci ten facet każe.

– Chyba jest ich dwóch.

– Jak to?

– Kiedy tamten dzwonił wczoraj, Leslie odniosła wrażenie, że było ich dwóch.

– Nieważne – zbagatelizował sprawę Joey. – Ci faceci na pewno nie chcą zrobić małej krzywdy. Po prostu dostaną forszę i znikną.

Wszyscy zebrani w pokoju zamilkli i przysłuchiwali się rozmowie Davida i Joey'ego.

– Mam pomysł – Maureen zwróciła się do Joey'ego. – Ty powinieneś iść tam z Davidem.

– Och, to świetny pomysł – zachwyciła się matka Leslie.

– Nie, nie sądzę – zaprzeczył Joey, próbując nie zważać na nagły, ostry ból w żołądku.

– On ma rację – stwierdził David. – Sukinsyn może wpaść w panikę i wziąć Joey'ego za policjanta.

– Ja tak się boję – wyszlochała Leslie.

– Dam sobie radę – uspokajał ją David. – Ale powiem ci jedną rzecz. Dobrze się

przyjrę draniowi i pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, pewnego dnia, nie od razu, znajdę go razem z jego kumplem, a wtedy nie wiem, co zrobię, ale obydwaj zapłacą za ten koszmar, przez jaki wszyscy musieliśmy przejść.

Kiedy rozmowa zesłała na temat Jessiki, Joey zaczął się martwić o wiele rzeczy, ale przede wszystkim o Billy'ego. Idiota nie potrafi nawet wykonać poprawnie telefonu, a co dopiero z odbiorem okupu? Joey chciał nawet wszystko odwołać, ale było już za późno. Zostały mu tylko dwa dni do ostatecznego terminu, jaki dał mu Carlos. Szwy na policzku też zaraz straszliwie go rozboleły, kiedy przypomniał sobie, jak leżał na chodniku w nocy z przyłożonym do gardła nożem, a dwie pary nóg na zmianę kopały jego głowę jak piłkę nożną. Wszystko wymknęło się spod kontroli i Joey'ego trawiło niemiłe przeczucie, że teraz może być tylko gorzej.

W przenikliwym zimnie Billy DiStefano, z kominiarką na twarzy, siedział w swoim lesabre w rogu na najwyższym poziomie parkingu przy Kings Plaza i masował wielkie wybrzuszenie w dżinsach. Nigdy nie rozumiał problemów innych facetów ze wzvodem. Nawet teraz, przy minus dziesięciu stopniach, jego członek był twardy jak stalowy pręt.

Denerwował się tak, że odpiął pasek, potem zamek w spodniach od Calvina Kleina i zaczął się głaskać. Szybko nastąpił wytrysk. Wytarł dłoń o bluzę. Wreszcie rozładował napięcie.

Był ciekaw, jak wygląda David Sussman. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał ósmą, więc chyba nadszedł już czas na spotkanie. A nie o ósmej trzydzieści? Cholera, nie jest już pewien, a Joey kazał mu wyrzucić tę przeklętą kartkę. Kiedy odłożył słuchawkę telefonu przed McDonaldem, nawrzeszczał jeszcze na niego, że „za dużo gadał”. Billy zaczynał już mieć dość Joey'ego. Taki teraz z niego panicz z miasta. I bez przerwy wszystko powtarza – nie rób tego, nie rób tamtego, nie mów tak głośno przy małpach z dżungli. No co, czy Billy jest głupi jakiś? Fakt, trochę go przetrąciło po wypadku, ale ci z boiska co niedzielę gorzej obrywają w łeb, a nikt ich nie traktuje jak jakichś upośledzonych, no nie?

Czasami Billy'emu zdawało się, że wszyscy wokół niego to czubki.

Pod górkę wjeżdżał samochód. Zwolnił przy aucie Billy'ego, a potem skierował się na drugi koniec parkingu. Oby Joey się nie mylił i facet nie zadzwonił po gliny. Billy nie rozumiał, dlaczego Joey jest taki pewien wszystkiego, jakby był zawodowym przestępcą czy kimś takim. Dobrze, że Billy uzmysłowił mu pewne rzeczy. Joey też jest w tym umoczony. O dziwo, nawet nie wymiękł, tak jak wtedy, kiedy nie chciał posunąć tej, jak jej tam, z innymi

kumplami ze sklepu z farbami. Właściwie dlaczego Joey wrabia się w taką hecę? No tak, ten cały hazard musi jednak nieźle wciągać. Joey chyba wpadł na jakieś dziesięć, dwadzieścia patoli. Co za degenerat. Już od drugiej klasy chodził w każdą sobotę i niedzielę na wyścigi ze swoim starym. Stary kipnął, kiedy Joey był w szkole średniej, no i chłopak zaczął wagarować tylko po to, żeby chodzić na wyścigi. A nocami wałęsał się po OTB przy Kings Highway z innymi typami. W wieku szesnastu lat stał się starcem.

Billy był już zmęczony tymi rozmyślaniami. Zarozumialec Joey ciągle powtarzał: „Masz nie tykać tej dziewczynki”, a tymczasem sam jest zboczony. Nic złego w małym cykaniu i zabawie. Kobiety są stworzone do ruchania, po prostu. Nieważne, ile mają lat, byle miały cipkę. Na przykład ta irlandzka lala, którą poznał w zeszłym roku. Podobno skończyła jedenaście lat, ale Billy wiedział, że była młodsza, bo jeszcze nie wyrosły jej włoski. Ale okazała się prawdziwym dynamitem – najlepsze bzykanie, jakie Billy pamięta. Nie istnieją więc żadne reguły, jak się wydaje większości ludzi – nie ma co się przejmować gadaniem innych.

Billy ujrzał zbliżające się światła. Sukinsyn, nie wyłączył długich. Przesłonił twarz ręką, ale reflektory raziły mu oczy. Potem zgasły. Billy zaczął widzieć dopiero po kilku sekundach. Dojrzał czarnego albo granatowego mercedesa, ostatni model, pewnie kosztował ze czterdzieści tysięcy. Wsiadł z niego wysoki facecik. Joey mówił, że ojciec dziewczynki to wymoczek, ale Billy nie spodziewał się aż takiego pedała. No nie, gość wystroił się w czarny płaszcz, koszulę i krawat. Billy przypomniał sobie jego żonę z blond włosami i niezłą figurą, która paliła papierosa, idąc ulicą ze swoją córką. Taka babka związała się z tym gogusiem tylko z jednego powodu – pieniędzy. A już zdecydowanie nie dla jego kutasa ani sposobu, w jaki go jej wkłada.

Wymoczek miał w ręku brązową walizkę. Przystanął w samym środku kałuży jakieś dziesięć metrów przed autem Billy'ego. Ze schowka Billy wyjął swojego starego colta 45 i wetknął go za pas.

David nie wyłączał długich świateł, próbując dojrzeć, czy Jessica siedzi w samochodzie. Ale widział tylko jakiegoś faceta w kominiarce.

Wyłączył reflektory, wziął walizkę pełną pieniędzy i wysiadł. Poczul na plecach ostry, przenikliwy wiatr, który pchał go do przodu. Na obrzeżach parkingu i za samochodem faceta leżały zwały śniegu, a ziemię pokrywał śliski lód. Kiedy David stanął, tamten w samochodzie sięgnął po coś z prawej strony, otworzył drzwi od strony kierowcy i wysiadł.

– Gdzie jest moja córka? – wycedził David.

Czuł się jak w filmie – Clint Eastwood gotowy rozwalić swojego przeciwnika. Jedyne szkopuł, że David nie miał broni i nie był Clintem Eastwoodem.

– Po kolei – odezwał się ten w kominiarce. – Dawaj mi pieniądze. Podrzucę twoją córkę do metra dziś wieczorem.

David rozpoznał jego głos. To ten sam, który dzwonił wczoraj wieczorem. Mówił z twardym, brooklyńskim akcentem.

– Nie dostaniesz żadnych pieniędzy, dopóki nie zobaczę córki – powiedział David, odgrywając wciąż Eastwooda. – Gadaj, gdzie ona jest?

– Hola, hola, powoli – zachnął się tamten. – To ja stawiam tu warunki, nie ty. Nie zgrywaj głupiego fiuta. Postaw walizkę i spadaj.

– Jest w samochodzie? Jessica!

– A ty co, jesteś popierdolonym czarnuchem? – wściekł się ten w kominiarce. – Będziesz tak wrzeszczał, to już nigdy nie zobaczysz córki żywej.

– Słuchaj, ty chuju... – rzucił David.

– Jak ty mnie nazwałeś?

– Daję ci trzy sekundy i masz mi powiedzieć, gdzie jest moje dziecko.

– Bo co? Zamienisz się w dynię? – typas śmiał się ze swojego dowcipu przez jakiś czas i nagle przestał, wyjmując pistolet. – Stawiaj tu walizkę, no już, albo cię rozwalę.

David zaczął się trząść. Żaden z niego Clint Eastwood – ani trochę – i nie chce umierać tu, na parkingu. Instynkt kazał mu rzucić walizkę i robić, co mu mężczyzna kazał. Potem pomyślał o Jessice. Facet jest psychiczny i zamiast ją wypuścić, jeszcze ją zabije.

W następnej chwili David uciekał do samochodu. Poślizgnął się na lodzie, stracił równowagę i upadł. W tym momencie usłyszał trzy następujące po sobie strzały i poczuł nagły przeszywający ból w lewym biodrze oraz równie silny w dolnej partii kręgosłupa. Teraz dotarło do niego: został postrzelony. Przypomniał sobie walizkę i próbował ją sięgnąć, ale przeciwnik go uprzedził. David z trudem wstał na nogi i wtoczył się do swojego mercedesa. Nie pamiętał, jak włączył silnik. Porywacz już odjeżdżał. David dodał gazu, rozwalając tamtemu prawie cały przód. Zobaczył, jak samochód obraca się wokół własnej osi i wpada na zaspę śnieżną. Rozległ się przeciągły ryk klaksonu. Wszystko wokół utonęło w bieli.

Leslie wpadła na oddział intensywnej terapii miejskiego szpitala. Czekał tam już detektyw Dominguez.

- Musimy porozmawiać – zwrócił się do Leslie.
- Nie teraz. Muszę najpierw zobaczyć się z mężem.
- Zgoda. Proszę tylko nie uciekać jakimś bocznym wyjściem.

Zaraz po otrzymaniu wiadomości o wypadku, Leslie pospieszyła taksówką do szpitala. Wiedziała tylko to, co powiedziano jej przez telefon: David został postrzelony i jest w ciężkim, ale stabilnym stanie.

Pielęgniarka opatrująca rany poinformowała, że chory już się obudził i jest przytomny. Leslie nie miała ochoty rozmawiać w tej chwili z detektywem, więc zamiast wycofać się do poczekalni, zajęła miejsce na krześle w kącie. Po paru minutach wszedł wysoki lekarz o siwych, gładko zaczesanych włosach i zapytał Leslie, czy jest żoną pacjenta. Następnie oznajmił:

– Pani mąż miał wyjątkowe szczęście. Jedna z kul minęła rdzeń kręgowy zaledwie o kilka centymetrów. Druga przeszła przez biodro. I prawdopodobnie konieczna będzie operacja. Natomiast trzecia trafiła w nerkę. Niestety, była w fatalnym stanie i musieliśmy ją usunąć. Chociaż mam dobrą wiadomość – druga nerka pracuje prawidłowo. Przez kilka tygodni pani mąż będzie na dializie, ale wyjdzie z tego.

Leslie wolno kiwała głową i wycisnęła parę łez. Lekarz przeprosił i wyszedł.

Zjawiła się w szpitalu tak szybko tylko z jednego powodu: chciała dowiedzieć się, czy David zna miejsce, gdzie porywacze przetrzymują Jessicę. Nie życzyła mu śmierci, ale też z satysfakcją myślała o jego fizycznym cierpieniu. Zasługuje na ból po tym, co jej zrobił. Dotarło do niej, że Amy nie była pierwszą kobietą, z którą David ją zdradził. Czuła się jak idiotka – całe te lata to ona niezasłużenie przeżywała tortury i brała całą winę na siebie. A teraz jeszcze może stracić jedyny słodki owoc tego fatalnego małżeństwa – Jessicę.

W końcu pielęgniarka pozwoliła jej porozmawiać z Davidem, z zastrzeżeniem, że jest jeszcze słaby i nie należy go nadmiernie męczyć. Leslie bez współczucia patrzyła na grube bandaże wokół brzucha oraz na rurki podłączone do całego ciała. Oczy miał zamknięte.

Powoli otworzył powieki.

- Cześć – rzekł otępiałym głosem.
- Mam sobie iść?
- Nie – David wyciągnął rękę w stronę Leslie. Zawahała się – kusilo ją, by wyrwać mu

te wszystkie rurki i obserwować, jak umiera w męczarniach – ale ostatecznie ujęła go lekko za dłoń. David uśmiechnął się.

– Teraz czuję się jak nowo narodzony.

– Co z Jessiką? – zapytała Leslie. – Widziałeś ją?

– Nie – odparł David łamiącym się głosem. – Bałem się, że ją zabije, więc wolałem uciec. Chyba zabrał pieniądze.

– Mam powiadomić policję?

– Raczej tak – zgodził się David. Mówił coraz ciszej. – I nie spisałem tego cholernego numeru rejestracyjnego. A przynajmniej nie pamiętam, bym to robił. Ale to pewnie bez znaczenia, co?

– Był tam tylko jeden facet?

David kiwnął głową.

– A jego samochód?

– Niebieski. Chyba go przytarłem.

Leslie domyślała się, że dlatego policja zatrzymała ich mercedesa jako dowód w sprawie.

– To i tak nieistotne. Na pewno gdzieś go upłynnił – rzekła.

– Muszę... – zaczął wolno David. – Muszę ci coś wyznać.

Na pewno chciał ją przeproszać, a nie miała najmniejszej ochoty tego słuchać.

– To teraz nieważne.

– Muszę – upierał się David, ściskając mocniej jej rękę. – Chodzi o to wszystko, co się wydarzyło. Chciałbym wiedzieć, bardzo mi na tym zależy... To znaczy, gdybym mógł teraz coś zrobić... Wiesz, co czuję...

– Odpocznij – Leslie urwała rozmowę. – Rodzice się mną zajmą.

– Kocham cię.

Leslie nie odpowiedziała. Uwolniła rękę, musnęła czoło Davida i wyszła, nie oglądając się za siebie. Była zła za swoją uległość. Nie kocha go. Patrząc na niego, leżącego, nie mogła przestać myśleć o Amy Lee, tej suce, przykucniętej przed nim tyłem i udającej orgazm jak jakaś tania kurewka.

Mroczna część duszy podpowiadała, by zemścić się na Davidzie. Kłamca jeden. Dobrze widziała – kłamie nawet na szpitalnym łóżku. Nie do wiary, zmarnowała dla kogoś takiego całe osiemnaście lat.

Czyjaś dłoń poklepała Leslie po ramieniu. Dominguez.

– Może pójdziemy na kawę? – zaproponował.

Popatrz na to w ten sposób – klarował Joey. – Mamy forszę, a przynajmniej jej część, więc musimy oddać małą. I tyle.

Joey siedział z Billym w małym bistro z chińskim jedzeniem przy OTB na Wschodniej Szesnastej na Brooklynie. Kiedy dowiedział się z telewizji, że David Sussman został postrzelony, pomyślał sobie, że to już koniec – resztę życia spędzi w celi o wymiarach cztery na dwa. Nigdy już nie będzie mógł postawić pieniędzy, co najwyżej paczkę papierosów. Jednak, jak się wkrótce okazało, sprawy zaczęły przybierać coraz lepszy obrót. Od Maureen dowiedział się, że David jednak przeżyje, a kiedy zadzwonił do Billy'ego, ten mu powiedział o otrzymaniu większości pieniędzy. Czyli w sumie Billy spieprzył sprawę w niewielkim stopniu, strzelając do Davida. Zakładając, że gliny go nie złapią, Joey wreszcie spłaci większość swoich długów. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, to może zdąży obstać jeszcze rozgrywki NCAA.

Trzeba tylko powstrzymać Billy'ego przed żądaniem większej sumy, tak aby Joey'emu starczyło na obstawienie ostatniego wyścigu na Akwedukcie. Miał już upatrzonego konia, na którego musi postawić.

Billy jednak wciąż potrzasał przecząco głową. Miał podrapane czoło i spuchnięte wargi.

– Ten pedał prawie zmiażdżył mi samochód, a do tego przyniósł o osiemnaście patoli mniej. O nie, brachu, nie. Żądam osiemnaście tysiaków *plus* dziesięć *plus* odszkodowanie za samochód albo nie wypuszczę małej.

– Nie rób z siebie idioty – uspokajał go Joey. – Zdaję sobie sprawę, jak ci trudno, ale spróbuj. Mieliśmy szczęście. Facet mógł zobaczyć twoje numery i policja już by cię aresztowała, a tak się nie stało... Ej, słuchasz mnie? Nie możemy zrobić głupstwa. Puść tę dziewczynkę. Wysadź ją przy Belt Parkway, czy gdzie chcesz. Ktoś ją znajdzie. Mamy sześć tysiaków na łebka, czyli dwanaście więcej, niż mieliśmy jeszcze dwa dni temu.

– A wiesz, ile będzie mnie kosztowała naprawa samochodu? – denerwował się Billy. – Pytam cię, wiesz ile? Prząd jest porysowany i nawet jeśli dam go zrobić, to nie będę mógł jeździć, dopóki nie dostanę nowych tablic. Więc trzeba będzie na ten czas kupić nowy samochód, a nawet używany kosztuje parę tysięcy. I co mi zostaje, tysiąc dolców? I za co? Za nadstawianie tyłka i strzelanie do gościa tylko po to, żebyś spłacił swoje gówniane długi? Wybacz, ale pieprz się z tą kasą.

– Więc co zamierzasz? – zniecierpliwił się Joey. Zegar za Billym mówił mu, że konie w ósmym wyścigu już pewnie są na starcie.

– Zadzwoń do niej – rzucił Billy. – Znaczy się, do żony tego pedała i powiedz, że żądamy dwudziestu tysięcy.

– Żądamy?

– Dobra, żądam, nieważne. Plus pięć tysięcy za mój samochód.

– A jeśli odmówi?

– No to nie wiem, kurwa. Wiem tylko, że potrzebuję forsy i auta. Jeżdżę wozem od kiedy skończyłem szesnaście lat i ani mi się śni poruszać jakimiś pierdolonymi autobusami. Nie jestem starą babą.

Patrząc Billy’emu prosto w oczy, Joey przemówił:

– Powiem ci wprost, bez ogródek. Coś ci się popieprzyło we łbie po tym wypadku i nie myślisz. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo jesteś zakręcony. Ale przyjmij to do wiadomości, bo wiem, co mówię. Teraz pozostaje nam tylko jedno – zapomnieć o całej sprawie. Oddaj dziewczynkę i udawaj, że nic się nie stało.

– To ja mam lepszy pomysł – odparł Billy. – Oddaj mi swoje sześć tysięcy. Kupię sobie nowy samochód.

Joey dostał już od Billy’ego swoją działkę, którą skwapliwie schował do niebieskiego plecaka. Pięć tysięcy pójdzie do Franka i Carlosa. Tysiąc na rachunki, czynsz i kilka wieczorów na Meadowlands.

– Wiesz, że nie zrobię tego.

– To wyjaśnij mi coś – Billy zaczął podnosić głos. – Czy tylko dlatego, że jesteś zdegenerowanym hazardzistą, ja mam być idiotą, który będzie jeździł autobusami, jak jakiś czarnuch, co?

– Nigdy tak nie mówiłem. I nie drzyj się tak, dobra?

– No co? – krzyknął Billy głośno, aż Chińczyk za ladą spojrzął w ich stronę. – Powiedziałem czarnuch, nie żółtek – zwrócił się do Chińczyka. – W każdym razie widzę to tak. To ja wziąłem na siebie całe ryzyko. To ja siedziałem w samochodzie, w lodowatym chłodzie i narażałem swoje życie. Facet rozwalił mi przód, a ja mogłem się wyjechać przez przednią szybę. A gdyby znalazły się tam gliny, to odkryłyby, że kto trzyma dzieciaka w piwnicy? Kto zostałby rozpoznany? Więc może to ja powinienem tu decydować? Teraz to już sprawa osobista – ktoś rani moje auto, rani mnie. No, to jesteś ze mną czy nie?

– Sam zadzwonię na policję i wskażę im miejsce, gdzie trzymasz małą – odgrażał się Joey.

– Gówna prawda! – wrzasnął Billy, waląc pięścią w stół. – Nie chcesz przecież iść ze mną do paki. Bo ja powiem im wtedy, że to wszystko twój pomysł! I co ty na to, bohaterze?

– Nie wygłupiaj się – odparł Joey.

– I kto to mówi – zachnął się Billy.

Wyszedł z restauracji. Joey już chciał rzucić się za nim, ale zreflektował się, że to na nic. Za to udał się na OTB. Zdążył zobaczyć, jak numer pierwszy przekracza zwycięsko linię mety.

Leslie właśnie opuściła szpital i szła Clarkson Avenue, kiedy przy krawężniku zatrzymał się biały samochód marki Saturn.

– Wsiadaj – rozkazał kierowca w czarnej kominiarce.

Leslie od razu domyśliła się, że to nie przypadek, bo w opisie Davida mężczyzna, który go postrzelił, miał właśnie czarną kominiarkę na twarzy. Nie wahała się. Ten facet ma Jessicę, a przecież życie córeczki ceniła ponad wszystko, więc natychmiast wsiadła.

– Kim, do diabła, jesteś?

– Spokojnie – powiedział. Leslie rozpoznała jego głos. To ten sam, który dzwonił wczoraj wieczorem. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale coś wystaje mi z płaszcza. Nie ze spodni – chociaż tam też – tylko z płaszcza. To jest pistolet wycelowany prosto w ciebie, więc nie radzę ci próbować żadnych sztuczek.

Skręcił za rogiem, mijając New York Avenue.

– Dokąd jedziemy?

– Po moje pieniądze.

– Jakie pieniądze? Przecież dostałeś je wczoraj.

– Mam na myśli *resztę* pieniędzy. Popatrz, jakim gównem muszę jeździć. Dobry dla dziwek, one takimi jeżdżą. Musiałem go wypożyczyć, bo twój stary skasował mi moje lesabre. Nie dostarczył też wystarczająco pieniędzy, osiemnaście tysięcy mniej. No, to teraz dawaj mi dwadzieścia i jesteśmy kwita.

Leslie nie miała pojęcia, skąd wytrzasnąć dwadzieścia tysięcy, do tego późno po południu. Jednak bała się odmówić. Jeśli facet zwieje, to ona zmarnuje ostatnią szansę na uratowanie Jessiki.

– Dobra, dam ci te pieniądze – zgodziła się Leslie. – Ale najpierw zawieź mnie do córki.

– Głupka ze mnie robisz? – oburzył się. – Oddam ci twoją córusię całą i zdrową, ale jak dostanę forszę.

– Dam ci te pieniądze – powtórzyła Leslie. – Obiecuję. Ale jest już późno. Nie wiem,

skąd je wziąć w tej chwili.

Mężczyzna wykonał ostry zakręt, wjechał w boczną ulicę i zatrzymał się przy krawężniku.

– Dawaj mi teraz forszę albo wysiadaj.

– Czy moja córka żyje?

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– A co mam zrobić? Iść do bankomatu i wyjąć dwadzieścia tysięcy? Potrzebuję czasu.

Może gdybyś zjawił się wcześniej...

– Nie pierdol mi tu bzdur!

Mężczyzna krzychał. Leslie zauważyła wybrzuszenie w jego płaszczu i sięgnęła w tę stronę. Ale on ją powstrzymał, łapiąc za rękę.

– Nie tak szybko, kochaniutka. Spróbuj jeszcze raz, a rozwalę twoją córeczkę i w betonowych bucikach wrzucę ją do rzeki. Pod Bogiem!

Leslie się rozplakała.

– Proszę – błagała. – Czego chcesz ode mnie?

– Dwudziestu tysięcy.

– Nie mam.

– To wynocha z mojego samochodu. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miała.

– Ale jak mam zadzwonić?

– To ja zadzwonię do ciebie.

Leslie nie chciała marnować nadarzającej się okazji. Nie może wysiąść z samochodu. Za wszelką cenę musi tu zostać.

– Wiem – powiedziała. – Dam ci moje auto. To mercedes. Jest wart co najmniej dwadzieścia tysięcy. Stoi na parkingu przed moim domem. Możemy tam pojechać.

– Żeby policja mnie elegancko aresztowała? Nie, dziękuję, kochanie.

– Musisz mi tylko pozwolić zobaczyć córkę. Proszę. Musisz...

– Nic nie muszę – odparł tamten. – Ale umówimy się tak. Nie skrzywdzę twojej córki, jeśli dasz mi coś w tej chwili.

Jego ręka już znajdowała się pod płaszczem Leslie. Macał ją po udzie. Leslie ścisnęła razem nogi i odsunęła się w stronę drzwi.

– Nie waż się.

– Przed sekundą ci się to podobało.

– Chcę zobaczyć moją córkę. Natychmiast.

– Chciałem wejść z tobą w układ. Ale ty chyba nie chcesz.

Chciał ponownie położyć rękę na nodze Leslie. Odsunęła się.

– Proszę, bądź miłym facetem – próbowała go przekonać. – Nie chcę, żebyś poszedł do więzienia. Policja o niczym się nie dowie. Dostaniesz pieniądze. Powiem, że oddałeś nam córkę i nic więcej nie wiem.

Mężczyzna znów chwycił pistolet, trzymając go nisko pod deską rozdzielczą i celując w brzuch Leslie.

– Wiesz, jaki jest układ – wycedził przez zęby. – Więc przywitasz się z moim wackiem czy nie?

Drugą ręką odpiął dzinsy, potem opuścił je razem z majtkami. Leslie nie wiedziała, czy to z powodu bliskości, ale jądra wyglądały jak dwie piłki baseballowe.

Trzymała kurczowo klamkę przy drzwiach.

– Proszę – mówiła błagalnie. – Bądź rozsądny.

– Masz dziesięć sekund albo nigdy nie zobaczysz swojej córki.

– Nie mogę – powiedziała Leslie. – Proszę, dam ci pieniądze. Dwadzieścia *pięć* tysięcy. Dam ci je jutro, jeśli tylko oddasz mi moją córkę...

– Sześć.

Szlochając, Leslie prosiła:

– Proszę. Zawieź mnie do mojej córeczki. Zawieź!

– Dwie.

– Co z tobą, do cholery...?

Mężczyzna właśnie złapał Leslie za szyję i zniżał jej głowę.

– Dobrze – zgodziła się desperacko. – Ale nie tu. Gdzie indziej.

– O, co to, to nie – powiedział, wciąż ściągając ją w dół. – Tu i teraz.

– Za duży tu ruch. Ktoś może nas zobaczyć.

– Nikogo tu nie ma.

– Tak? A ona?

Odwrócił głowę. Leslie wiedziała, że to jej ostatnia szansa na uratowanie Jessiki. Rzuciła się przez siedzenie do przodu i złapała go za jądra. Były twarde i zimne jak lód. Ścisnęła je i wbiła swoje długie paznokcie. Im mocniej będzie je ścisnąć, tym większa szansa na ujrzenie Jessiki żywej. Facet wrzeszczał wniebogłosey. Wolną ręką Leslie próbowała wyrwać mu pistolet, jednocześnie miażdżąc jego jaja. Udało się jej chwycić pistolet i wsunąć palec przy spuście. Potem tak kierowała pistoletem, by celował w twarz mężczyzny. Wystrzelił. Nabój eksplodował pod jego prawym okiem. Leslie, nie zważając na bryzgającą krew, jeszcze mocniej chwyciła pistolet. Kolejne cztery naboje przeszły głowę mężczyzny.

Wydawało jej się, że krzyczy, ale nic nie słyszała. Odrzuciło go na drzwi – głowa stanowiła jasnoczerwoną maź. Leslie, wstrząśnięta i oszołomiona, patrzyła prosto przed siebie. Jej prawa dłoń wciąż ścisnęła ogromne jądra.

To już koniec – westchnął Dominguez. – Jest pan aresztowany.

Stał nad łóżkiem Davida, w Instytucie Fizykoterapii im. Ruska na Manhattanie. Davida nie zdziwiło pojawienie się detektywa. Nachodził go przynajmniej raz dziennie i zameczał pytaniami na temat Amy Lee. Davidowi zazwyczaj udawało się zachować spokój, głównie dzięki sporym dawkom środków uspokajających i przeciwbólowych. Dzisiaj jednak po raz pierwszy Dominguez mówił o aresztowaniu.

– Pod jakim zarzutem? – wykrztusił z siebie David.

Zapach wody kolońskiej Domingueza przyprawiał go o mdłości.

– Mamy od dziś zeznanie pewnego mężczyzny – odparł detektyw. – Mijał dom Amy Lee w wieczór, kiedy została zamordowana, krótko przed szóstą. Widział pana wychodzącego z budynku i spieszącego się w stronę Południowej Siódmej Alei. Pokazaliśmy mu pańskie zdjęcie. Powiedział, że bez problemu pana rozpoznaje.

David był zbyt zamroczony, by myśleć jasno, ale na tyle przytomny, by wyczuć blef Domingueza. Od morderstwa minął ponad miesiąc. Dlaczego świadek znalazł się dopiero teraz?

– Nie byłem tam – bronił się David słabym głosem. – Ile razy mamy przez to przechodzić?

– To, co pan czy ja teraz powiemy, jest absolutnie bez znaczenia – oświadczył Dominguez. – Fakty mówią same za siebie. Mam świadka i dowody. W laboratorium zbadaliśmy buty, które według zeznań żony miał pan na sobie w dniu przestępstwa. Pasują idealnie do śladów zostawionych przed domem Amy Lee.

David przypuszczał, że to też bzdura. Padał przecież gęsty śnieg, więc nie było szansy, by zostały jakiegokolwiek ślady buta.

– Wiem, do czego pan zmierza – odezwał się David. – Ale na próżno. Tamtego wieczoru wróciłem do domu autobusem. Nie mam z tym nic wspólnego.

Dominguez usiadł na łóżku tuż obok Davida i przybliżył do niego swoją twarz. Wylał na siebie chyba całą wodę kolońską.

– Słuchaj, ty draniu – cedził cicho słowa. – Wiem, że zabiłeś tę kobietę. Nieważne, ile razy będę musiał tu przychodzić ani ile czasu mi to zabierze, ale w końcu zmuszę cię do przyznania się. Gównu obchodzi mnie twoja córeczka i twoje zdrowie. Odpowiesz za swój czyn.

Tydzień po wizycie Domingueza Davida wypuszczono z Instytutu. Leslie zadzwoniła, informując go, że nie przyjedzie go odebrać, chociaż szpital nie znajdował się daleko od ich domu. Jeszcze w trakcie pobytu Davida w miejskim szpitalu Leslie oznajmiła, że wciąż jest w szoku i nie będzie go odwiedzać. Również nie przychodziła do Davida do Instytutu. Ta decyzja Leslie strasznie go zdenerwowała, ale nie chciał awanturować się przez telefon.

Opuszczał szpital o kulach. Lekarze wyjaśnili mu, że prawdopodobnie do końca życia będzie kuśtykał, a przez następnych kilka tygodni musi uczęszczać na fizykoterapię w przychodni.

W taksówce Davida dopadły tak silne duszności, że w oczach widział już śmierć. Klął na lekarza, który odstawił mu leki. Poprosił kierowcę o zatrzymanie się przy krawężniku i oczekiwanie paru minut, aż złapie oddech.

Wchodząc do domu, David po cichu spodziewał się radosnego powitania. Może nawet Leslie zaprosiła przyjaciół, którzy za chwilę wyskoczą i krzykną „Niespodzianka!”. Niestety, w mieszkaniu panowała ponura atmosfera. Rodzice Leslie dwa tygodnie temu wrócili na Florydę. Leslie stała w korytarzu. David prawie jej nie poznał.

– Jak się masz?

– Dobrze – odparła beznamiętnie. – A co?

– Po prostu... Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak chudej.

– Jestem gruba – powiedziała z powagą. – I nie życzę sobie twoich uwag na temat mojego wyglądu. Mam już tego dość.

David musiał usiąść. Biodro wciąż dawało mu się we znaki, a lekarz kazał mu unikać stania przez długi czas. Ale najpierw chciał zobaczyć się z córką.

– Gdzie jest Jessica?

Leslie wyszła do kuchni. W domu unosił się zapach pieczonego kurczaka i słychać było skwierczenie na patelniach. David pokuśtykał do kuchni i powtórzył pytanie.

– W swoim pokoju – odpowiedziała Leslie. Wlewała śmietanę do miski z tłuczonymi ziemniakami, dodając jeszcze łyżkę masła. Następnie wymieszała masę drewnianą łyżką.

– To takie powitanie czeka mnie w domu? Nie dostanę nawet całusa w policzek?

– Słuchaj – Leslie była wyraźnie zdenerwowana. – Nie daję sobie z tym wszystkim rady, rozumiesz? Zostaw mnie wreszcie w spokoju.

David skrzywił się z bólu. Odezwało się chore biodro. Zrobiło mu się słabo i wszystko zaczęło mu wirować w głowie.

– Jessica! – zawołał, wlokąc się do pokoju gościnnego. – Wróciłem!

Odczekał kilka sekund, mocując się z butami, potem znowu krzyknął:

– Jessica! Jessica!

W końcu dziewczynka wyszła ze swojego pokoju. Ponieważ Leslie nie odwiedzała Davida w szpitalu, to nie widział się z córką od czasu, kiedy policja znalazła ją w piwnicy Williama DiStefano na Brooklynie. Z trudem ją rozpoznał. Strasznie schudła, pod oczami miała wielkie, brązowe cienie, a włosy były nieuczesane i tłuste, jakby od dawna się nie myła.

– Podejdź tu, moja księżniczko – mówił czule David, udając, że niczego nie zauważył.

– Dzięki Bogu jesteś bezpieczna.

Jessica nie ruszyła się na krok. Stała ze wzrokiem wbitym w zaciśnięte ręce. David schylił się, by ją pocałować, z trudem utrzymując równowagę na kulach, ale Jessica zrobiła kilka kroków w tył.

– Co się stało, kochanie? – zdziwił się David. – Nie chcesz przywitać się z tatusiem?

– Jessica nie lubi być dotykana.

– Dlaczego?

– Bo nie. Czy trzeba ci wszystko powtarzać?

Leslie ugotowała obiad chyba dla dziesięciu osób. David z przerażeniem patrzył, jak wypycha jedzenie do buzi, potem biegnie do łazienki wszystko zwymiotować. Jessica była zajęta dokładnym krojeniem kurczaka na maleńkie kawałki, ale nic nie jadła. Tymczasem David pograżył się we własnych troskach. Poczł nagły ból w dolnej partii kręgosłupa. Na pewno coś się działo z jego drugą nerką – konieczna jest dializa. Nie miał też pojęcia, jak poradzi sobie w nocy bez swoich leków.

Potem, kiedy leżał już w łóżku, ból stał się nie do zniesienia. W pewnej chwili był prawie pewien, że umiera, i poprosił Leslie, by zadzwoniła do szpitala, ale ona kazała mu „przestać zachowywać się jak dziecko” i odsunęła się od niego możliwie jak najdalej.

David nie zmrużył oka całą noc. Wydawało mu się, że Dominguez siedzi obok niego na łóżku i pochyla się nad nim. Potem ujrzał Amy, celującą w niego z pistoletu, a z twarzy spływała jej krew. Następnie Amy zamieniła się w Williama DiStefano zasłoniętego czarną kominiarką i śmiejącego się kretyńsko. Te wizje były tak przerażające, że David przesunął się w stronę Leslie i otoczył ramieniem jej kościste ciało.

– Zejdź ze mnie – warknęła. Nie spała.

Resztę nocy David przeleżał na plecach. Głowa zaczęła go swędzić. Obawiał się, że traci włosy. Po jakimś czasie serce zaczęło mu walić coraz szybciej, a z nerką też coś się

działo. Umierał i nikt nie zamierzał mu pomóc. Ujrzał siebie na parkingu, biegnącego w kierunku samochodu. Usłyszał trzy strzały. Osunął się na ziemię. W tym momencie zobaczył siebie w kuchni Amy Lee. Właśnie upadła, a on podnosił patelnię. Walił nią raz za razem.

Następnego ranka *Times* donosił o przełomie w śledztwie dotyczącym zabójstwa Amy Lee. Odkryto, że pistolet znaleziony przy jej ciele został użyty w niewyjaśnionej sprawie morderstwa, które miało miejsce w zeszłym roku. Teraz łączy się z nim Amy Lee. Policja bada, czy kolega zamordowanego – diler narkotykowy, poszukiwany za przestępstwa seksualne – nie zabił Amy Lee w akcie zemsty. Nie jest jeszcze pewne, czy istniał jakiś związek między Amy a Williamem DiStefano, tym samym, który prawdopodobnie porwał Jessicę Sussman przed szkoły na Manhattanie i trzymał związaną w piwnicy swojego domu na Brooklynie, ale policja raczej skłania się ku teorii, że DiStefano działał sam.

Davidowi te wiadomości nie przyniosły ulgi. To tylko spekulacje, jeden z wariantów, które są brane pod uwagę. Dominguez i tak wróci go przepytawać i nie przestanie, póki go nie złamie. A nawet jeśli policja przypisze to zabójstwo komuś innemu, to żaden powód do radości, bo nie zmieni to faktu, że David jest mordercą i będzie musiał żyć z tą świadomością do końca swoich dni. Ale po prostu nie zasługuje już na więcej cierpień.

Wszedł o kulach do kuchni. Na każdym palniku coś się gotowało, a Leslie jak szalona mieszała w dwóch garnkach naraz.

– Masz – rzucił gazetę na blat tak, by artykuł dotyczący Amy Lee znalazł się na wierzchu. – Gdybyś wciąż sądziła, że jestem mordercą.

Leslie rzuciła okiem na gazetę i bez słowa wróciła do gotowania.

– Wiesz co, naprawdę nie wiem, do czego to wszystko ma prowadzić – zaczął David. – Chcesz się ze mną rozwieść? Proszę bardzo! Nie potrzebuję nic od ciebie!

Wyszedł do pokoju gościnnego, by po chwili wrócić.

– Po cholere stół jest nakryty dla czterech osób?

Leslie nie reagowała.

– Słyszałaś, co do ciebie mówię? Czy gadam do jakichś cholernych ścian w tym domu?!

– Będziemy mieli gości.

– Coś takiego! – oburzył się David. – Nie sądzisz, że mogłabyś mnie o tym powiadomić? A z jakiej okazji? Spóźnione powitanie?

– Nie. To przyjęcie dla Maureen – odparła cicho Leslie. – Ma radosną wiadomość. Jest

w ciąży.

W tej całej ciąży Joey'emu nie pasowała jedna rzecz. Dziecko miało przyjść na świat około listopada. Według wyliczeń Joey'ego, Maureen powinna więc być zapłodniona w lutym. Ale to bez sensu, bo przecież wtedy jej nie cykał. Ostatnio kochali się w zeszłym tygodniu, pierwszy raz od wielu miesięcy, a kilka dni później Maureen ogłosiła, że jest w ciąży.

Wreszcie Joey doszedł do wniosku, że są sprawy, których u kobiet nigdy nie zrozumie. Może ciąża trwa i osiem miesięcy? Albo zostały resztki jego spermy, które dostały się do Maureen? Nie ma sensu kruszyć o to kopii, szczególnie teraz, kiedy wszystko inne w życiu tak dobrze mu się układa. Dostał nową pracę przy instalowaniu kabli, spłacił długi – dzięki nowym wygrany na torze – i jeszcze obstawił zawody NCAA. Czego więcej można oczekiwać od życia?

Joey od samego progu zauważył również zmianę w mieszkaniu Sussmanów. Przypominało raczej poczekalnię w szpitalu. Maureen opowiadała, że coś się dzieje z Leslie, cierpi na jakąś kobiecą chorobę, a David już nigdy nie będzie zdrowy. Joey nie mógł tylko pojąć, dlaczego Maureen obwinia siebie za te wszystkie nieszczęścia. Codziennie biegała do kościoła i wygadywała, że to wszystko przez nią. Joey miał nadzieję, że istnieją na to jakieś pigułki lub inne środki.

Po raz pierwszy w domu Sussmanów podano też smaczne żarcie. Żadnego zdrowego gówna ani zamawianych z chińskiej restauracji dań – Leslie przygotowała czterodaniową ucztę z pieczenia i ziemniakami. Joey rzucił się na jedzenie, z lubością próbując wszystkiego. Nikt za dużo nie rozmawiał. Maureen mamrotała do siebie o Jezusie, a Leslie wpychała sobie wszystko do ust, po czym biegła do łazienki. David siedział z bezmyślnym wyrazem twarzy. Ale najważniejszą i najlepszą rzeczą z całego spotkania było to, że Joey nie musiał oglądać idiotycznego przedstawienia po posiłku. Wszyscy siedzieli w milczeniu, jedli tort czekoladowy i pili kawę. Oby każdy wieczór u Sussmanów był taki idealny, myślał sobie Joey.